Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 52/53 (1343 44) ROK XXVI 24 GRUDNIA 1983 ROKU CENA 20 ZŁ

Rys. Zenona Pionk

★ Jaki jesteś kapitanie –
Paweł Tomaszewski pisze o najmłodszym niegdyś kapitanie żeglugi wielkiej Józefie Miłobędzkim

★ Bramkarz nie może być narwańcem –
Bogda Madej rozmawia z Józefem Młynarczykiem

★ „W czas swój wskazane” –
Władysław Orłowski o listach Cypriana Kamila Norwida

★ Jutro Wigilia –
Edward Bryl o staruszce czekającej na swe dzieci

★ Dralnia –
opowiadanie SF Pawła Tomaszewskiego

★ Remanent wśród gwiazd piosenki –
Bohdan Gadomski „rozlicza” Marylę Rodowicz, Ewę Demarczyk, Urszulę Sipińską, Zdzisławę Sośnicką, Ninę Urbano, Teresę Tutinas i Ewę Śnieżankę

★ Noc saksofonów –
fragment nowej powieści Andrzeja Makowieckiego o tragikomicznej historii wyjazdu grupy muzyków na zarobek do Szwecji

★ Kronika Akaszy, tom IV –

★ Powtórka z Apokalipsy –
–fragmenty nowej powieści SF Jacka Sawaszkiewicza

★ Przerażony –
opowiadanie kryminalne ze zbiorów Alfreda Hitchcocka

★ Rozpoczynał się dwudziesty wiek –
Lucjusz Włodkowski o Łodzi sprzed 84 lat

★ Czy istnieje wędrówka dusz? –
Andrzej Donimirski o ciekawej hipotezie

Polemiki • Listy • Opinie

„SKANDAL W OŚRODKU ZDROWIA"

Postanowiłem skreślić kilka słów na temat artykułów pisanych przez p. E. Bryla w ostatnich numerach „Odgłosów". Zastanawiam się komu wierzyć, czy też w ogóle nie wierzyć w to, co pisze p. Bryl. Nie jestem pracownikiem służby zdrowia, obecnie przebywam na emeryturze. Jestem stałym czytelnikiem tygodnika „Odgłosy". Ostatnio p. Bryl napisał artykuł pt. „Skandal w służbie zdrowia". W artykule tym nie pozostawiono suchej nitki na wielu osobach, w tym na pp. dr. Krawczykach. Byłem tym artykułem zgorszony. W następnym numerze „Odgłosów" przeczytałem odwołanie pielęgniarki w tej sprawie i znalazłem się w rozterce. Pielęgniarka oficjalnie wypowiada się, że nie udzielała wywiadu red. Brylowi. W związku z tym zapytuję, czy w stosunku do redaktorów, którzy wprowadzają w błąd opinię społeczną i piszą kłamliwe artykuły, wyciąga się jakieś wnioski? Przecież to jest podrywanie dobrego imienia ludziom. Pielęgniarka miała odwagę złożyć w tej sprawie odwołanie, a ile jest takich osób, co nie potrafią tego uczynić lub zależy im na pracy i boją się publicznie wypowiadać?

Jak można wierzyć takim artykułom? Tygodnik „Odgłosy" jest pismem poważnym o tematyce kulturalnej i artykuły pisane przez redaktorów powinny być uprzednio sprawdzone. Uważam, że podawanie nazwisk do publicznej wiadomości przed rozpoznaniem sprawy przez organa do tego powołane, jest sprawą karygodną, godzącą w dobre imię redakcji. A jeżeli się okaże, że pp. dr. Krawczykom wyrządzono krzywdę, a podane rzekome fakty przez p. Bryla są nieprawdziwe, to jaką wówczas otrzymają satysfakcję? Przeproszenie w prasie — dziękuję, nie chciałbym znaleźć się na ich miejscu. O ile wiem, p. Bryl pisze artykuły o pracy służby zdrowia i w latach poprzednich były podobne sprawy, gdzie szereg osób odwoływało się od rzekomych wypowiedzi, a jak się okazało, p. Bryl w ogóle z nimi nie rozmawiał. Pamiętam, że sprawa p. Bryla wnoszona była przez posła z terenu Łodzi na Sejm. Uważam, że tak jak w każdej rodzinie lub innej komórce społecznej zawsze znajdą się sprawy jasne i ciemne. Na pewno te ciemne należy napiętnować. Ale czy należy to czynić w taki sposób, jak robi to p. Bryl? Nadawać ton sensacji, psucia opinii ludziom przed uprzednim sprawdzeniem. A w ogóle nasuwa się wątpliwość, z jakich źródeł czerpie p. Bryl materiały do tych artykułów, mam nadzieję, że nie z magli. Proszę o zamieszczenie w/wym. z zachowaniem nazwiska.

1. XII.83.

M. RUDKOWSKI

OD REDAKCJI:

Nasz Czytelnik poruszył dość trudny i skomplikowany problem. Sądzimy, że interesuje on nie tylko autora listu. Warto więc parę spraw wyjaśnić.

1. Artykuł Edwarda Bryla nosił tytuł: „Skandal w ośrodku zdrowia", a nie „Skandal w służbie zdrowia". Ten pozornie drobny błąd ma zasadnicze znaczenie. M. Rudkowski sugeruje bowiem, że konkretne zarzuty odnoszące się do j e d n e g o ośrodka zdrowia zostały rozciągnięte na c a ł ą służbę zdrowia. A to nieprawda.

Chcielibyśmy podkreślić z całą mocą, że krytykę staramy się traktować poważnie i odpowiedzialnie i wyjaśnić, że krytyki konkretnego przypadku lub osoby nigdy nie traktujemy jako krytyki środowiska czy zawodu. Uważamy, że w każdym środowisku i zawodzie są ludzie godni uznania, ofiarni, pracowici, pełni poświęcenia, ale są też ludzie, których postępowanie, postawa są naganne i wymagają krytyki. Jedno nie przeczy drugiemu. To nie krytykujący rzuca złe światło na ludzi godnych szacunku, ale ludzie popełniający błędy, wykroczenia i źle pracujący.

2. Henryka Majchrzak — przełożona pielęgniarek — odwołała nie całą swoją wypowiedź, ale jej fragmenty, do czego ma pełne prawo. Nawet w sądzie wolno odwołać złożone w śledztwie zeznania. Gazeta wprawdzie nie jest sądem, tym niemniej szanujemy prawo wycofania się ze sprawy, zmienienia opinii, poglądów. List Henryki Majchrzak opublikowaliśmy w całości, nie wchodząc w motywy zmiany stanowiska.

3. Wobec tych, którzy „wprowadzają w błąd opinię społeczną i piszą kłamliwe artykuły" wyciąga się odpowiednie wnioski. Trzeba im to tylko dowieść. Odwołanie przez kogoś swojej wypowiedzi nie oznacza jeszcze, że pozostałe są też nieprawdziwe.

4. Sądzimy, że nasz Czytelnik zauważył, iż Wydział Zdrowia i Opieki Społecznej UMŁ skierował całą sprawę do prokuratury i rzecznika dobra służby zdrowia w Łodzi dla jej wyjaśnienia. Sądzimy również, iż nasz Czytelnik zauważył, że zarzuty wobec lekarza z Leśmierza wysuwa nie Edward Bryl, ale zainteresowani pacjenci i nie tylko pacjenci z Leśmierza. Nie jest to więc sprawa między E. Brylem a lekarzem, ale ma ona znaczenie społeczne.

5. Nikt nie lubi być krytykowany. Dla sprawnego funkcjonowania społeczeństwa krytyka jest niezbędna. Uprawianie krytyki nie jest sprawą prostą. Kiedy krytykuje się ogólnie, anonimowo, spotykamy się z zarzutem, że taka krytyka nikogo nie dotyka, jest mało skuteczna. Kiedy krytykujemy konkretnie, z nazwiskiem — spotykamy się z zarzutem, że publikujemy artykuły napastliwe. Publikując krytyczne artykuły dążymy do ukazywania zjawisk i wypadków ujemnych, społecznie szkodliwych.

A co będzie, jeśli zarzuty okażą się nieprawdziwe?

Dziennikarz, podejmując się krytycznego oświetlenia jakiegokolwiek wydarzenia lub przypadku musi opierać się na faktach. W przeciwnym razie może stanąć przed sądem, oskarżony o zniesławienie i pomówienie. Ale wtedy o skutkach decydować musi sąd.

ABY SIĘ LECZYĆ, TRZEBA MIEĆ ZDROWIE

Z wielkim zainteresowaniem przeczytałam artykuł w tygodniku „Odgłosy", pt. „Skandal w ośrodku zdrowia", a to dlatego, że mowa po części o zgierskim ZOZ, a ja jestem mieszkanką Zgierza, co zmusza mnie do korzystania z porad lekarskich w tutejszych placówkach ZOZ i doszłam do wniosku, że aby się leczyć, trzeba mieć zdrowie. Piszę to z całą odpowiedzialnością, gdyż sama na sobie doświadczyłam tego w dość przykrej sytuacji.

W dniu 3 kwietnia 83 r. wracałam dość późnym wieczorem do domu od przyjaciółki. Zostałam napadnięta przez młodego człowieka (napad na tle seksualnym) i tylko dzięki przypadkowym ludziom, którzy akurat przejeżdżali samochodem mogę napisać ten list, bo żyję. Napastnika schwytali, a mnie w szoku zabrała karetka pogotowia. W pogotowiu ograniczono się tylko do zastrzyku na uspokojenie. Zaznaczam, że miałam poobcierane nogi, głowę i ramiona, gdyż w momentach świadomości walczyłam z napastnikiem, wtedy on uderzał moją głową o chodnik i dusił mnie, powtarzał to kilka razy. Następnie zabrano mnie na przesłuchanie. Po przesłuchaniu ponownie zostałam przewieziona przez MO na oględziny wstępne, gdyż nie miałam żadnego zaświadczenia, na podstawie którego mogłabym dostać obdukcję lekarską z medycyny sądowej.

7 kwietnia zgłosiłam się do lekarza rejonowego, tu dostałam skierowanie na prześwietlenie głowy i do chirurga i wtedy rozpoczęła się moja wędrówka. Chirurg uznał, że nie ma co szyć, więc muszę iść do neurologa. Dostałam w rękę trzy zdjęcia głowy, jeszcze mokre, i skierowanie do neurologa. Lekarka neurolog stwierdziła, że to nie tu lecz muszę iść do neurochirurga. Oczywiście zgłosiłam się, lecz już resztkami sił. Z gabinetu wyszła pielęgniarka, podeszłam do niej i poprosiłam o przyjęcie mnie poza kolejnością, gdyż jestem pracownikiem służby zdrowia, honorowym dawcą krwi (11,5 l) i po wypadku. W odpowiedzi usłyszałam dosłownie: tu wszyscy są chorzy i trzeba czekać w kolejce. Nie miałam siły dyskutować, gdyż potworny ból głowy i mdłości powodowały, że ledwo trzymałam się na nogach. Usiadłam i ze łzami w oczach czekałam. Nieurochirurg skierował mnie do szpitala miejskiego z podejrzeniem wstrząsu mózgu. Po zgłoszeniu się do szpitala lekarz dyżurny był bardzo zajęty i nieprędko miał być wolny, więc pielęgniarka dyżurna zaproponowała, abym zgłosiła się później, lecz po meczu (międzypaństwowy mecz piłki nożnej), bo lekarz może być zły, że przerywa mu się mecz. Zjawiłam się ponownie po meczu, około godziny 23. Tym razem zostałam przyjęta przez lekarza, lecz w taki sposób, jakbym trafiła tam przez pomyłkę. W kameralnym nastroju, przy gabinetowej lampce zostałam pomacana po głowie i na tym badanie się skończyło, a ja usłyszałam: do szpitala pani nie przyjmę. Wtedy powiedziałam, że nie mam zwolnienia z pracy. Odpowiedź: ja pani nie dam, gdyż nie przyjmuję pani do szpitala. I wręczył mi to nieszczęsne skierowanie z orzeczeniem: „Chora podaje, że została pobita na ulicy. Ogólny stan chorej dobry. Ognisk urazowych nie stwierdzam". Zakończenia już nie pamiętam. Z pieczątki dowiedziałam się, że był to ordynator oddziału chirurgii, specjalista II stopnia, Jankowski.

Zdruzgotana wróciłam do domu.

8 kwietnia ponownie zgłosiłam się do lekarza rejonowego, pani Kozak, która okazała mi serce i pomogła mi. Otrzymałam zwolnienie wsteczne i bieżące.

Nie piszę dlatego, ażeby się mścić lub coś w tym rodzaju, lecz piszę dlatego, że nie są to przypadki odosobnione i wnioskuję z tego, że to właśnie zgierski ZOZ wymaga leczenia. Ja w dalszym ciągu odczuwam bardzo silne bóle głowy ze strony pobitej (lewej) i nie wiem do jakiego lekarza mam się zwrócić.

W zakończeniu proszę o wybaczenie jakichś niedociągnięć w piśmie, gdyż myśląc o tym, nie potrafię się skoncentrować, za co z góry przepraszam.

ANNA KINDELA
Zgierz, Parzęczewska 30A/23

SWOBODA OBYCZAJOWA, SKIROŁAWKI I CZYTELNICY

Trochę szumu zrobiło się wokół druku fragmentów powieści Zbigniewa Nienackiego „Raz w roku w Skiroławkach". W stosunku do obyczajowości panującej obecnie w naszym kraju publikacja ta wymagała pewnej odwagi ze strony autora, redakcji i chyba cenzury obyczajowej. Casus ten nie jest na tyle odosobniony, by nie dopatrywać się w nim oznak zmian, jakie zachodzą u nas w zakresie swobody obyczajowej. Nie sądzę, by należało z tego powodu rwać szaty, bo to bezcelowe. Skoro lody ruszyły, nic ich nie powstrzyma. Rodzicom nieletnich dzieci pozostaje zatem strzec je pilnie przed delektowaniem się takimi utworami. (Mnie, gdy byłem w tym wieku, nie pozwalano czytać „Dziejów grzechu" i „Fortuny kasjera Śpiewankiewicza". Hej, łza się w oku kręci!).

Chciałbym jednak, jako wierny czytelnik i współpracownik „Odgłosów" mieć przeświadczenie, że swoboda obyczajowa nie bywa jedynym kryterium przy akceptowaniu tekstów do druku. W przypadku Nienackiego mamy do czynienia z dojrzałym pisarstwem, ale co może promować do ukazania się na łamach „Odgłosów" materiały typu „Upadek Franciszka M." i „Komka Katafalk" Jakuba Łaskiego?

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Łódź, 9.XII.83

★

Z żalem stwierdzam, otwierając nr 50 „Odgłosów", że na ostatniej stronie brakuje kolejnego odcinka wyśmienitej powieści Z. Nienackiego — traktującej nie tylko o „pośladkach pani Aldony", ale i o wielu innych sprawach, o których krytykom na czele z Danielem Passentem nie śniło się. I to traktującej z rzadko spotykaną maestrią oraz chęcią „grzebania się w bebechach" jaźni człowieczej.

Czyżby ugiął się Pan, Panie Redaktorze, przed zmasowanym atakiem ciemnogrodu, i ustąpił przed młotkiem „księdza Pirożyńskiego"? Ustępować i uginać się — to rzecz ludzka. Niemniej, niektórym czytelnikom „Odgłosów" należałoby się wyjaśnienie: będzie czy nie będzie kontynuowana „story" malarza Porwasza, dziejąca się w Skiroławkach? Gdyby miała nie być (kontynuowana), to żal byłby wielki. Nie żal „story" — bo tu każdy sam sobie może dopisać resztę; ale żal „Odgłosów": że się ugięły, czyli „złamały".

Chociaż przyznaję: rację mieli Starożytni mówiąc „Nec Hercules contra plures!" Zwłaszcza w czasach, gdy każdy agituje, gada i peroruje o pluralizmie, rozumianym jako dęcie w tę jedną jedyną trąbę, w jaką dmie herold. Inne trąby są zakazane — oto istota pluralistycznej sprawy, oraz chórów — głuchych!

Z życzeniami polifonii na „łamach" w przyszłym 1984 roku, kreślę się z poważaniem —

J. S. KNYPL
(także obywatel)

Od redakcji:

Po zakończeniu druku fragmentów powieści Z. Nienackiego „Raz w roku w Skiroławkach" otrzymaliśmy wiele telefonów i listów z pytaniem: czy to już koniec? Tak, to już koniec. Ale nie dlatego, że ugięliśmy się przed krytyką czy czymś innym. Po prostu autor tylko tyle nam udostępnił. Powieść bowiem powinna rychło ukazać się w księgarniach.

Mamy kilka propozycji dla Czytelników. Może nie będą tak frapujące jak powieść Z. Nienackiego, ale — naszym zdaniem — interesujące. Natomiast ze Zbigniewem Nienackim jesteśmy w kontakcie. Pisze on następną powieść, która być może również zainteresuje naszych Czytelników.

STACH Z WARTY

Nauczony doświadczeniem publicysty Jerzego Urbana [nie mylić z ministrem Jerzym Urbanem], który musiał zmieniać nazwisko, bo nieopatrznie [czytaj: z premedytacją] przypomniał coś, co zupełnie nie pasowało do pomnika z aureolą, nie powinienem tykać tego tematu. Także dlatego, iż nie jestem zwolennikiem wywoływania demonów, ani innych upiorów z przeszłości, które jątrzą potem i inspirują do grzebania w życiorysach. Tym bardziej, że rzecz idzie o „społecznej inicjatywie" i o „kulturalnych aspiracjach prowincji".

Z drugiej jednak strony, jeśli domagamy się, aby przeszłość oglądać we właściwych proporcjach, bez zafałszowań i mitologii musimy być przygotowani, iż przeszłość owa może niespodziewanie zaskrzeczeć, dysonansowo zazgrzytać, burząc pokryty patyną mit. Idealistycznie zakładamy — i słusznie — że każdy bez wyjątku tak zobowiązany jest postępować w życiu, aby w momencie, gdy przyjdzie czas oglądnięcia się do tyłu, nie musiał niczego ukrywać, ani niczego przemilczać.

O co chodzi? Otóż w jednym z łódzkich dzienników* ukazał się tekst zatytułowany „Rogate Serce Stanisława Szukalskiego" podpisany literkami R. Por. W tekście tym dziennikarz przedstawia biografię *„utalentowanego rzeźbiarza"*, którego wystawy w okresie międzywojennym *„wywoływały sensację"*. Artysta ów, urodzony w Warcie, a przebywający obecnie w Stanach Zjednoczonych, utrzymuje *„ze swoim miastem rodzinnym żywe kontakty"*. Jak pisze R. Por. w Muzeum Miasta i Rzeki Warty znajduje się *„sporo dokumentów związanych z życiem i działalnością artystyczną Stanisława Szukalskiego"*. *„Może w przyszłości* — kończy swą hagiografię dziennikarz — *Muzeum w Warcie, dysponując już bogatą kolekcją, związaną z Szukalskim, zorganizuje wystawę retrospektywną Rogatego Serca?"*

Tak myślę: albo warciańskie muzeum posiada tylko niektóre „dokumenty", albo wspomniany wyżej dziennikarz dokładniej im się nie przyjrzał.

Rzeczywiście jest Szukalski postacią zapomnianą. Z rzadka i marginalnie wspominają o nim historycy sztuki [o „alegoryczno-stylizującym volapüku" pisze np. Joanna Pollakówna w „Malarstwie polskim między wojnami"], dystansują się także od jego artystycznej ideologii autorzy wspomnień, którzy z Szukalskim zetknęli się osobiście. Nawet Stefan Żechowski [w książce „Na jawie"], który Stachowi z Warty zawdzięcza wiele, o czym zresztą nie bez serdeczności pisze, dodaje jednak: *„Amoralizm postawy Mistrza wobec wielkich humanistycznych idei, wrogi stosunek do braterstwa ludów i ras, amoralność, która agresywną i brutalną siłę stawia ponad wszelkie prawa — dla której chrystianizm jest żałosną utopią — wszystko to sprawiło, że z uwielbianego Mistrza moich chłopięcych lat — przeobraził się we wroga mojego światopoglądu"*.

Sądzę, że właśnie owo „uwielbienie do Mistrza lat chłopięcych" nakazywało Żechowskiemu użycie powyższych eufemizmów. Skąd natomiast wzięła się chęć odwracania kota ogonem u R. Por. tego nie wiem. Komponując on bowiem życiorys Stanisława Szukalskiego rozpisuje się o licznych nagrodach i wystawach, o bezkompromisowych wystąpieniach Mistrza, o *„swoistym romantyzmie i patriotyzmie"* jego sztuki, która *„nie pasowała do ówczesnej mody"* i zestawia te fakty z informacjami o *„wrogości sfer artystycznych"*, o *milczeniu bojkotującej prasy"*, o *„dezaprobacie środowiska"*. Kończy dziennikarz biografię dramatycznym akcentem: *„Tragiczny wrzesień zastaje Szukalskiego przy pracy nad pomnikiem Bolesława Chrobrego. Wyjeżdża wkrótce do Stanów Zjednoczonych. Okupant niszczy jednak jego prace"*.

Jednym słowem genialny, wielki artysta, tworzący swe dzieło na przekór wszystkim, niszczony przez zawiść środowiska i ówczesnej prasy!

W tamtych protestach i krytykach, w dzisiejszym milczeniu wokół postaci Szukalskiego kryje się to, co trzeba wprost powidzieć: jego koncepcja sztuki narodowej o cechach „odrębnych rasowo" pobrzmiewała [jeśli nie wynikała wprost] nazistowskimi hasłami odrodzenia narodu starogermańskiego. Lansował tę koncepcję Szukalski z zaciekłością nacjonalisty, narodowego szowinisty i antysemity. Jego teksty [patrz: wydawane przezeń pismo „KRAK"] były apologią narodowo-socjalistycznych pomysłów Mussoliniego i Hitlera. W jednym z numerów „Kraka" przeczytać możemy: *„Mistrz Szukalski kończy w Ameryce model pomnika Mussoliniemu wedle swego rysunkowego projektu. Model ten odlany w brązie zamierza Mistrz ofiarować młodym faszystom-harcerzom włoskim"*. *„Precz z komunizmem ze świata, ze starymi z życia społecznego, Żydami z Polski, klerem z polityki"* — podpisywał swoje apele Stach z Warty. Sprawa pomnika Mickiewicza w Wilnie, [o czym wspomina R. Por.] też kończy się skandalem [o czym już R. Por. nie wspomina]. Okładkę jednego z numerów „Kraka" zdobi Topokrzyż — *„znak chrześcijańskich zakładów, sklepów i mieszkań"*, zaprojektowany przez Mistrza. Znakowi towarzyszy podpis: *„Nie pozwolono nam znaczyć sklepów żydowskich dla odróżnienia od polskich. Proponujemy zatem znakowanie firm polskich godłem Topokrzyża. A więc do walki z żydostwem pod hasłem G. O. J. [Gospodarczą Organizujemy Jedność]"*.

Taki był program ideowo-artystyczny Stanisława Szukalskiego wyrażony wprost [tu go tylko sygnalizuję], a także w jego propagandowo wystylizowanych dziełach. Niechaj „wdzięczni" warcianie zdają sobie z tego sprawę.

* „Głos Robotniczy", 1983, nr 278, 26—27.XI.

GRZEGORZ GAZDA

MOIM ZDANIEM...

Jerzy Neugebauer w swym liście do A. B. Sekatora zamieszczonym w nr. 49 „Odgłosów" z 3 grudnia raczył pouczać nie tyle Sekatora, co redakcję tyg. „Odgłosy". Takie odniosłem wrażenie. Być może się mylę — proszę mi wybaczyć. Cóż, odczucia czytelników są różnorodne i należy się z tym liczyć.

Myślę, że obecny sposób redagowania pisma w dużej mierze przyczynia się do samodzielnego poglądu na różne tematy, poruszane sprawy, które nurtują czytelników. Nie pomija się również spraw społeczno-kulturalnych, czego dowodem są liczne publikacje na powyższe tematy zamieszczane na łamach „Odgłosów", chociażby z ostatniego konkursu o „Czółenko Tkackie".

Moim zdaniem jest nieważne czy pisze profesjonalista — czy nieprofesjonalista. Ważne, aby jeden i drugi pisał ciekawie i dobrze. Przypuszczam, że nie pisze się dla uzyskania honorarium za wierszówki, lecz wynika z wewnętrznej potrzeby piszącego, co jest istotną różnicą. Profesjonaliści nie piszą przecież artykułów dla siebie lecz ogółu czytelników. Niejednokrotnie sążniste artykuły zostają niezauważalne przez czytelnika, inne pobudzają jego wyobraźnię. Tak niestety bywa. Sam zaczynam czytanie tygodnika właśnie od rubryki „Polemiki. Poglądy. Opinie. Listy", chociaż niekiedy denerwują mnie przeciągające się spory np. C. Kujawy z Ob. Chojnackim, bowiem ostatnio powtarzają się dość często i są nieco nudnawe. — Panowie, a może dałoby się wyjaśnić swoje sprawy przy kawiarnianym stoliku — zamiast na „śmierć" zanudzać czytelników pismal

Z poważaniem:
WŁADYSŁAW BISZEWSKI

SPROSTOWANIE

W poprzednim, 51 numerze „Odgłosów", w reportażu pt. „WYBUCH" o tragedii jaka zdarzyła się na łódzkim osiedlu Retkinia, został popełniony poważny błąd.

Jedną z ofiar śmiertelnych, wydobytych z zawalonego budynku jest pani Stanisława Dziórdzińska lat 71. Natomiast córka, Maria Dziórdzińska lat 46 została w szoku odwieziona do szpitala im. Madurowicza, skąd została wypisana w stanie zdrowia dobrym.

Za błędne podanie faktów serdecznie przepraszam rodzinę zmarłej pani Stanisławy Dziórdzińskiej.

JOLANTA WROŃSKA

Wspólne zmartwienie

Nikomu nie wychodzi na dobre zamykanie oczu na fakty. A fakty mówią, że nadal — mimo postępów procesu normalizacji życia — utrzymują się w naszym społeczeństwie silne podziały polityczne i tylko optymista mógłby je oceniać jako nieuniknioną wielość poglądów na sposób realizacji socjalizmu. W bardzo wielu przypadkach nie jest to jednak ów pluralizm, który traktujemy jako punkt wyjścia do tak pożytecznego dialogu społecznego, lecz mamy do czynienia z postawą nieprzejednanie antysocjalistyczną, którą cechuje fanatyczna nienawiść do wszystkich bez wyjątku sił politycznych i osób opowiadających się za socjalizmem.

Mimo wszystko twierdzę, na podstawie licznych osobistych obserwacji, że błędna byłaby rezygnacja z prób pozyskiwania ludzi nieufnych wobec socjalizmu i zaniechanie przekonywania ich do generalnej słuszności linii obranej przez władze, a popieranej przez niemałą przecież część społeczeństwa. Byłby to błąd m.in. dlatego, że jest wśród nich wielu takich, co, nawet nie wiedząc o tym, mają wizję ojczystego kraju niesprzeczną z założeniami i zasadami socjalizmu. I niemało jest w tym winy w nas, zwolennikach socjalizmu, że zbyt nieraz łatwo i szybko popadamy w zniecierpliwienie, kiedy spotykamy się z poglądami urągającymi, według nas, zdrowemu rozumowi i elementarnej logice albo z faktami wyssanymi z palca.

Również w takie opinie trzeba się uważnie wsłuchiwać, nie tylko po to, by nie utracić rozeznawania się w nastrojach społeczeństwa, lecz także po to, żeby wśród przeciwników odróżniać ludzi o intencjach uczciwych kierujących się motywacją patriotyczną i obywatelską, od ludzi cynicznych i obłudnych, których nie brak w żadnym społeczeństwie i w żadnym obozie politycznym. A zawsze powinni być przedmiotem uwagi i zainteresowania ci spośród nam niechętnych którzy reprezentują sobą wyższe osobiste wartości. Kto bowiem szczerze wyznaje jakąś ideę, pragnąłby zjednywać dla niej ludzi jak najwartościowszych, a podłych najchętniej by „odstąpił" wrogiemu obozowi.

W każdym razie nie stawiałbym znaku równości pomiędzy tymi, dla których socjalizm stanowi zagrożenie ich brudnych interesów (oczywiście — socjalizm właściwie funkcjonujący!), a tymi, co żywią wobec socjalizmu uprzedzenia, ponieważ skłonni są do ulegania szlachetnym złudzeniom i utopijnym hasłom. Ci właśnie okazują się bardzo podatni na frazeologię „wolnościowo-równościową" i wierzą, że w ogóle może istnieć na świecie coś takiego, co jawi im się jako „prawdziwa demokracja".

Dość mgliście zresztą wyobrażają sobie jej konkretny kształt, jako dokonywanie przez obywateli nieustannego wyboru, czy raczej nieustannych parlamentarnych wyborów, decydujących każdorazowo, a więc raz na kilka lat czy niekiedy częściej — o tym, jaką treść ustrojową ma mieć ich państwo. Zwyciężyć, powiedzmy, jakaś koalicja lewicowa z udziałem komunistów i zyska sobie odpowiednią przewagę w parlamencie, wtedy (jak wyobrażają sobie nasi utopiści) uchwala się kwalifikowaną większością zmianę ustroju z kapitalistycznego na socjalistyczny, a pobita w wyborach prawica lojalnie się z tym godzi i oddaje państwu swoje banki, fabryki, latyfundia. A kiedy tak się złoży, że w następnych wyborach zwycięża dla odmiany siły konserwatywne, proklamuje się z powrotem ustrój kapitalistyczny z wszystkimi tego faktu konsekwencjami. I tak, co kilka lat, pod przemożnym wpływem kartki wyborczej można sobie zmieniać ustrój w tę i z powrotem.

„Ależ ja takiej bzdury wcale nie mam na myśli" — zawoła, być może, jakiś zwolennik „prawdziwej demokracji". Ale będzie to niezupełnie prawda, ponieważ na co dzień wygłasza on publicznie dziesiątki wzniosłych ogólników, które prowadziłyby do takich właśnie konsekwencji myślowych, gdyby otoczenie w ogóle wymagało od niego konkretyzacji „wolnościowego" programu. Bo wielu ludzi wybiera sobie słuchaczy spośród tych, których afirmacji można być z góry pewnym i którzy w swoim dobrym samopoczuciu moralnym utwierdzają się nieustannie przez manifestowanie niechęci do „socjalistycznej dyktatury".

Na tym chyba gruncie egzystuje i czerpie z niego pożywkę negatywne stanowisko utopijnych marzycieli wobec propozycji dialogu i porozumienia. Trwają w geście odmowy, ponieważ wzdragają się przystąpić do dialogu, którego warunkiem wstępnym i bezdyskusyjnym ma być uznanie przez nich założeń ustroju socjalistycznego i wynikających z tego kierunków polityki. Rozumowanie naszych „prawdziwych demokratów" ma przy tym, trzeba przyznać, pozór logiki i politycznej słuszności, gdy powiadają: „A dlaczegóż to demokracja (czytaj, kapitalizm) nie ma być brana pod uwagę na zasadzie równości praw obu układających się stron? Jak partnerstwo, to w całym tego słowa znaczeniu!".

Jest to chwytliwe, mimo że ogromnie powierzchowne, gdyż po pierwsze nie istnieją na świecie ustroje „kompromisowe" czy „pośrednie", jak sugerowała lansowana niegdyś przez zachód teoria „konwergencji", istotą bowiem różnic ustrojowych są sprzeczne treści klasowe, a po drugie nigdzie na świecie nie uznaje się za pełnoprawnego partnera takiego polityka, który nie ma żadnych praktycznych szans realizacji swojego programu lub takiego, który mógłby swój program urzeczywistnić jedynie kosztem społecznym niewspółmiernie wysokim do oferowanych ludziom korzyści.

Piszę o tym, ponieważ zwolennicy socjalizmu w Polsce, niezależnie od argumentacji społecznej dysponują w porównaniu z przeciwnikami ustroju kolosalnym atutem w postaci państwa, które realnie już istnieje, choć okresowo funkcjonuje ono nie najlepiej, a niekiedy całkiem kiepsko, w sumie jednak legitymuje się pokaźnym dorobkiem czterdziestolecia. Potencjalni partnerzy dialogu dysponują jednak zaledwie wizją restytucji kapitalizmu, która w dodatku mogłaby być zrealizowana w praktyce jedynie na drodze powszechnego konfliktu jądrowego, zagrażającego istnieniu ludzkości. Ale to jeszcze nie wszystko, czego im brak! Takiej mianowicie „bagatelki" jak gwarancji wygrania ewentualnej wojny przez USA i jej sojuszników...

I tę właśnie awanturniczą, pisaną na wodzie perspektywę zmian ustrojowych w Polsce, osiągalnych w „najlepszym" razie kosztem kolosalnych strat ludzkich i zniszczeń materialnych, chcieliby niektórzy nasi opozycjoniści traktować jako równorzędny atut w dialogu z siłami prosocjalistycznymi, mogącymi każdej chwili wskazać ręką na państwo „namacalnie" istniejące, którego niedoskonałość można by i trzeba naprawiać zjednoczonymi siłami społeczeństwa.

Zdrowy rozum nakazywałby więc uznanie przez wszystkich Polaków życzliwych swojemu krajowi, łącznie z tymi, co nie płoną miłością do teorii i praktyki marksistowskiej, konieczności dialogu o Polsce realnie istniejącej, w uznanych granicach i o określonych sojuszach, dialogu z tymi, co ten kraj reprezentują de facto.

Niektórym osobiście uczciwym opozycjonistom taka perspektywa, jeśli się nie mylę, wydaje się zbyt przyziemna i moralnie uwłaczająca (nie mówiąc o tych, którzy gotowi byliby swoją „ukochaną ojczyznę" zniszczyć i naród przetrzebić dla swego osobistego zysku lub kariery). Przyziemna dlatego, ponieważ oznacza tak pogardzany kompromis (będący zresztą w normalnych społeczeństwach źródłem wewnętrznego ładu i pomyślności), a uwłaczająca, ponieważ tylko klęska uważana jest przez niektórych współczesnych nam „romantyków" za sytuację wzniosłą moralnie, ponieważ szlachetni są eo ipso skazani na przegraną, dzięki czemu zresztą będzie im się w ich mniemaniu należeć podziw narodów dla ich cierpiętnictwa.

Jest się o co wspólnie martwić w Polsce w tym trudnym dla nas okresie, a niedobrze na tym wyjdziemy, jeśli o tę realnie istniejącą będą się martwić jedynie ci, którzy ponoszą za nią codzienną odpowiedzialność. Oby w rozpoczynającym się roku wyzbyli się swoich niebezpiecznych złudzeń ci, którzy wyobrażają sobie, że można się dobrze przysłużyć narodowi szkodząc interesom państwowym PRL, a także ci, co wierzą zabobonnie, że kto inny strzela, a kto inny kule nosi i będzie je ostrożnie przenosił ponad polskimi głowami.

Ale też każdego, kto uzna konieczność porozumienia i lojalnego współdziałania z siłami prosocjalistycznymi, jako konieczne wymaganie polskiej racji stanu, powinna zawsze i wszędzie witać życzliwie wyciągnięta ręka. Bo przecież nie dla propagandowej zagrywki, nie dla przymilenia się komukolwiek w świecie najwyżsi przedstawiciele władzy składali oświadczenia, iż zemsta i odwet będą nam obce. Jeśli ktoś tego nie rozumie, szwankuje mu polityczna wyobraźnia, a może też sprawy publiczne nie leżą mu zbytnio na sercu.

Najwyższa pora, by wszyscy ludzie dobrej woli zjednoczyli się wreszcie we wspólnym zmartwieniu o tak jeszcze trudne dla kraju dni i lata.

JERZY KWIECIŃSKI

Czy będzie wojna?

Jedni mówią: — *nie straszcie nas tą wojną i tymi rakietami.* A przecież nikt nikogo nie straszy. Uświadamia się tylko ludziom niebezpieczeństwo, w jakim wszyscy żyjemy. Uświadamia się stan zagrożenia.

Inni mówią: — *na nic to całe gadanie, bo to nie od nas zależy. Ktoś gdzieś naciśnie guzik i będzie po świecie. Nawet nie zdążymy pomyśleć, że to już. I po wszystkim.*

I ten pogląd nie jest do końca taki słuszny, jakby się to wydawało. Od nas dużo zależy. Jeśli wszyscy ludzie dobrej woli, ludzie mogący sobie wyobrazić, co będzie, gdy ktoś ten guzik naciśnie, jeśli ci wszyscy ludzie wspólnym wysiłkiem powstrzymają rękę wyciągającą się do guzika...

Jeszcze inni mówią: — *to nie nasza sprawa. Dwa supermocarstwa się wykończą, a nam nic się nie stanie.* Jest to pogląd bardzo typowy dla nas. Zawsze jakoś oczekujemy, że cały problem za nas załatwią inni.

W 1939 roku liczyliśmy na Anglię i Francję. Liczyliśmy, że energicznie przystąpi do wojny i Francja, i Anglia. Liczyliśmy, że Anglicy desant wysadzą w Gdańsku że....

Przez całą wojnę ludzie patrzyli na zachód, oczekując stamtąd wolności, a ona przyszła od wschodu. A gdy walczyła Warszawa, patrzono w niebo, oczekując zrzutów i pomocy polskich oddziałów spadochronowych...

Po wojnie przeciwnicy władzy ludowej oraz ludzie zdezorientowani też oczekiwali Amerykanów i gen. Władysława Andersa, który miał przyjechać do Polski na białym koniu. Ale nic takiego się nie stało.

W dniach „burzy i naporu" roku 1981 też różni ludzie oczekiwali, że przyjdą inni i za nich załatwią nasze sprawy. I trzeba było wielkiej odwagi i stanowczości, aby samemu uporządkować sprawy we własnym kraju. Robimy to zresztą do dziś.

Niedawno w USA wyświetlano film pt. „Dzień po tym". Julian Bartosz napisał w „Przeglądzie Tygodniowym", że nie będzie żadnego dnia po tym. Mamy dla siebie tylko dni przed tym i musimy je zachować jak najdłużej. Bo po tym nie będzie już nic. I nikt chyba nie ma ochoty stać się luźno biegającymi cząsteczkami w atomowej burzy. Trzeba chyba nie mieć za grosz wyobraźni, aby oczekiwać atomowej bomby, która zmiecie komunistów i całe zło i rozwiąże wszelkie sprzeczności tego świata. Trzeba być chyba skończonym głupcem, aby tego chcieć. I otóż znaleźli się tacy wśród nas. Przeprowadzone niedawno badania wśród studentów ujawniły, że 6 proc badanych spokojnie godzi się na wybuch wojny atomowej i nawet oczekuje na nią. Tylko 6 procent, czy aż 6 procent? Jak byśmy na to pytanie nie odpowiedzieli, jest to przerażające!

Gdy patrzę w przeszłość, do dni, kiedy wszyscy na świecie cieszyli się klęską faszystowskich Niemiec, kiedy w Europie, a wkrótce i na świecie zapanował pokój, to uświadamiam sobie, że przecież od tamtego czasu nie było dnia bez wojny. Toczyła się ona w Grecji, w Korei, na Bliskim Wschodzie, w Indochinach. Dziś walczą na piaskach Iraku i Iranu, w Bejrucie, w Środkowej Ameryce. Są to i były wojny różnego rodzaju: domowe, lokalne, kontrrewolucyjne, wyzwoleńcze. Toczą się walki na tle religijnym, sprzeczności interesów politycznych, gospodarczych.

Można dojść do przekonania, że lokalne wojny stanowią klapę bezpieczeństwa dla świata podzielonego. Świat ten jest targany podstawową sprzecznością, jaka występuje między kapitałem i proletariatem. Dotychczasowy rozwój społeczeństw pokazuje niezbicie, że rozwiązanie tej sprzeczności może być jedyne: zniesienie kapitału. Sposobów na to może być wiele. I prawdziwości tego nie mogą zmienić błędy i niepowodzenia krajów, które już u siebie tę sprzeczność podstawową rozwiązały.

Ale, czy rozwiązanie tej podstawowej sprzeczności musi dokonać się tylko w drodze wojny? Otóż nie. Takiej konieczności nie ma i nie może być. Dotychczasowy rozwój społeczeństw świata wskazuje niezbicie, że rewolucyjne przemiany — zgodnie z prawidłowościami dialektyki — mogą dokonać się tylko tam i tylko wówczas, gdzie i kiedy dojrzeją do tego wewnętrzne warunki.

Groźba dla pokoju wynika jednak nie tylko z narastania sprzeczności między kapitalizmem i socjalizmem, z zagrożeń kapitalizmu. Groźba dla pokoju wynika również z narastającego wyścigu zbrojeń, z nagromadzenia takiej ilości broni masowej zagłady, broni atomowej, wodorowej, neutronowej, laserowej i wszelkiej innej, że może nastąpić przełamanie momentu krytycznego i wszystko to wybuchnie niejako automatycznie, za wolą człowieka oczywiście. Po prostu użycie tej nagromadzonej do granic niemożliwości broni stanie się niejako automatycznie konieczne. Uniknąć tej groźby można tylko przez rozbrojenie.

Gdy więc będziemy przy skromnym wigilijnym stole składali sobie życzenia, nie zapomnijmy o tym, co najważniejsze — abyśmy żyli w pokoju, bo tylko w pokoju możemy spokojnie rozwiązać swoje wewnętrzne sprawy. I tylko wspólną wolą pokoju możemy spowodować, że na pytanie: czy będzie wojna? — padnie nasza wspólna odpowiedź: NIE!!!

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Korzystam z zaproszenia

TOMASZ SAS

do dyskusji nad ogłoszonym właśnie dokumentem Rady Państwa — „Założeniami do projektu ordynacji wyborczej do rad narodowych". (Nb. określenie „założenia do projektu" wydaje mi się nieco zagmatwane; reguły logiki języka polskiego nakazują rozumieć to jako zbiór zasad ogólnych, swoisty wykład filozofii przyszłej ordynacji lub też eksplikację politycznych przesłanek dla jej sformułowania. Tymczasem z treści dokumentu wynika, że jest to po prostu kompletny projekt aktu prawnego — może należałoby nazwać go projektem wstępnym, aby uniknąć narzucającego się wrażenia, że coś zostało już przesądzone...).

Projekt nowej ordynacji wyborczej do rad narodowych w niczym nie przypomina projektu, którym zajmowałem się w „Odgłosach" przed tygodniem. I to nie dlatego, że autorami tego są eksperci zatrudniani przez Radę Państwa, a tamtego — Józef G. z miasteczka K. niedaleko Bielska-Białej. Józef G. nie ustępuje stołecznym prawnikom w dziedzinie precyzji i logiki sformułowań. Natomiast jego „ordynacja" jest poważnie obciążona grzechem politycznej naiwności (a nie mądrości, jak to nader niefortunnie był uprzejmy wykoncypować w ubiegłym tygodniu nasz „odgłosowy" chochlik drukarski, a może ściślej: korektorski). Zarzutu tego żadną miarą nie można postawić projektowi Rady Państwa — stoi on na gruncie realnie istniejącego układu sił politycznych w kraju, kluczową rolę w organizowaniu wyborów powierzając Patriotycznemu Ruchowi Odrodzenia Narodowego, co jest zgodne chyba z przeważającą treścią odczuć społecznych w tej mierze.

W tym miejscu godzi się poczynić jedną uwagę ogólniejszej natury, dotyczącą funkcjonujących w opinii społecznej wątpliwości co do terminu wyborów. Otóż — jak słusznie zauważył rzecznik prasowy rządu min. Jerzy Urban, na konferencji dla dziennikarzy krajowych 15 grudnia br. — wybory parlamentarne odbywają się w całym świecie wyłącznie wtedy, gdy osiągnięty zostanie warunek pełnej wewnętrznej stabilizacji politycznej. Polska nie jest w tej regule wyjątkiem, toteż polityczna propozycja odroczenia wyborów złożona Sejmowi, który jest suwerennym gospodarzem swej kadencji (także czasu jej trwania, co jest kwestią o znaczeniu konstytucyjnym), wydaje się być uzasadniona. Istnieją wszelkie przesłanki ku temu, że posłowie zgodzą się z tą sugestią. Możliwość przeprowadzenia wyborów do rad narodowych, ściśle związana wszakże ze zbliżającym się terminem wejścia w życie nowej ustawy o radach, zarysowuje się już teraz. Projekt nowej ordynacji wyborczej jest praktycznym wyrazem postępującej stabilizacji politycznej — stabilizacji, bez której mowy być nie może o pełnej demokratyzacji aktu wyborczego. Nb. uruchomienie demokratycznych mechanizmów wyborczych w warunkach nie do końca osiągniętego uspokojenia nastrojów może przecież wydatnie przyspieszyć ową pożądaną stabilizację.

Projekt nowej ordynacji wyborczej do rad narodowych zawiera na ogół rozwiązania słuszne, z którymi się zgadzam, nadto dwie propozycje, które pochwalam i jedną, przeciw której chciałbym uroczyście i gorąco zaprotestować.

Bliższym omówieniem całości projektu nie mogę się zająć, zważywszy szczupłość miejsca, które mam do dyspozycji — przynajmniej na razie, albowiem przewiduję, że niebawem będę mógł poświęcić ordynacji znacznie więcej uwagi.

Pierwszym z rozwiązań, na które zwróciłem szczególną uwagę, jest tryb zgłaszania kandydatów na radnych. W myśl projektu kandydatów wyłaniają Kolegia Wyborcze — ogólnokrajowe i niższych szczebli. Przewodniczącymi kolegiów są przewodniczący Rady PRON odpowiednich szczebli, a w ich skład wchodzą przedstawiciele organizacji będących sygnatariuszami Deklaracji w sprawie PRON z 20 lipca 1982 roku. W skład kolegiów wojewódzkich i niższego szczebla mogą wchodzić także przedstawiciele związków zawodowych, socjalistycznych związków młodzieży, społeczno-zawodowych organizacji rolników i innych organizacji, jeżeli tak ustali kolegium ogólnokrajowe.

Sygnatariusze deklaracji —czyli PZPR, ZSL, SD, PAX, ChSS i PZK-S oraz wymienione już związki, a nadto ZBoWiD i Liga Kobiet oraz inne organizacje masowo uczestniczące w PRON mają prawo zgłaszania kandydatów na radnych; kolegia wyborcze też dysponują prawem inicjatywy w tej mierze. Potem lista podlega weryfikacji społecznej w trakcie konsultacyjnych zebrań z wyborcami. Zebrani mogą składać wnioski w sprawie poparcia kandydatów, wycofania konkretnej kandydatury i przedstawienia nowego kandydata. Na liście wyborczej (jednej i wspólnej) nie może się znaleźć nazwisko kandydata, który nie uzyskał poparcia na zebraniu przedwyborczym. To ostatnie zastrzeżenie jest dość daleko idącą gwarancją autentyczności kandydatów, co szczególnie powinno ucieszyć zwolenników rygoryzmu wyborczego (do których sam się zaliczam) — czyli żadnych ustępstw, złagodzeń ani ułatwień — dla nikogo!

Drugą godną uwagi propozycją jest jeden z wariantów możliwości unieważnienia wyborów — każdy wyborca może w ciągu siedmiu dni od ogłoszenia wybory do rad narodowych stopnia wojewódzkiego. Radnych wojewódzkich, wedle projektu, wybieralby spośród siebie radni rad narodowych szczebla podstawowego. I to by w końcu nie było takie złe — jako rozwiązanie pragmatyczne, upraszczające procedury powszechnego głosowania. Ale postulat demokratyzacji życia publicznego stoi — moim zdaniem — w dość wyraźnej sprzeczności z takim konfidencjonalnym przeprowadzeniem wyborów do rad wojewódzkich praktycznie poza kontrolą społeczną (nawet listy kandydatów ogłasza się tylko radnym, którzy będą dokonywać wyboru). A przecież opinii publicznej nie może być obojętne, kto będzie obywateli reprezentował w najwyższym terenowym organie władzy, o znacznych — wedle nowej ustawy o radach — kompetencjach bezpośrednio dotykających sfery praw obywatelskich i ich najżywotniejszych interesów. Uważam, że do rad wojewódzkich należy wybierać ludzi o nieco innych cechach osobowości niż do rad podstawowych. Po prostu najlepszych z najlepszych, cieszących się większym, niż lokalne, szacunkiem i uznaniem społecznym. I to też powinni robić wyborcy bezpośrednio.

Ale nie to jest głównym motywem mego sprzeciwu. Oto projekt przewiduje — *„mając na względzie istotne potrzeby wojewódzkich rad narodowych związane z udziałem specjalistów w rozstrzyganiu złożonych spraw o zasięgu wojewódzkim — celowe jest zapewnienie warunków dla wyboru na radnych (...) obywateli spoza składu rad narodowych stopnia podstawowego, a posiadających odpowiednie fachowe przygotowanie w różnych dziedzinach gospodarki terenowej"*

Nie można się na to zgodzić! Jeżeli istotnie fachowcy są radzie potrzebni, to niech albo startują w wyborach powszechnych jak wszyscy kandydaci, albo niech rada powołuje sobie ekspertów, ciała doradcze, konsultacyjne itp. A takie rozwiązanie, jak w projekcie (rezerwujące dla nich od 10 do 20 proc. miejsc) prowadziłoby w prostej linii do zapełnienia rad urzędnikami, którzy z natury rzeczy winni być przed radą odpowiedzialni. Potrzebny jest np. fachowiec od komunikacji — powołujemy dyrektora MPK, potrzebny medyk — wybieramy dyrektora ZOZ... Jest to typowa antydemokratyczna, menedżerska zagrywka biurokratów. Nie wolno ulec złudzeniu, że to radzie ułatwi funkcjonowanie. Może być zupełnie odwrotnie — rady zostaną przez „urzędników" sparaliżowane. Dlatego właśnie protestuję przeciw wariantowi zakładającemu wybory pośrednie do wojewódzkich rad narodowych.

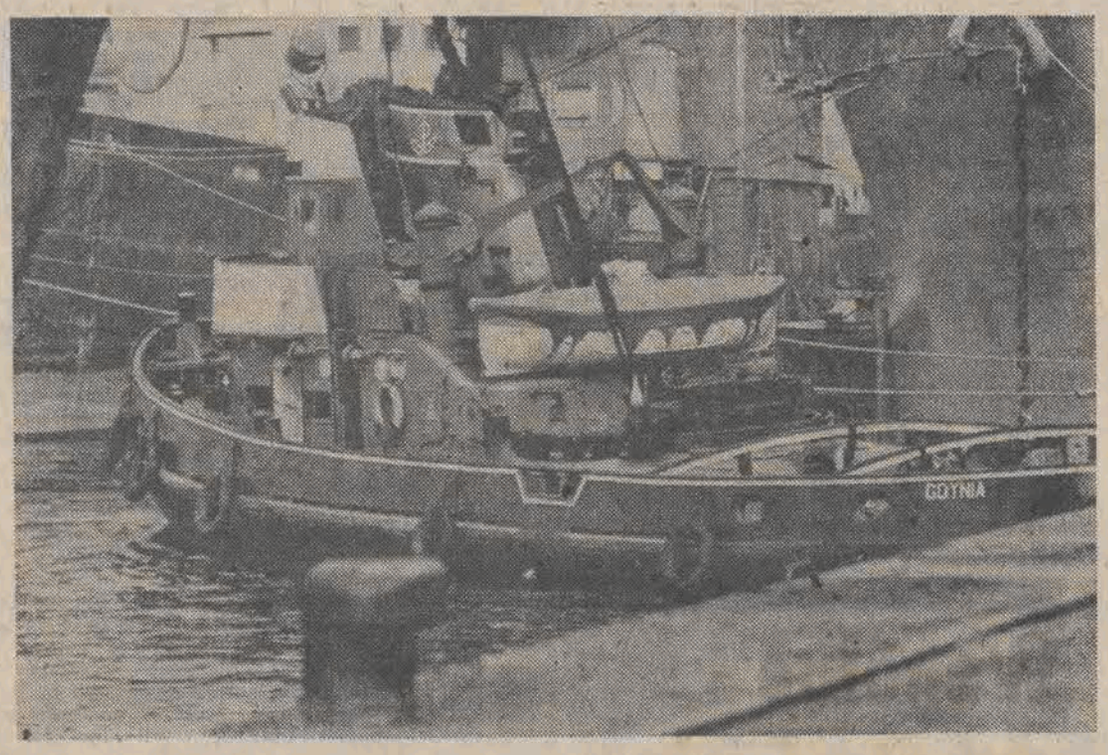

Jaki jesteś kapitanie

PAWEŁ TOMASZEWSKI

Kapitan żeglugi wielkiej przed czterdziestką to wielka rzadkość. Dużego trzeba bowiem doświadczenia, by zająć na statku miejsce „pierwszego po Bogu". Zdarzają się jednak wyjątki. Józef Miłobędzki kapitanem na „Krakowie" został mając zaledwie 28 lat. Było to dosyć dawno temu, w 1949 roku. Teraz jest już na zasłużonej emeryturze, ale na Wybrzeżu ciągle mówią o nim — najmłodszy.

ZEW MORZA

Z urodzenia jest Józef Miłobędzki warszawianinem, a właściwie — jak mówiło się przed wojną — aninianinem. Pamięta, że do rodzinnego domu szło się ze stacji Wawer, a potem z nowej stacji Anin przez las Branickich, przez paprocie, które wydawały mu się wtedy, małemu chłopcu, bardzo wysokie.

Od samego dzieciństwa coś ciągnęło go do wody. Już jako siedmio- czy ośmiolatek założył z kolegami Związek Morski. Zbierali informacje o statkach, pływaniu..., mieli nawet własną pieczęć — z kartofla. Potem należał do Ligi Morskiej i Kolonialnej. Dziś ta nazwa, a zwłaszcza jej drugi trzon, brzmi w polskich ustach trochę dziwnie, ale wówczas... Na młodzieńczą wyobraźnię działały opowiadania ojca o tym, jak to Polacy osiedlać się będą w Afryce. Raz była to Angola, kiedy indziej znów — Madagaskar. Oczywiście były to tylko złudzenia.

W rodzinie nie było właściwie żadnych tradycji związanych z morzem. Ojciec był głównym inspektorem lasów państwowych. Jedynie jeden z wujów, Zygmunt Pankiewicz był zapalonym harcerzem i jachtsmenem. Pływał między innymi jako pierwszy oficer u generała Mariusza Zaruskiego na „Zawiszy Czarnym". Może to właśnie zadecydowało o wyborze drogi życiowej? Kto wie. W każdym razie po czterech latach nauki w słynnym warszawskim Gimnazjum im. Władysława IV, czyli po tak zwanej małej maturze zdał Józef Miłobędzki egzaminy do Szkoły Morskiej w Gdyni i zaraz potem wypłynął po raz pierwszy w morze. Był to ćwiczebny rejs przyszłych „wilków morskich" na „Darze Pomorza" po Bałtyku. Zbliżał się koniec sierpnia 1939 roku.

MARYNARZ Z „BŁYSKAWICY"

Pierwszy września zastał ich w Oxelösund, małym porcie w południowej Szwecji, gdzie kapitan „Daru", Konstanty Kowalski zawinął na wieść o zbliżającym się wybuchu wojny. Wszyscy chłopcy chcieli wracać do kraju, ale było to już wówczas prawie niemożliwe. Jedynie kilkunastu najstarszym udało się jakoś dolecieć samolotem ze Sztokholmu do Wilna. Pozostali drogą morską dostali się do Szkocji. Opisał to dokładnie Karol Olgierd Borchardt w swojej znanej książce „Znaczy kapitan".

Później zostawiono chłopcom wolny wybór. Kto chciał — szedł do polskiego wojska we Francji, kto chciał — do marynarki wojennej lub handlowej, w której służba traktowana była, co podkreślał sam generał Sikorski, jak normalna służba wojskowa. Józef Miłobędzki wybrał jednak wojenną i wkrótce znalazł się wśród załogi niszczyciela „Błyskawica", gdzie spędził prawie trzy trudne, wojenne lata.

Z końcem 1942 roku kapitan Kowalski ściągnął go do Southampton. Przy miejscowym uniwersytecie istniał tam wydział polski, a na nim paromiesięczne kursy oficerów marynarki. I tak oto starszy marynarz z „Błyskawicy" awansował na asystenta pokładowego, by w 1945 roku wrócić do Polski na „Morskiej Woli" już jako drugi oficer.

PASTERKA W WATYKANIE

Tegoroczne święta Bożego Narodzenia Józef Miłobędzki spędza w domu w Sopocie, z rodziną, wśród najbliższych. Tak, jak marzy o tym każdy z nas. A przecież nie zawsze tak bywało. Ile wigilijnych kolacji przychodziło spożywać wśród bezkresu wód lub w jakimś obcym porcie?

Snują się wspomnienia...

Po skończeniu kursu oficerskiego Józef Miłobędzki zamustrował się na s.s. „Białystok". Najpierw ze Stanów Zjednoczonych wieźli zaopatrzenie dla wojsk alianckich w południowej Europie i północnej Afryce, a potem — to w dużym skrócie — z Laurenco Marques (obecnie: Maputo) w Mozambiku „chudy" węgiel do Włoch i niedługo przed Bożym Narodzeniem zawinęli do Civitavecchia — kilkadziesiąt kilometrów od Wiecznego Miasta.

— Pamiętam, jak któregoś dnia wyszliśmy na via Aurelia — drogę prowadzącą z północy do Rzymu. Pędziły po niej na front amerykańskie i angielskie jeepy, wśród których były też i ze znakami białego orła. Jeden z nich udało nam się zatrzymać. W rozmowie z młodym polskim oficerem dowiedzieliśmy się, że w bazylice św. Piotra odprawiana będzie pasterka, celebrowana przez samego papieża Piusa XII, a kolędy śpiewać ma chór naszego II Korpusu. Tak nam się zachciało to zobaczyć, że zapytaliśmy z kolegą kapitana, czy by nas nie wysłał do Rzymu służbowo. Kapitan zwołał naradę i — zgodził się, zaś starszy mechanik, Władysław Zioło polecił nam, że jak będziemy w tym Watykanie rozmawiać z papieżem, to mamy go koniecznie zapytać, dlaczego nie wyklął Hitlera i Mussoliniego, którego nazywaliśmy na statku Musiałkiewiczem. Oczywiście z pełną powagą obiecaliśmy, że to zrobimy, choć gdzie nam tam było rozmawiać z papieżem. Żeby choć tylko go zobaczyć!

— Kiedy znów wyszliśmy na via Aurelia, na południe mknęły puste samochody wojskowe i choć staliśmy dosyć długo, żaden nie chciał nas podwieźć. Dopiero gdy wyciągnęliśmy kilka butelek wina, a było to chianti, i zaczęliśmy nimi machać, zatrzymał się jeep prowadzony przez Murzyna, któremu od razu wyjaśniliśmy, gdzie i po co jedziemy. Popijając to chianti szybko staliśmy się przyjaciółmi. Nasz kierowca śpiewał nawet z nami polskie kolędy, choć w jego ustach brzmiały zupełnie jak jakieś songi z południowych stanów USA. Powiedział też, że zna pewnego polskiego „barbiere" (fryzjera), u którego będziemy mogli przenocować.

— Do bazyliki św. Piotra waliły nieprzeliczone tłumy ludzi. Długo nie mogliśmy docisnąć się nawet do bramy, która w międzyczasie już zamknięto. Na szczęście drogę torował nam ów Murzyn, jak małpa wdrapał się na tę bramę, a my za nim. Myśleliśmy, że przejdziemy górą, ale nie dało rady i tak, siedząc na jakiejś poprzeczce, słuchaliśmy ze łzami w oczach „Lulajże Jezuniu", „Wśród nocnej ciszy"...

— W końcu po bazylice ruszyła procesja. Papież, niesiony na złotym tronie, kropił wiernych na lewo i prawo, wolno zbliżając się w naszym kierunku. Wtedy nasz Murzyn zaczął krzyczeć, że jesteśmy tutaj, na bramie i papież rzeczywiście spojrzał do góry. Pobłogosławił nas z daleka, a ja wygłosiłem do niego orędzie przygotowane przez starszego mechanika. Oczywiście — po polsku. Po powrocie na statek mogliśmy więc z dumą zameldować, że zadanie zostało wykonane. Byliśmy przecież służbowo...

KAPITAŃSKI MOSTEK

Powikłane losy polskich marynarzy, których wojna rozrzuciła po całym świecie. Trudne decyzje do podjęcia. Wracać do kraju, czy zostać na Zachodzie? Jaka jest ta nowa Polska? Różne doświadczenia, argumenty, postawy. Nie wszystko było przecież jasne, wojna na każdym wycisnęła swe bolesne piętno. A człowiek nie zmienia się tak nagle, chociaż...

Jedni byli za, inni — przeciw. W wielogodzinnych dyskusjach przekonywali się gorąco, kto ma naprawdę rację. Długie Polaków rozmowy... A potem — bywało — w ciągu jednej nocy zmieniali zdanie. Ten, który tak głośno krzyczał o zdradzie, nie tylko wracał do Ojczyzny, ale i zajmował potem wysokie stanowiska w partii. Inny, mimo wszystko postanawiał zostać. Dochodził do pieniędzy. Teraz odwiedza Polskę, witany z honorami jako przedstawiciel Polonii. A przecież kto by wtedy pomyślał?...

Józef Miłobędzki nie miał wątpliwości. W kraju została matka, rodzeństwo... Wrócił trzecim statkiem, jaki przybył do wyzwolonej Gdyni z Zachodu. Awansował. W kwietniu 1949 roku po raz pierwszy stanąć miał na kapitańskim mostku.

— Pamiętam, że „Kraków" stał w Gdańsku przy Nabrzeżu Węglowym. Mieliśmy płynąć do Rotterdamu i dalej na Morze Śródziemne. Gdy przejmowałem statek, w kasie brakowało 20 tys. franków francuskich (poprzedni kapitan wszystko mi później uregulował), brakowało też kilku ludzi z załogi. Poszliśmy więc do knajpy, która mieściła się na tym samym nabrzeżu w drewnianym baraku. Pełno było tam marynarzy portowych dziewczynek, ktoś grał na harmonii... Sala była tak zadymiona, że musieliśmy rozpoznawać po nogach, kto jest z naszej załogi, bo wyżej nic już prawie nie było widać.

— Tak, to były ciężkie czasy, zwłaszcza dla tak młodego kapitana jak ja, który musiał wszystko utrzymać w swoim ręku. Nie bałem się jednak odpowiedzialności. Wiedziałem, że dam sobie radę.

— Co tu dużo mówić — marynarze wracający z wojny często byli alkoholikami. Pili, żeby po prostu przetrzymać długie wojenne rejsy. A potem nałóg pozostawał. Oczywiście nie na wszystkich statkach można było mieć alkohol. Niektórzy kapitanowie mieli statki zupełnie „suche", ale marynarze pili za to w portach. W jednym kanadyjskim porciku, gdzie zawijały też i nasze jednostki, wchodzące w skład konwojów, w leśnej głuszy stała drewniana buda i tam można było zawsze kupić drinki po cenach wolnocłowych. Więc marynarze przywieszali sobie drutem do ramienia kawał płótna z wymalowaną nazwą statku. Dzięki temu można ich było potem odnaleźć, posegregować i dostarczyć na właściwy pokład.

— Ci, znowu, którzy wojnę przeżyli w kraju, mieli wyjątkowe zdolności do handlu. Ciągle coś kupowali, sprzedawali... Takie to były czasy.

TEORIA PRZEMYTU

Każdy chciał się jakoś urządzić. Każdy myślał o lepszym, dostojniejszym życiu dla siebie, dla rodziny... W zniszczonym wojną kraju brakowało prawie wszystkiego — no, może oprócz spirytusu. A za spirytus w zagranicznych portach można było kupić zegarki, jedwabne pończochy, liście laurowe, skórę na podeszwy... Wszystko. Spirytus był w Polsce tani, a zegarki „Atlantic" — drogie, więc jak tego nie wykorzystać? Ludzie są tylko ludźmi i zawsze znajdzie się ktoś, kto to zrobi.

Oprócz alkoholu wywożono też z Polski srebro. Marynarze przygotowywali sobie specjalne pasy, w które zaszywali srebrne monety. Niejedną willę na Wybrzeżu postawiono z tego właśnie srebra.

Arkusze skóry wkładało się pod mundur. Podobnie pończochy, jeśli były to „rozsądne" ilości. Zegarki chowano gdzieś w rurach, w puszkach z kakao. Z celnikami prawie zawsze można się było jakoś dogadać. Ich żony też chciały mieć jedwabne pończochy...

— W różnych okresach przemycano różne rzeczy — wspomina Józef Miłobędzki. — Na przykład zaraz po wojnie całymi workami wożono wanilinę (jest to biały proszek, zastępujący w wyrobach cukierniczych cukier albo sacharynę, pachnący wanilią i bardzo słodki). Duży przemyt szedł z krajów skandynawskich — przede wszystkim za wódkę i spirytus, którego Skandynawowie byli spragnieni, gdyż tam alkohol był bardzo drogi.

— Pamiętam, zawinęliśmy kiedyś do fińskiego portu Vaasa. Było to tuż przed świętami i w tamtejszych sklepach widniały wielkie napisy „Wyprzedaż". Widząc to, nasi marynarze napisali na burcie statku, że tu również jest wyprzedaż — sprit, przekreślone 600 marek i obok obniżona cena 500. Całe wycieczki przychodziły na statek, a celnicy... Celników wcześniej po prostu upito.

— Potem władze portowe zaostrzyły się do kontroli i nieraz przychodziło płacić za przemyt wysokie kary, ale w sumie nie rozwiązało to problemu. Na co w kraju popyt nie jest zaspokojony, to będą marynarze przywozić z zagranicy, żeby nie wiem jakie kary im groziły. Zmniejszy się być może liczba przemytników, bo ryzyko większe, ale za to wzrosną ceny i ci odważni będą się tylko jeszcze bardziej bogacić. Jest nawet taka teoria na temat przemytu. Choćby na podstawie moich obserwacji sądzę, że prawdziwa.

NA „CZARNEJ LIŚCIE"

Koniec lat czterdziestych i początek pięćdziesiątych był rzeczywiście trudny dla ludzi morza. Należało jak najszybciej postawić na nogi wyniszczoną gospodarkę, a to oznaczało między innymi — odbudować porty, ożywić handel morski...

Jakże łatwo dziś pisze się te słowa, a przecież kryje się za nimi ogromny, często nadludzki wysiłek tysięcy robotników, inżynierów, marynarzy...

Rejsy po Bałtyku i innych morzach nie były tak bezpieczne jak obecnie. Oprócz zagrożeń, które zawsze czyhają na morzu, występowały też wtedy i inne, o których teraz mówi się już w czasie przeszłym. Wystarczy przypomnieć pływające jeszcze na wielu wodach miny, zatopione wraki statków, na które można było wpaść przez nieuwagę, rozpruwając poszycie... To nie były żarty. Niejednemu kapitanowi cudem udało się uniknąć katastrofy.

Na lądzie też nie było słodko. Błędy w polityce wewnętrznej państwa w okresie, tak zwanego kultu jednostki nie ominęły przecież i Wybrzeża. Wielu zasłużonych kapitanów musiało odejść z czynnej służby w marynarce. Musiało przestać pływać. Większość, a wśród nich i Józef Miłobędzki — na kilka lat, niektórzy — na zawsze.

Blaski i cienie morskiej rzeczywistości. Wielobarwna mozaika przeżyć, wspomnień, refleksji, które nie chcą się ułożyć w jednoznaczny obraz.

JAK NAS WIDZĄ

A potem przyszedł Październik i znów można było wyjść w morze. Jak w kalejdoskopie zmieniały się statki, przewożone ładunki, egzotyczne porty na wszystkich kontynentach świata... Przedsiębiorstwo Polska Żegluga Morska, do którego Józef Miłobędzki przeniósł się z Polskich Linii Oceanicznych, zajmowało się trampingiem, nigdy więc nie było do końca wiadomo, dokąd przyjdzie wypłynąć w następny rejs. A niektóre rejsy trwały długo, 5—6 miesięcy. Kilka dni odpoczynku w domu i znów pół roku w zamkniętej przestrzeni statku. Codziennie te same twarze, opowiadane już dziesiątki razy te same historie, te same dowcipy... Nie wszyscy wytrzymywali w takich warunkach. Wystarczyło nieraz, że jakiś marynarz dłużej nie otrzymał listu od rodziny, a przychodziło załamanie, apatia, albo wprost przeciwnie — stawał się agresywny i trzeba go było wysadzić na ląd w najbliższym porcie. Bo wcale nie reumatyzm jest najgroźniejszą chorobą zawodową ludzi morza, ale — różnego rodzaju nerwice.

— W ogóle ludzie na lądzie mają często fałszywe pojęcie o naszym środowisku. Najczęściej widzą marynarza tylko przez te kilka dni, kiedy statek ma postój w porcie na rozładunek i załadunek. A przez te kilka dni spraw do załatwienia jest dużo, bo tu żona prosi, żeby zajrzeć do szkoły, tu musi iść do dentysty, administracji osiedla... Nie było go przecież w domu przez parę miesięcy. Czy można się więc dziwić, że taki marynarz bierze taksówkę w porcie i na przykład ze Szczecina przyjeżdża nią do Gdańska? Chce przecież jak najdłużej być też z żoną, dziećmi, spotkać się z rodziną, znajomymi.... Ale ludzi już w oczy kole, że „stale rozbija się taksówkami", że na spotkaniu towarzyskim wypił te parę kieliszków wódki i „stale jest pod rauszem". A to są często pozory, bo może być to poczciwina, który przez cztery miesiące żył prawie jak mnich, pozbawiony tych wszystkich uciech i przyjemności, które na lądzie są rzeczą normalną.

POD OBCĄ BANDERĄ

Jest taki zwyczaj, że pod koniec kariery zawodowej wielu marynarzy dostaje roczny, czy nawet dłuższy urlop, żeby popływać na zagranicznych statkach. Powód jest prozaiczny — wzmocnienie kieszeni przed emeryturą i to w waluty wymienialne. Nic więc dziwnego, że praca u zagranicznych armatorów cieszy się dużym powodzeniem, choć jest tak samo ciężka, a nieraz nawet cięższa niż na polskich statkach, nie mówiąc już o tym, iż zdarzają się kontrakty będące jednym wielkim oszustwem. Załatwiają to albo morskie agencje w Gdyni i Szczecinie, albo Polservis w Warszawie.

— Mnie Agencja Morska w Gdyni — mówi Józef Miłobędzki — skierowała na statek libański „Mecis Pioneer", należący do maronickiego milionera, którego nazywaliśmy panem Salimem.

Pan Salim posiadał wiele przedsiębiorstw w wielu krajach, w tym również wydział żeglugowy, dysponujący trzema statkami. Oficjalnie centrala całego jego trustu mieściła się w Bejrucie, ale naprawdę pan Salim kierował swymi interesami z Paryża, gdzie mieszkał na stałe. Do Bejrutu przyjeżdżał tylko czasami i wówczas wygłaszał krótkie przemówienie, w którym podkreślał, że wywodzi się od starożytnych Fenicjan, a ci byli słynnymi żeglarzami, więc on teraz pokaże światu, iż mimo kryzysu jego trzy statki wynikami eksploatacyjnymi zadziwią innych armatorów. Nie bardzo się to jednak udawało, gdyż pan Salim oddał swe statki do eksploatacji Grekom z Pireusu, którzy wykorzystywali go i okradali, jak tylko mogli. Poza tym, co tu dużo mówić, mali armatorzy już dawno wypadli z konkurencji.

— „Mecis Pioneer" był małym, bardzo starym statkiem, ale pływało mi się na nim przyjemnie. Załogę miałem międzynarodową, złożoną z Greków, Libańczyków, Egipcjan, Hindusów, Sudańczyków, Ghańczyków... Był nawet jeden uciekinier z Chile. Niektórzy byli dobrymi marynarzami, niektórzy zaś nie mieli żadnego pojęcia o pracy na statku i trzeba ich było wszystkiego uczyć od podstaw. Oprócz mnie było też jeszcze czterech innych Polaków: pierwszy oficer, pierwszy i drugi mechanik oraz elektryk.

— Woziliśmy make z Grecji do krajów arabskich. Wyglądało to w ten sposób, że załadunek rozpoczynał się zwykle w jakimś małym porciku, gdzie był młyn. Cała wioska ładowała te make, tradycyjnie, bez żadnych urządzeń. Trwało to bardzo długo i dlatego też statek nie mógł na siebie zarobić.

— Jeśli przystań we wsi była za mała, aby zapełnić wszystkie cztery ładownie, płynęliśmy po resztę do Salonik lub Pireusu. To było fascynujące, bo na każdym kroku czuło się tam ten oddech historii. Żałowałem, że nie mam ze sobą żadnych książek, aby przypomnieć sobie choćby to, czego uczyłem się o starożytnej Grecji w szkole. Nie miałem ich. Ale nie miałem też właściwie czasu, bo oprócz tego, że byłem kapitanem, to musiałem być też trzecim oficerem, bosmanem, sam nieraz musiałem otwierać ładownie...

— Mniej przyjemnie było natomiast u celu naszych rejsów, bo na przykład w Arabii Saudyjskiej nie pozwalano nam nawet zejść na ląd. Saudyjczycy okazali się bardzo niemili, niegościnni i wręcz fanatyczni na punkcie swojej wiary. Wszystkich „niewiernych" traktowali z góry. Pewien marynarz włoski, któremu za opłatą 60 dolarów i pod nadzorem agenta zezwolono jednak wyjść do portu, potracony został przez samochód i to nie na jezdni, a na chodniku. Ponieważ, jak każdy marynarz, był ubezpieczony, potrzebował jakiegoś oficjalnego potwierdzenia na piśmie, że uległ wypadkowi. Gdy zwrócił się o to do miejscowych władz, od razu urządzono nad nim coś w rodzaju sądu, a orzeczenie brzmiało, że nie powinien był przyjeżdżać do Arabii Saudyjskiej, bo gdyby nie przyjechał, nie byłoby wypadku, jest to zatem jego wina.

— Na szczęście nam nic takiego się nie przytrafiło i po ośmiu miesiącach pływania pod obcą banderą powróciłem do kraju w listopadzie ubiegłego roku — zdrowy i cały.

★ ☆ ★

Po 43 latach pływania kapitan Józef Miłobędzki „zacumował" wreszcie na dłużej w swoim sopockim mieszkaniu. Dopiero teraz ma naprawdę czas dla rodziny, dla przyjaciół, dla siebie. Często jednak zagląda do portu jest członkiem Stowarzyszenia Kapitanów Żeglugi Wielkiej, które zbiera się co tydzień, działa w Klubie Conradowskim przy Towarzystwie Przyjaciół Muzeum Morskiego... A jeśli zdrowie dopisze, chciałby jeszcze choć raz wypłynąć kiedyś w morze. Nie powiedział mu przecież „żegnaj", a jedynie — „do widzenia".

— O wiele gorzej czułem się, gdy w 1954 r. zabroniono mi pływać. Teraz też już nie pływam, ale wiem, że zależy to tylko ode mnie — mówi, patrząc w okno, z którego widać las. Prawdziwy duży las — tak jak przed laty w Aninie, choć paprocie w nim dużo mniejsze od tamtych.

I coś w tym chyba jest.

Rozmowa z JÓZEFEM MŁYNARCZYKIEM

Bramkarz nie może być narwańcem

Ostatnio sporo pisano a jeszcze więcej mówiono o finansowej kontroli zarządzonej przez GKKFiS w klubach I ligi. Podobno, według wyników tej kontroli pański klub — Widzew — jest na pierwszym miejscu, jeśli idzie, mówiąc delikatnie, o niejasności finansowe. Jest pan kapitanem drużyny. Co pan o tym wie?

— Nic. Sprawami związanymi z finansami klubu nie interesuję się. Od tego są inni ludzie. Powiem jasno: w dyskusjach o sprawach finansowych nie biorę udziału.

— Nie macie samorządu, nie macie rady zawodniczej, która przedstawia swoje stanowisko w istotnych dla klubu sprawach?

— Proszę mi wierzyć, sprawy finansowe nie interesują zawodników.

— Czy uważa pan, że to dobrze?

— I dobrze, i źle.

— Dlaczego źle?

— Bo wydaje mi się, że zawodnicy również powinni wiedzieć, czym klub dysponuje, na co wydaje pieniądze i tak dalej. Ale nikt nas, na przykład, nie zaprasza na posiedzenie zarządu, jeśli akurat ma się mówić o pieniądzach. A sami się do tego nie będziemy pchali.

— A czy pan, jako kapitan drużyny, nie chciałby mieć coś do powiedzenia komu i jaka premia się należy?

— Czy ja wiem? Biorę udział przy ustalaniu stypendiów dla tzw. młodszej grupy. Potem musi to zatwierdzić i zarząd, i ktoś z zawodników. Przy tych sprawach jestem. Ale jeśli pani pytała o grubsze tysiące czy miliony złotych, to my nie bierzemy w tym udziału.

— Ludzie lubią zaglądać drugim do kieszeni toteż nie ma się co dziwić, że wokół transferu Dziekanowskiego narosło tyle nieporozumień. Mówiło się nawet, że to on dostał te 21 milionów. Jak wy, zawodnicy, przyjęliście ten transfer? Jak pan to przyjął?

— Mnie się wydaje, że sprawa jest prosta. Jeśli klub stać na kupienie takiego zawodnika i dać za niego te 21 milionów, bo tyle warto za niego dać, to nie ma o czym mówić.

— Pan też uważa, że warto było wydać te 21 milionów?

— Ja też tak uważam. Słowo honoru. Do Dziekanowskiego wielu dziennikarzy, wielu ludzi nawet nie związanych z piłką, ma pretensje o jego grę. Ale niewielu bierze pod uwagę fakt, że Dziekanowski nie przepracował prawidłowo okresu przygotowawczego, bo akurat wtedy decydowano o jego dalszych losach. Nie ma mu się co dziwić, że nie grał najlepiej. Zagrał dwa dobre mecze „na świeżości" a potem mu już brakło kondycji.

— A czy pan pamięta za ile pana kupiono do Widzewa?

— Nie. Już sobie nie przypominam.

— Poważnie?

— Mówię szczerze. Proszę mi wierzyć, że zawodnik, który przychodzi do klubu, rozmawia z prezesem i mówi: ja chcę mieszkanie, ja chcę pensję, ja chcę to i tamto. A w jaki sposób klub dogaduje się z innym klubem, to dla zawodnika nie jest ważne.

— O czym pan rozmawiał, kiedy pan przechodził do Widzewa?

— Najważniejszą sprawą, podstawową było mieszkanie. To mnie najbardziej interesowało. A jak się klub dogadywał z klubem, nie wiem. Mnie przy tym nie było.

— Czy tylko dlatego wybrał pan Widzew, że dawali panu mieszkanie!

— Nie. Był to jedyny klub w którym chciałem grać. Wiedziałem, że tu będę mógł podwyższyć swoje kwalifikacje. Ta drużyna zaczęła grać w pucharach Europy. A poza tym zespół był waleczny, zadziorny i dlatego podobał mi się. Wszystko, co można najlepszego powiedzieć o drużynie piłkarskiej, było w Widzewie.

— W bramce nie zawsze wygląda pan na zadziornego. Czasami jest pan denerwująco spokojny.

— Bo to powinno cechować każdego bramkarza. Bramkarz nie może być narwańcem. To jest taka pozycja w drużynie że spokój jest niezbędny.

— Kogo z bramkarzy cenił pan najbardziej?

— Najlepszym bramkarzem, jakiego widziałem w moim życiu był Sepp Meier. Uważam, że do tej pory lepszego bramkarza nie było.

— A słynny czterdziestolatek, Dino Zoff? Czy chce pan pójść w jego ślady i bronić też tak długo?

— Czy ja wiem? Człowiek tak długo będzie grał, póki sił i zdrowia starczy.

— Co pan kupi żonie pod choinkę?

— Co kupię? Jeszcze się nad tym nie zastanawiałem ale na pewno będzie to jakiś drobiazg.

— Co to znaczy, w przypadku piłkarza, drobiazg?

— Jakieś perfumy, albo na przykład rajstopy. Przecież chodzi przede wszystkim o pamięć. Na pewno nie będzie to jakaś złota biżuteria, o co pewnie nas piłkarzy sporo ludzi posądza.

— A czy pańska żona często dostaje od pana kwiaty?

— Dość często.

— Te, które dostaje pan na meczu, jako kapitan?

— Nie. Te na ogół zostają w klubie. Kwiaty, które wręczam żonie, są tylko ode mnie.

— Oczywiście. Nie mam na razie żadnych planów, a przede wszystkim nie mam żadnych konkretnych propozycji ze strony klubów zagranicznych.

— Na Mistrzostwach Świata w Hiszpanii był pan jednym z najlepszych bramkarzy. Dlaczego nie doszedł do skutku żaden transfer?

— Bo bramkarzowi jest najtrudniej wyjechać.

— Dlaczego?

— Z tego prostego powodu, że każdy klub woli kupić napastnika, który będzie strzelał bramki. A bramkarza zawsze sobie gdzieś tam znajdzie. W wielu klubach zagranicznych może grać tylko dwóch obcokrajowców. Jeśli klub zdecyduje się kupić bramkarza, to automatycznie traci szansę na kupno piłkarza do gry w polu.

— Wie pan, że na temat pańskiego ewentualnego wyjazdu za granicę kursują ciągle jakieś plotki. Bodaj ostatnia, to propozycja z klubu austriackiego. Pisała o tym prasa.

— Niech mi pani wierzy, że ja na ogół z prasy dowiaduję się, że mam wyjechać do jakiegoś zagranicznego klubu.

— Prasa kłamie?

— Ja się akurat z prasy dowiedziałem, że mam jechać, kiedyś np. do Francji, a teraz ostatnio do Austrii. Ktoś, gdzieś coś przeczyta, przychodzi do mnie i pyta z głupia frant: a co, ty podobno gdzieś wyjeżdżasz? A ja nic autentycznie o tym nie wiem.

— Jak się panu z tymi plotkami żyje?

— Normalnie. Jeśli ktoś pyta, odpowiadam krótko, że nie wyjeżdżam, i nie ma rozmowy.

— A więc zostaje pan w Widzewie?

— No, dobrze, ale przecież stoi pan w bramce po to, żeby bronić. Wynik meczu zależy w dużej mierze od pańskiej umiejętności. Czy to jest sprawiedliwe, że wyżej się ceni napastnika?

— Na pewno, nie. Są ludzie, którzy powinni strzelać bramki i są tacy, którzy muszą bronić bramki. Ale co zrobić, żeby jednych i drugich jednakowo ceniono, nie wiem. To już nie od nas, bramkarzy, zależy.

— Mówiło się w swoim czasie dość głośno że nie stroni pan od alkoholu. A jak jest dzisiaj?

— Coś pani powiem. Wszystko jest dla ludzi, tylko po prostu trzeba wiedzieć, kiedy i co można robić.

— Wraca pan myślami do afery na Okęciu?

— Bardzo niechętnie.

— Wtedy Boniek i Zmuda ujęli się za panem i też zostali zdyskwalifikowani.

— Gdybym wówczas tak naprawdę zawalił sprawę, to nikt by się za mną nie wstawił.

— No, ale to byli pańscy koledzy z klubu.

— Ja to widzę inaczej. Oni mieli wówczas najwięcej do powiedzenia. Byli w radzie drużyny.

— A czy gdyby dzisiaj powtórzyła się taka sytuacja, miałby kto pana bronić?

— Nie wierzę, żeby taka sytuacja się powtórzyła. I dlatego nawet o tym nie myślę.

— Jak pan sądzi, dlaczego lubi pana trener Piechniczek?

— Lepiej byłoby spytać o to Piechniczka. Po prostu pracowaliśmy ze sobą przez długi czas. On zrobił ze mnie piłkarza takiego formatu, jaki reprezentuję. I to właśnie, w największej mierze zawdzięczam Piechniczkowi.

— Jak pan odbiera ostatnie ataki na Piechniczka i reprezentację?

— To naturalne, że jak są wyniki, to się pisze dobrze, a jak nie ma, to się pisze źle. A zresztą co tu ukrywać — nie mamy reprezentacji. Od czasów Mistrzostw Świata właściwie nie zagraliśmy w optymalnym składzie.

— Jak należałoby tę reprezentację budować. Jest pan przecież fachowcem.

— Ależ ja nie jestem żadnym fachowcem. Jestem piłkarzem i nie do mnie należy ustalanie składów i taktyki.

— Ale zna pan wielu piłkarzy. Spotyka się pan z nimi na boisku. Musi pan mieć o nich swój sąd. Nie wierzę więc, że pan nie wie, dlaczego nie ma reprezentacji.

— Przyczyn jest dużo. Część podstawowych zawodników reprezentacji wyjechała za granicę. Część miała kontuzje i to dość poważne, jak choćby Iwan czy Jałocha. Zawsze przed jakimś ważnym meczem trzech —czterech zawodników wypadało właśnie z powodu kontuzji, dlatego nie można było zagrać w najsilniejszym składzie.

— A jak pan wytłumaczy niepowodzenie Widzewa w Pucharze UEFA? Podczas meczu ze Spartą w Pradze Czesi poniewierali widzewiakami aż przykro było patrzeć. A przecież na ogół bywało odwrotnie.

— Trzeba sobie zdać sprawę, że w ostatnim czasie Widzew poniósł jednak zbyt wiele strat. Mam tu na myśli wyjazdy zawodników za granicę. A, niestety, nie da się tak zrobić, że sprzeda się jednych dobrych piłkarzy, a kupi się 3—4 nowych i już od razu zespół będzie grał jak dawniej. Na zgranie zespołu trzeba paru lat.

— Prezes Ludwik Sobolewski zapewniał, że już wiosną Widzew będzie nie do poznania. Czy pan w to wierzy?

— Wierzę. Bo jeśli cały zespół, cała ścisła kadra przepracuje okres zimowy solidnie to drużyna będzie grała lepiej.

— Czy pan, jako kapitan też się przyczyni do tej solidnej pracy?

— Ja akurat nie, bo będę na zgrupowaniu reprezentacji.

— Zgrupowania reprezentacji budzą wiele zastrzeżeń, trenerzy klubowi narzekają, że nie mogą właściwie przygotować swoich zawodników.

— To dlaczego Wójcicki był mimo to w formie, dlaczego na zgrupowaniach reprezentacji nie tracił formy Smolarek, dlaczego mnie się grało nieźle? Przecież również byliśmy powoływani na zgrupowania. Nie umiem powiedzieć, dlaczego 5—6 piłkarzy cały czas zachowuje równą formę, a reszta nie. Nie wiem, czym to jest spowodowane.

— No, a piłkarska młodzież? Dlaczego jakoś nie widać wyraźnych postępów? Czy przypadkiem nie szkodzi im woda sodowa, bo to i łatwo urządzić się w życiu, i działacze klubowi wydzierają ich sobie z rąk, a i za transfery co nieco skapnie.

— Być może, że niektórym młodym ludziom wydaje się, że są niezastąpieni i ta, jak pani mówi, woda sodowa może czasami uderzać.

— A w Widzewie widzi pan takich?

— W Widzewie, nie. Zresztą tu jest taka atmosfera że nikt nikomu na wodę sodową nie pozwoli. Niech mi pani wierzy.

— Proszę mi powiedzieć, czy nie żal panu Bolesty? Jest przecież dobrym bramkarzem. A z tego, co pan powiedział, wynika, że nie tak szybko da mu pan szansę pokazania się.

— Na pewno w Łodzi jest wielu bramkarzy słabszych od Henia. Ale skoro wybrał Widzew, przyszedł grać akurat tutaj, to podjął ryzyko. No i teraz odkąd Bolesta jest w Widzewie, stale jest rywalizacja o miejsce w bramce.

— Czy to panu pomaga?

— Na pewno. Jeśli człowiek czuje, że za plecami stoi rywal, to musi się przyłożyć do gry. I to solidnie.

— Dlaczego przegraliście pucharowy mecz z ŁKS? Podłożyliście się kolegom?

— W takich meczach się nie podkładamy. Zresztą ja nie przypominam sobie meczu, kiedy Widzew by się podłożył. Po prostu zaważyły kontuzje zawodników. Nie grał Jurek Wijas, nie grał Piotrek Romke, nie grał Krzysztof Kajrys, czyli nie grali podstawowi zawodnicy. Na ich miejsce weszła młodzież. I niestety, zawiodła.

— Czy z tej młodzieży w ogóle coś będzie?

— Na pewno. Zresztą nikt od razu nie był, poza wyjątkami, wielkim zawodnikiem w wieku 18 czy 19 lat. Przede wszystkim zżera ich trema. Na treningu widać przecież, że zupełnie inaczej na luzie przyjmują piłkę. Kiedy dojdzie do meczu gdzie muszą się pokazać, a jeśli jeszcze na tym meczu ma być telewizja, to zaraz dostają galaretę w nogach. I klops.

— A nie można im tej tremy wybić z głowy?

— Wszyscy im mówią: stary nie bój się, przecież to nie twój ostatni mecz, nikt cię nie chce wyrzucić, graj normalnie, na luzie, tak jak na treningu. No, ale to też wymaga czasu.

— Wróćmy w takim razie do wiosny. Puchar Polski macie z głowy. Co dalej?

— Ja mam takie wrażenie, że Widzew chyba nigdy nie będzie grał o Puchar Polski. Jakoś nie leży ten puchar Widzewowi.

— Dlaczego?

— Nie mam pojęcia. W zeszłym roku pojechaliśmy do Lechii w mocnym składzie i odpadliśmy przez rzuty karne. Teraz z kolei odpadliśmy w meczu z ŁKS.

— A czy po prostu nie lekceważycie sobie Pucharu Polski?

— Proszę wierzyć, w tym roku bardzo serio chcieliśmy potraktować te rozgrywki. I znowu nie wyszło.

— Jeśli nie Puchar, to co?

— Idziemy na całość. Po mistrza Polski.

— Czy to prawda że za przegrane mecze też dostajecie premie? Tak pisano, wasz klub podając jako przykład.

— Pierwszy raz o tym słyszę. Pierwszy raz słyszę, żeby jakikolwiek klub płacił za przegrane mecze. No, bo po co byłoby w ogóle grać, skoro można zarobić za przegrana?

— Jak pan traktuje piłkarstwo: jako pasję, zawód, czy też jeszcze coś innego?

— Piłkarstwo traktuję jako zawód. Przecież za to dostaję pensję i za to utrzymuję rodzinę. Ale jeszcze chyba i jako pasję. Bez piłki nie wyobrażam sobie w ogóle życia.

— A co pan będzie robił później?

— Nie wiem, nie zastanawiałem się jeszcze nad tym. Chyba mam jeszcze trochę czasu. Zdrowia powinno mi jeszcze starczyć na 2—3 lata.

Foto.: A. Wach

Rozmawiała:
BOGDA MADEJ

LISTOPADOWE BESTSELLERY

Czy znajdziemy je pod choinką

Jeszcze nie tak dawno książka bywała prezentem wprawdzie nobliwym, ale mało oryginalnym („Dziękuję — mawiał obdarowany — jedną już mam"). Wystarczyło wejść do księgarni i w parę chwil wybrać coś właściwego na każdą okazję. Teraz książkę trzeba zdobywać, a solenizant lub inny jubilat cieszy się jakby dostał paczkę „Popularnej". Poszły więc w górę i tego rodzaju akcje książki. Myśląc — z konieczności z wielotygodniowym wyprzedzeniem — o mikołajkowo-choinkowych powinnościach coraz częściej zerkamy w stronę witryn „Domu Książki". Zatem do rzeczy.

Koniec roku zdaje się być festiwalem **Romana Bratnego**. W ubiegłym miesiącu anonsowałem jego zbiór opowiadań „Koszenie pawi" dziś przedstawiam **„Pamiętnik moich książek"** (Czytelnik 20 tys., s. 147, cena 100 zł), drugi tom wspomnień pisarza obejmujących lata 1956-1979. I ten tom jest rejestrem uwikłań literata w poplątanych sieciach polityki kulturalnej. Jak wszystkie tego rodzaju książki (było ich niemało w ostatnim dziesięcioleciu), tak i ta jest autorską korektą, jakby autokompozycją „właściwych" proporcji własnego obrazu: taki oto byłem „naprawdę" i tak e oto okoliczności mnie wówczas determinowały. Cudzysłowy użyte w poprzednim zdaniu są oczywistością. Tego rodzaju „pamiętnik" — przeznaczony dla zwykłego czytelnika, dla decydenta, dla kolegi po piórze — zawsze jest subiektywną idealizacją przeszłości. Argumentacja — ta psychologiczna i ta socjologiczna — zaprezentowana przez Bratnego z dużą dozą powagi (czytelnik oczekiwałby anegdoty, plotki, stylizowanego skandalu) — jakoś mnie rozmiękczyła. Zacząłem się zastanawiać czy nie nazbyt obcesowo obszedłem się w ubiegłym miesiącu z „Koszeniem pawi". Moje wątpliwości pogłębił arcyciekawy wywiad, którego udzielił autor „Kolumbów" tygodnikowi „Tu i Teraz". Słyszę w Tv, że do księgarń trafia kolejna książka — „Rok w trumnie", powieść, której akcja rozgrywa się na przełomie roku 1981 i 1982. Czy jest u nas inny pisarz, który by tak natychmiast, tak na żywo, reagował na rzeczywistość? Zatem — nawet jeśli są to próby nie do ostatniego szczegółu udane — czy nie warte jednak życzliwej i rozumiejącej uwagi?

Aby już pozostać przy literaturze polskiej: wydawnictwa obdarowały nas kilkoma wznowieniami współczesnej klasyki. A więc **Juliana Stryjkowskiego „Przybyszem z Narobony"** (Czytelnik, 30 tys., s. 392, cena 120 zł.), uznawanym za najlepszą powieść tego autora; **Władysława Terleckiego „Maskami"** (Czytelnik, 30 tys., s. 515, cena 200 zł.), które zawierają trzy powieści — „Czarny romans". „Odpocznij po biegu" i „Zwierzęta zostały opłacone". Niestety, łączy te książki jedno — a mógłym podać jeszcze parę przykładów, także firmowanych nazwą „Czytelnik" — podły papier, niestaranny druk, „brudne" okładki, byle jaka oprawa. Nie cieszą więc nawet stosunkowo wysokie nakłady. Także dwa tomy, kontynuacja **„Dzieł" Jarosława Iwaszkiewicza — „Ludzie i książki"** (20 tys., s. 388, cena 160 zł) i **„Rozmowy o książkach"** (20 tys., s. 382, cena 200 zł) odbiegają poziomem edytorskim od woluminów poprzednio wydanych. Ukazał się także, firmowany przez PIW, kolejny tom **„Dzieł" Stanisława Dygata** (20 tys., s. 490, cena 150), zawierający zbiory nowel i opowiadań „Pola Elizejskie", „Słotne wieczory", „Różowy kajecik" i „W cieniu Brooklynu".

Kilka tygodni temu czytałem w jednym z krakowskich tygodników gorzkie żale nad brakiem wyraźniejszego zainteresowania naszej krytyki twórczością **Isaaca Bashevisa Singera.** No bo jakżeż! Laureat Nagrody Nobla, urodzony w Radzyminie, tworzący do roku 1935 w Polsce, a tu nikt nie klęczy, nikt nie pisze wielostronicowych esejów. Autor owych gorzkich żalów wychodzi bowiem z założenia, iż blask Nobla i miejsce urodzenia wystarczy za całą wartość. Otóż nie. Już drugą powieść Singera przedstawia nam Państwowy Instytut Wydawniczy. Tym razem jest to **„Dwór"** w przekładzie z angielskiego Ireny Wyrzykowskiej (nakład 30 tys., s. 492, cena 170 zł). PIW poleca ją w serii Klubu Interesującej Książki nie bez przyczyny. Seria ta przecież przeznaczona jest — najogólniej mówiąc — dla pierwszorzędnych powieści drugorzędnej literatury. Wydawca zalecając „Dwór" zestawia go z powieściami Elizy Orzeszkowej i Bolesława Prusa. Po przeczytaniu sądzę jednak, iż wpisanie powieści Singera w taki właśnie kontekst jest dla niego nazbyt komplementujące. Fabuła „Dworu" — historia Kalmana Jakobiego i jego rodziny, małomiasteczkowego Żyda, który dorabia się majątku — rozwija się na tle nazbyt schematycznie przedstawionych czasów Kongresówki po powstaniu styczniowym. Sposób konstruowania wątków, ich kompozycja, epicki dydaktyzm, powierzchowność motywacyjnej argumentacji w działaniach poszczególnych bohaterów przypomina mi jako żywo obyczajowo-społeczne powieści Józefa Ignacego Kraszewskiego. Tyle tylko, że u Singera mamy do czynienia z odmienną perspektywą: bohaterami nie są skrachowani ziemianie borykający się z materialnymi trudnościami w popowstaniowych ewolucjach społecznych, ale rodzina żydowska, w której obserwujemy rozkład chasydzkiej ortodoksji. Trzeba wykazać dużą odwagę literacką, aby w drugiej połowie XX wieku posługiwać się tak wytartymi konwencjami! Tak czy inaczej warto tę powieść przeczytać (wszak i Kraszewski bywa czytany) — decydują o tym jej walory poznawcze. Choć i w tym względzie (uogólnienia historyczno-społeczne!) „Dwór" jest nie bez zarzutu.

Wypadnie mi utrzymać się dalej w tej polemiczno-krytycznej konwencji. Otóż zastanawiał mnie upór, z jakim wielu księgarnianych klientów poszukiwało książki zatytułowanej **„Mówi Chandler"** (Czytelnik, 20 tys., s. 343, cena 110 zł). Wprawdzie nazwisko Raymonda Chandlera należy do najpopularniejszych wśród twórców literatury popularnorozrywkowej, to przecież książka, której tak usilnie poszukiwano, nie jest kryminałem. Jest oryginalnie skomponowaną autobiografią pisarza. Oryginalnie, bo z wykorzystaniem listów od przyjaciół, wydawców i krytyków, z fragmentami jego rozmaitych wypowiedzi na temat swojego pisarstwa, powieści kryminalnej w ogóle, współpracy z Hollywoodem itp. Kończy książkę kilkunastostronicowy urywek niedokończonej powieści „Pudli Zdrój", oczywiście z Filipem Marlowem w roli głównej. Tej swoistej autobiografii towarzyszy wstęp Krzysztofa Mętraka i syntetyczne kalendarium życia i twórczości. Wstęp ów, tak jak i cała książka, jest formą sakralizacji i nobilitacji dokonań Chandlera, o tyle wyjątkowej, iż dotyczy ona pisarza literatury drugorzędnej, którą wprawdzie powszechnie się czyta, ale nie po to, by wystawiać jej pomniki. Pisarz jak pisarz — chciałoby się powiedzieć po przeczytaniu tej książki — znakomity rzemieślnik znający dobrze arkana swojego zawodu i konwencje powieści kryminalnej. Przecież nie Steinbeck ani Hemingway, z którymi porównują go recenzenci z „Tu i Teraz" w tekście zatytułowanym „Oto człowiek" (Ecce homo? — panowie?!) Zresztą recenzja ta jest nie byle jakim curiosum: od bardzo dawna nie znalazłem w naszej prasie tyle superlatywów i przesadnie pozytywnych ocen na temat jakiejkolwiek książki.

Pozostając w obszarze literatury amerykańskiej jeszcze o dwóch książkach Czytelnika. Pierwsza to **„Listy" Williama Faulknera** (20 tys., s. 250, cena 100 zł), wybór korespondencji z kilkudziesięciu lat w układzie chronologicznym, który rysuje biografie pisarza. Listom towarzysza niezbędne komentarze i objaśnienia. Druga, to **„Piętnaście szkiców o nowej prozie amerykańskiej" Lecha Budreckiego** (10 tys., s. 272, cena 120 zł.). Autor, znany z wnikliwych i interesujących esejów o literaturze zachodnioeuropejskiej, publikowanych przeważnie w „Literaturze na Świecie", tym razem swoją uwagę skupia na wybranych nazwiskach współczesnego pisarstwa Stanów Zjednoczonych: Saula Bellowa, Ralpha Ellisona, Flannery O'Connor i Johna Updike'a, Johna Hawkes, Johna Barthe, Thomasa Pynchona i Vladimira Nabokova. Budrecki pisze we wstępie: „Szkice tu pomieszczone odznaczają się metaforycznym trybem wysłowienia. Często nie dopowiadają tego, co dopowiedzieć powinny. Liczą na domyślność i dobrą wolę czytelnika. Posługują się skrótem językowym (...) Z tych właśnie powodów prosiłbym czytelnika o tolerancję i wyrozumiałość". Cóż mogę dodać od siebie? Tyle tylko, że eseje Budreckiego wymagają lektury rozumiejącej, czasem wiary na słowo: literatura, o której pisze, jest znana u nas w stopniu dalece niewystarczającym.

Z prac krytyczno-literackich chciałbym polecić w tym miesiącu przede wszystkim **„Portrety twórców Sztuki i Narodu"** pod redakcją **Jerzego Tomaszkiewicza** (PAX, 5 tys., s. 350, cena 380 zł.), a to dlatego, iż zbiór ten niweluje lukę w znajomości polskiego życia literackiego w okresie okupacji. Przedstawia czasopismo, które decydowało wówczas o nieprzerwanej żywotności naszej kultury. Pismo i krąg jego najwybitniejszych twórców: kompozytora Onufrego Bronisława Kopczyńskiego, pisarzy i poetów — Wacława Bojarskiego, Andrzeja Trzebińskiego, Tadeusza Gajcego, Zdzisława Stroińskiego i Wojciecha Mencla. Każdy z portretów ma charakter małej monografii opisującej „życie i dzieło", solidnie udokumentowanej, bogatej w fakty, często posługującej się cytatem. Nie chciałbym przeceniać historyczno-literackiej rangi tej książki (autorzy o których mówi, także ich twórczość, godni są szerszego zainteresowania), muszę jednak powiedzieć, że może ona zmienić optykę (pełną uprzedzeń i fałszywych mitów) w której nierzadko ogląda się działalność „Sztuki i Narodu".

W WAiF-owskiej serii „Sztuka Polska" kolejny już tom, tym razem poświęcony **„Sztuce Polski Ludowej"** (40 tys., s. 385, cena 120 zł.), autorstwa **Janusza Boguckiego;** popularne, bogato ilustrowane kompendium na temat ewolucji artystycznych w naszym czterdziestoleciu powojennym. Książka przynosi podstawowe fakty, nazwiska i daty, wnikliwie i ze znajomością rzeczy je interpretuje. A ponieważ dotyczy w znacznej części tzw. sztuki nowoczesnej jej wartość jest tym donioślejsza: trudno byłoby przecież powiedzieć, że jest to sztuka rozumiana i akceptowana w powszechniejszym odbiorze.

Na koniec, jak zwykle, już tylko tytuły autorów, których polecać specjalnie nie trzeba. A zatem nowy tom wierszy **Jerzego Harasymowicza „Dronsky"** (Wydawnictwo Literackie, nakład 20 tys. s. 45, cena 30 zł.), kolejny wybór opowiadań **Julio Cortazara „Tango raz jeszcze"** (WL, 60 tys., s. 114, cena 55 zł) „nigdy realnych, lecz zawsze prawdziwych"; wznowienie zawsze poczytnego **Ericha Marii Remarque'a „Czarnego obelisku"** (Czytelnik, 50 tys. s. 405, cena 150 zł.), powieści zaliczanej do najwyższych osiągnięć autora „Łuku Triumfalnego", także wznowienie **„Domu na wzgórzu"** Erskine'a Caldwella (Książka i Wiedza", 100 tys., s. 220, cena 50 zł.).

Co może cieszyć, gdy przyglądamy się listopadowym nowościom, to wysokość nakładów poszczególnych tytułów. Co z tego — powie niejeden z zawiedzionych klientów „Domu Książki" — jeśli wciąż na nie trzeba polować. Niestety tak.

GRZEGORZ GAZDA

Zapiski z sal wystawowych

KRYSTYNA NAMYSŁOWSKA

Metafora, znak i analiza widzenia — trzy możliwie najkrótsze określenia trzech wystaw, jakie mniej więcej w jednym czasie gościły przez listopadowe dni w łódzkich salonach wystawowych. Można by użyć także innych haseł wywoławczych: Jonasz Stern, Roman Artymowski, Bolesław Utkin, i rozwijać je bez zbytniego trudu. Pierwszego nazwiska nie da się już oddzielić od krakowskiej awangardy lat tuż przedwojennych, jak i po wyzwoleniu, drugiego twórcę sytuujemy wśród tych, którzy poszukiwali najbardziej zwięzłego wyrazu dla wrażeń, jakie wywołuje postrzegana rzeczywistość, a które to działania najchętniej umieszczamy pod koniec lat pięćdziesiątych, jako też w następnym dziesięcioleciu, i wreszcie Utkin — świadomy kontynuator doświadczeń Strzemińskiego.

Czynienie porównań pomiędzy twórczością tych trzech artystów jest oczywiście zabiegiem bezsensownym. Po prostu kalendarz wystaw sprowokował mnie do obejrzenia tych wystaw niemal w jednym czasie i tylko z tego wywiodło się łączne o nich pisanie. Łączne, bo w jednym miejscu i czasie, ale o każdej z tych ekspozycji z osobna, gdyż każda skłania do odmiennego nastawienia w czasie oglądania.

Najpierw jednak dygresja. 11 czerwca ubiegłego roku na tychże łamach ukazały się również „Zapiski z sal wystawowych" opatrzone — w odróżnieniu od tych dzisiejszych — podtytułam — Na marginesach wielkiej sztuki. Pisałam wówczas: *„W temacie elitarności plastyki współczesnej już żadnych drzwi otworzyć się nie da, wszystkie nawet z zawiasów wyjęto. Próby przełamania, zmiany tego stanu rzeczy przeżywają swoje wzloty i upadki, powoli jednak amplitudy tych drgań stają się coraz mniejsze, niezadługo zaś pewnie jakiś ostatni Mohikanin machnie na to wszystko ręką i powie: widocznie musi to być elitarne, więc kto chce niech się wgryza".* Dalej zaś był taki fragment: *„kiedy przed paroma laty Starowiejski urządził zabawę z ogromnym wizerunkiem czaszki na bloku mieszkalnym ucieszyłam się szczerze. Radość moja trwała do momentu, w którym dowiedziałam się, że to był podreżyserowany happening. Więc zapalczywe wypowiedzi były zapalczywymi „na zamówienie". I naprawdę żadnego procesu nie było, czego żal mi było najbardziej".* I oto całkiem niedawno korespondent „Życia Warszawy" Zbigniew Ramotowski pisze o dziwnym facecie z Zurychu: *„Cała sprawa zaczęła się w Zurychu, roku pańskiego 1977. Pewnego ranka na szacownych acz szarych murach dostrzeżono coś nietypowego i intrygującego. (...) piktogramy wkomponowane zostały w otoczenie w sposób najwyraźniej przemyślany. (...). Ot, np. mur wzdłuż niekończących się pustych zazwyczaj schodów, zaludnił się nagle gromadą wbiegających i zbiegających postaci. W ponurym przejściu podziemnym powitali przechodniów skoczni tancerze i grajkowie. Na ścianie przy hydrancie, wyrosła symboliczna postać strażaka. Przy zapomnianej skrzynce pocztowej, siadł gołąb z listem w dziobie. (...) Wyznaczono 3 tys. franków nagrody za schwytanie malarza, wezwano na pomoc policję. (...) Aż wreszcie sprawiedliwość i porządek zwyciężyły. (...) Uzasadnienie wyroku: Z bezprzykładnym uporem i konsekwencją, nie licząc się z niczym, skazany niepokoił przez lata mieszkańców Zurychu i burzył ich — wynikającą z naszego porządku prawnego — wiarę w nietykalność własności. „Argumenty, że sprawa jest delikatna, że chodzi o sztukę, sąd oddalił z całą stanowczością". „Wynik (...) — 9 miesięcy bezwarunkowego pozbawienia wolności plus 206 tys. franków na pokrycie spowodowanych szkód i kosztów usuwania śladów przestępczej działalności".*

Proces, zresztą niejeden, i nie tylko w Zurychu, odbył się naprawdę. Czy gdyby się odbył u nas, zakończyłby się podobnie? A może artysta uległby presji otoczenia i stał się twórcą działającym oficjalnie, za przyzwoleniem odpowiednich czynników, władz itp.? Zatrzymaliśmy się na happeningu, z którego trudno wywnioskować, jaka byłaby ostateczna odpowiedź. Twórcy poprzestają na konwencjonalnym uprawianiu sztuki. Bywanie w salonach wystawowych pozostaje zajęciem dla tych, którzy wiedzą, co mogą w nich znaleźć. I to jest chyba najistotniejszy powód, dla którego w ogóle należy zasiadać do pisania o plastyce, aby choć jedna osoba więcej mogła wiedzieć co może w nich znaleźć.

Ze wstępu do katalogu wystawy Jonasza Sterna napisanego przez Artura Sandauera pozwolę sobie zacytować pewien fragment: *„wczesne lata pięćdziesiąte — okres wypraw kajakowych, w których my wszyscy — Stern, Kantor, Maria, Jarema, ja, tylu innych — usiłowaliśmy nadrobić straconą i dobiegającą końca młodość. (...) Z (...) okresów dzieciństwa, okupacji, powojennych wypraw — pochodzą składające się na obecną plastykę Sterna zbieżne motywy: hebrajskich liter, kości, ości. Obrazy te — jeśli obrazami je nazwać można — to płaskorzeźbione dzieje narodu „am olam" światowego i wiecznego. (...)*

Równocześnie są to monumenty zagłady. Ten lud, który znikł z polskiej ziemi, zostawił na niej zapisane runicznymi znakami nagrobki, zostawił m. in. obrazy: — płaskorzeźby Sterna, przyprószone kurzem pustyni, gdzie jedynie przesłaniające je szkło odbija migot chwili, podczas gdy one same — zrobione z aluzyj prehistorycznych, z nagrobków, z głów Mojżeszowych, z połamanych tablic Dekalogu — mierzą w obiektywną, pozaludzką wieczność".

Nie da się nadrobić straconej młodości. Zawsze przejrzy się w owej doganiającej czas twórczości przebyte doświadczenie. U Sterna szczególnie, albowiem w dniu zagłady Żydów z lwowskiego getta był jedynym, który ocalał — przypadkiem, cudem — z masowej egzekucji.

Ale niekoniecznie trzeba o tym wiedzieć podczas oglądania prac Sterna. Wystarczy otwartość na nastrój, jaki je otacza, nastrój, który można także wyczuć w obrazach Chagalla, a który właśnie Sandauer chyba określił najtrafniej — rzeczywistości odchodzącej, już prawie odeszłej.

Inaczej z Artymowskim. Wprawdzie Andrzej Jakimowicz napisał w katalogu: *„Działanie jego utworów — czy to malarskiej czy to graficznej kategorii — jest przede wszystkim emocjonalne. Pozorną suchość układów kompozycyjnych przelewa całe morze stanów uczuciowych o nadzwyczaj szerokiej skali napięć. Więc liryzm".* Wprawdzie liryzm, ale.. podporządkowany dyscyplinie kompozycyjnej, dyscyplinie najprostszych układów geometrycznych. Krąg zawieszony nad horyzontem, ważący całym ciężarem rozpalonego Słońca, bynajmniej nie naznaczonego czerwienią. Bo Słońce tylko w niewielu chwilach dnia bywa czerwone. Widzimy je w najróżniejszych barwach określonych kolorem kolejnych powidoków. Jakimowicz pisze jeszcze: *„Taka droga oznacza niejedno wyrzeczenie, oznacza rygor powściągania się przed ogarnianiem świata t e m a t a m i podejmowanych dzieł."* Jest w tym pewne podobieństwo do tego, co proponuje Stern. Nie w znaczeniu tego na obrazie jest pokazane, a w nakłanianiu widza do odnajdywania w sobie zbliżonych odczuć i nastrojów, jak i pierwowzorów ukazywanych wrażeń. Stąd jedna i druga twórczość mimo wszystkich, ogromnych rozdzielających je różnic ma ów emocjonalny czynnik wspólny.

Prace Bolesława Utkina trzeba oglądać zupełnie inaczej. Wcale to nie oznacza, że nie ma w nich nastroju, liryzmu, że pozbawione są tego, co zwie się poetyczną otoczką. Ta warstwa jednak powstaje jakby obok, mimochodem, najważniejsze są zupełnie inne sprawy. Trzeba by tu sięgnąć do czasów, kiedy konstruktywizm przynależał do awangardy, nie był jeszcze wręcz akademickim kierunkiem w sztuce...

Ale Utkin jest już właśnie akademicki. Wywiedzione z doświadczeń Strzemińskiego plastyczne rozwiązania przyjmujemy ze zrozumieniem, rozpatrujemy w kategoriach jakości plastycznej roboty, dają się bowiem poddawać analizie wspartej bardziej wiedzą niż odczuciem. Takie postkonstruktywistyczne podejście do rzeczywistości dziś zdaje nam się czymś już zamkniętym. Nie przesądza jednak o tym czy jutro nie poruszy nas bardziej, inaczej, właśnie emocjonalnie. Konstruktywistyczne myślenie, tak jak je rozumiał Strzemiński, nie jest bowiem czymś raz na zawsze zamkniętym.

„Jest to zawsze powtarzającym się dramatem epok rewolucyjnych, wynikającym z samej dialektyki rewolucji, że wynosi ona do władzy klasy nie posiadające zrozumienia dla form artystycznych odpowiadających charakterowi ich rewolucji" — napisał Jan Szczepański we wstępie do katalogu ostatniej wystawy prac Bolesława Utkina. Na równi odnosi się to zdanie do przeobrażeń przyniesionych przez Rewolucję Francuską, jak i do czasów Wielkiego Października oraz do naszych przewartościowań z wczesnych lat pięćdziesiątych, od których to lat liczymy przerwę w odbiorze racjonalnym równie racjonalnych analiz rzeczywistości przekazywanych w formie dzieła plastycznego. Jeszcze nikt tego wątku ponownie nie podejmuje, choć wydaje się — odbiorca zaczyna być do tego przygotowany.

Żadne jednak z tych plastycznych odwzorowań rzeczywistości nie przystaje do propozycji „dziwnego faceta z Zurychu". Piszę to bez żalu, chociaż malunki na murach domów, czy w podziemnych przejściach ulicznych zapewne przyjęłabym bez oporów. Może więc wszystko, co w salach wystawowych się pomieszcza, ma już cechy akademizmu, a nowemu spontanicznemu działaniu, nie podporządkowanemu niczemu ponad wolę twórcy, jak i dawniej w sztuce bywało, i dziś będziemy się przeciwstawiać?

Wydawało się jeszcze do niedawna, że już nic w sztuce nie jest w stanie zbulwersować opinii publicznej. Owszem dopóki nie zostanie przekroczona granica wyznaczona przez salon wystawowy.

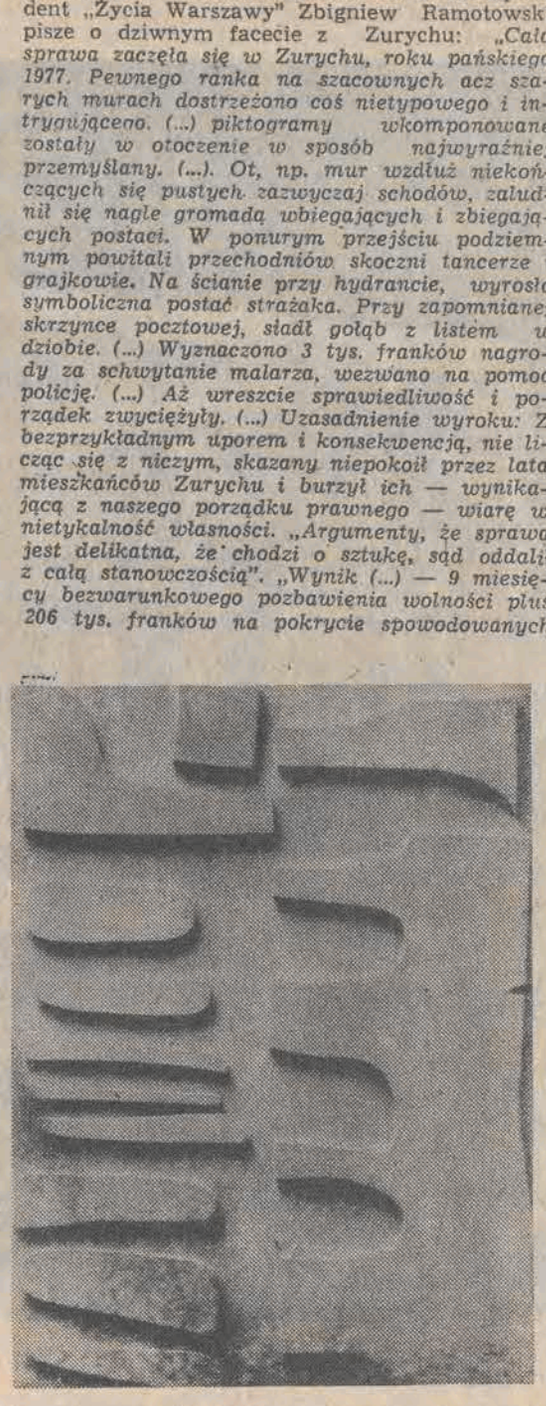

Foto: M. Zajdler

Ilustracja do „Irydiona". 1850

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

„W czas swój wskazane"

(Nad listami Norwida)

...nic piękniejszego nie ma nad to, kiedy jeden człowiek wyzywa cały choćby świat do walki.)*
Cyprian Kamil Norwid

1.

Po kilkunastu latach ponownie sięgnąłem po listy Norwida, zamieszczone w V tomie *Pism wybranych***). Nie dlatego, że oto kończy się Rok Norwidowski, obchodzony w kraju w sto lat od śmierci Poety. W wyborze osobistych lektur nie kieruję się względami rocznicowymi. Ani też chyba nie moda na Norwida kazała mi sięgnąć po stojącą na regale brazowo oprawną siedemsetstronicową książkę.

Długotrwała choroba stworzyła mi szansę spokojnego wczytania się w to dzieło epistolarne bez pośpiechu i bez zawirowań wywoływanych przez normalne zabieganie i krzątaninę. Może także sytuacja — moja własna, ale i ogólna — zestrajają się do pewnego stopnia z tonacją tego wielkiego czytania. Toutes proportions gardées! Do tragizmu autora listów nie śmiałbym się przymierzać!

2.

Tu umieszczę parę informacji, które dla części czytelników są może potrzebne.

Po Norwidzie zostało około tysiąca przezeń napisanych listów. Niestrudzony redaktor *Pism wybranych* dokonał jednak żmudnej selekcji, w wyniku której do edycji wszedł blok trzystu listów do ponad siedemdziesięciu adresatów. Wśród tych ostatnich nie brak postaci wielkiego i dużego formatu. Adam Mickiewicz (jedyny zachowany list), Zygmunt Krasiński (także jedyny), August Cieszkowski, Ks. Adam Czartoryski, gen. Jan Skrzynecki, Ludwik Nabielak, Józef Bohdan Zaleski, Teofil Lenartowicz, Józef Ignacy Kraszewski, gen. Ludwik Mierosławski, Karol Libelt, Jadwiga Łuszczewska (Deotyma)...

Pierwszy list datowany jest w Warszawie 7 stycznia 1839 roku przez niespełna osiemnastoletniego wówczas absolwenta Gimnazjum przy ul. Leszno, ostatni w Paryżu 16 marca 1883, to jest na dwa miesiące przed śmiercią Poety, (23 maja) Tak więc czytelnik tej księgi złożonej z trzystu elementów składowych, trzystu odrębnych dziełek, towarzyszy Norwidowi przez czterdzieści cztery lata jego życia.

J.W. Gomulicki kierował się w doborze nie tylko zawartością ideową, filozoficzną i teoretyczno-literacką pism, ale także tym, by złożyły się one *in continuo, w możliwie wyrazistą konstrukcję biograficzną, przynoszącą wierny, a zarazem dynamiczny obraz jego* (Norwida — W.O.) *życia, od pierwszych prac i trosk młodzieńczych poprzez potężne napięcia uczuciowe i bezustannie ponawiane wysiłki twórcze wieku dojrzałego aż do jego życiowej przegranej, przypieczętowanej, niby tragicznym amen, wstrząsającym listem przedśmiertnym.* (z Noty edytorskiej).

W dalszych swoich rozważaniach skupiam się na treści i ładunku emocjonalnym listów, wstrzymując się przed jakąkolwiek ich oceną uogólniającą. Dlatego może zacytuję w tym miejscu opinie na ich temat dwóch znakomitych znawców zagadnienia.

WACŁAW BOROWY: Zadziwia nas skala tonów uczuciowych tej korespondencji — od straszliwego gniewu (...) do menuetowej wytworności (...) — zdumiewa odzwierciedlający się tu poziom życia duchowego, głębokość spostrzeżeń i przenikliwość krytyki. Czyni to z tych listów przykuwającą lekturę, nawet kiedy nie myślimy o Norwidzie-poecie.

ZENON PRZESMYCKI (Miriam): »Piszę jakbym mówił« — to wyrażenie niejednokrotnie spotkać można w listach poety, a ma ono głębsze znaczenie: wymagania i tu twórczości, impulsywnego sięgania ku praźródłom, nie potworzenia się za kimś czy za jakąś regułą. (...) ...prostota i siła, słodycz i wdzięk, ironia i humor pogodny — i to nie tylko każde z osobna, lecz i w splotach, przewijaniach się jakby mimowiednych w jednym liście.

3.

Bogactwo tematyczne i głębia intelektualna cechująca korespondencję Norwida nie sprzyja próbie wyczerpującego jej zreferowania. Nie ten zresztą cel przyświecał mi, gdy przystąpiłem do spisania swoich wrażeń z lektury. Skupiałem przede wszystkim uwagę na przemyśleniach i sformułowaniach Poety, przemawiających swą ponadczasową aktualnością i współbrzmiących z doświadczeniem współczesnego człowieka.

Norwid, umysł samodzielny, nie poddający się ogólnie przyjętym, obiegowym sądom i mitom, krytycznie je weryfikował, nie bojąc się konsekwencji takiej postawy. Rozumiał pionierski charakter swego działania i nie lękał się osamotnienia. *Ci tylko coś robią* — pisał do malarza Wojciecha Gersona w 1876 roku — *co stąpają tam, gdzie pierw nie wypielono im palcami ścieżek.* Jednocześnie wszakże widział w negacji skamielin myślowych i obyczajowych kontynuację ogólnego procesu rozwojowego. Na tej wielkiej drodze za nowe uważał to, *co w swój czas wskazane.*

Tak już bywa, że nie rozumiejąc czegoś, co przerasta naszą zdolność percepcyjną i wyobraźnię, chętniej doszukujemy się mętniactwa u głosiciela nowych idei, niż naszego własnego ograniczenia. Współcześni Norwidowi tak właśnie przyjmowali na ogół jego myśli prekursorskie, zarzucając im mroczność i niezrozumialstwo. Nie dotyczyło to, niestety, tylko krytyków miernych, zoilów w rodzaju Władysława Nehringa czy Antoniego Wagi, ale i najwybitniejszych myślicieli.

Zygmunt Krasiński, któremu Norwid przesłał w 1858 roku poemat *Quidam* z prośbą o rekomendację u wydawców, wyszydził Poetę i jego utwór, stwierdzając w rozmowie z A.E. Koźmianem (według skąpliwej relacji tego ostatniego), że *Norwid zupełnie zwariował: napisał poemat o 2000 wierszy, które drukować nie kazał* (Krasiński — W.O.), *a z którego ani wiersza ani on, ani nikt nie zrozumiał.*

Podobnie zachował się w 1864 roku Józef Ignacy Kraszewski, gdy Poeta prosił go o poparcie w wydaniu drukiem zbioru poetyckiego *Vade-mecum*, Kraszewski, mający w tym względzie wielkie możliwości, dzięki autorytetowi, jakim się cieszył, nie tylko nie poparł *Vade-mecum*, ale także w liście do Bronisława Zaleskiego napisał co następuje:

Gdybym go polecił, to ważyłoby jak przeszkoda, nie jak pomoc. Szanuję poczciwego fantastyka Norwida, ale jako poecie nie jestem w stanie poradzić nic. Nie ma nakładcy, co by go chciał dziś nabyć. Kładę nacisk na dziś, a jutro to, gdyby lepiej było nawet, znów — Norwid: to imię jest już synonimem dziwactwa, nie usprawiedliwionego bynajmniej równym mu talentem, bo dziwactwo przerosło o wiele talent i zjadło go.

Smutny to doprawdy dokument nierozpoznania wielkiego zjawiska poetyckiego! Kraszewski i jemu podobni, przyjmując spłyconą ocenę twórczości Norwida, utrwalali ją i upowszechniali, robiąc fatalną przysługę Poecie i kulturze narodowej. Drwina towarzyszyła więc mu na drodze życia, a wybitny jego oponent Julian Klaczko pozwolił sobie bezprzykładnie go zaatakować, chwaląc landrynkowy wiersz Teofila Lenartowicza jako *fenomen w czasach, które tylko wydają Promethidiony, Zwolony i inne androny!*

Nie trzeba sądzić, że Norwid pozostawał bierny w stosunku do skierowanych przeciw sobie mniej lub bardziej niewybrednych napaści. Zbyt silne tkwiło w nim przekonanie o własnych racjach i o zacofaniu myślowym antagonistów.

W listach Poety wraca wielokrotnie motyw *ciemności* wielu jego tekstów. W swoich ogólnoteoretycznych wywodach twierdzi, że *ciemność* — czyli powiedzielibyśmy: niezrozumiałość — jego pisarstwa wywodzi się stąd, iż stawia ono tezy przyszłościowe i czyni to wcześniej aniżeli zdąży przekonywać o ich słuszności. A oto jedno z takich stwierdzeń w sformułowaniu norwidowskim, zawarte w liście do Karola Ruprechta (1866):

...wszystko, cokolwiek siła uderza, musi i ciemnym bywać — bowiem pierwej działa niż radzi.

Obrona Norwida nie ograniczała się tylko do perswazji, w pewnych przypadkach, gdy przepełni się kielich goryczy, sam przystępuje do przeciwnatarcia i to zarówno w listach skierowanych do osób trzecich, jak i bezpośrednio do przeciwników. W tych przypadkach wykazuje Poeta wielki zmysł polemiczny.

Przykłady? Może tylko jeden, adresowany *à Monsieur J.I. Kraszewski* w dniu 21 maja 1867, będący odpowiedzią na krzywdzącą krytykę Norwida (J.I. Kraszewski *Z roku 1866. Rachunki*). Zacytujmy najpierw fragment tej napaści na Poetę, tym razem dotyczącej jego twórczości plastycznej:

W Paryżu od lat wielu mieszka poeta-artysta Cyprian Norwid. Jest to nasz jedyny i prawdziwy aquafortista. Szkice szczególniej Cypriana Norwida są prawdziwie znakomite, gdyby mu Bóg dał trochę zimniejszej krwi i praktyczności (..) byłby to może najgenialniejszy ilustrator (...) Pomysły rzucane przez niego od niechcenia na papier odznaczają się werwą i wyrazistością nadzwyczajną (...) Ale gdy chce co wypracować (...) traci siłę. Trudno przemóc naturę nie nawykłą przez długie lata do żadnego wołi hamulca.

Ludzie prostoduszni — odpowiada Norwid — *i pisarze obywatelscy wiedzą i wyznają, że jak człowiek dochodzi do tego, iż jest wierny na małym i że w wymiarach i możliwościach jemu poddanych jest wypełniającym i twórczym, i genialnym — to nazywa się, iż stanął i zatrzymał się na progu, poza którym winien spotkać idące do siebie społeczeństwo. (...) ...Kraszewski* (w liście tym Norwid, poruszony widać do żywego, używa i w stosunku do siebie, i do adresata trzeciej osoby — W.O.) *wspomniał o szkicach rzucanych od-niechcenia, życząc, aby Bóg dał «krew zimną»... On ją dawał i dawa... płazom!*

Norwidowi, w jego starciach z zoilami, nie chodziło o negowanie prawa do krytyki nawet najsurowszej jego dzieł. Miotał się jednak w sieci zmowy, do której skrzyknęła się zadowolona z siebie głupota i obskurantyzm. Co więcej, sprzysiężenie to funkcjonowało w imię dnia wczorajszego, negując generalnie prawo do szukania ścieżek w przyszłość.

4.

Sam był Norwid wymagającym krytykiem, ośmielającym się przeciwstawiać największym autorytetom. O odwadze jego świadczyć może fakt, że na sejmiku emigranckim w 1848 roku w Rzymie jako jedyny potrafił w imię zdrowego rozsądku przeciwstawić się w oczy Mickiewiczowi, zbałamuconemu wówczas całkiem przez mistycyzm Towiańskiego. Miarę tego czynu Norwida podkreśla to, że miał on wtedy dwadzieścia siedem lat, gdy Mickiewicz zbliżał się już do końca swego życia, wielbiony powszechnie jako wieszcz narodu.

W wiele lat po śmierci Adama, uformowawszy już swe poglądy estetyczne, nie cofnął się Norwid przed „herezją", wysuwając poważne zarzuty pod adresem *Pana Tadeusza* i odmawiając mu cech epopei narodowej. Pisał o tym m.in. do Karola Ruprechta (1866):

Wielce poważałem osobistość śp. Mickiewicza, zarówno dobrze wiedząc o tym, iż za osiemdziesiąt lat nikt lubo w arcydziele jego nie znajdzie warunków arcy-narodowej-Epopei.

Będzie to (Pan Tadeusz — W.O.) *zawsze arcydziełem przez sztukę i przez tła od Ruisdaelowskich***) doskonalsze — ale!!! poema arcy-narodowe-polskie? w którym jedna figura serio jest... Żyd (Jankiel) — zresztą awanturniki, facecjoniści, gawędziarze — i dwie niewiasty: z tych jedna metresa, druga pensjonarka. Oto polskie poema? vivat! —*

To poema satyryczne-polskie! P(an) Tadeusz to genialna satyra!

Ostrzej jeszcze wyrazi to Norwid w dwa lata później w liście do Bronisława Zaleskiego, uznając, że podstawowa wartość Pana Tadeusza polega *na rozmiłowaniu się w woni ziemiańskiej lasu, barszczu, zrazów, bigosu i ogórków kwaszonych...*

Może dla wielu z nas jeszcze dziś — po latach stu dwudziestu, nie osiemdziesięciu! — taki sąd krytyczny zabrzmi szokująco. Nie o to jednak chodzi, by przyjmować wyostrzony pogląd Norwida bez reszty. Ważne, że Poeta bez nabożeństwa dotyka narodowego tabu. Bezkrytyczny stosunek do Mickiewicza i jego epopei wkładano nam łopatą do głowy w szkole, co nierzadko budziło nasz naturalny sprzeciw, a z pewnością nie dodawało splendoru wielkiemu Adamowi.

W żadnym przypadku nie negował Norwid znaczenia Mickiewicza i jego dzieła dla narodu. Inaczej nie napisałby zapewne z dumną goryczą do Kraszewskiego: *...albowiem ja przyszedłem po Mickiewiczu...* Był natomiast wrogiem bezkrytycznego bałwochwalstwa, jakie rozprzestrzeniał m.in. syn wieszcza Władysław, który konsekwentnie i po wandalsku niszczył to wszystko w papierach pozostałych po ojcu, co nie odpowiadało jego pomnikowej koncepcji.

Zadrwił z tego Norwid w liście do belwederczyka Nabielaka, przesyłając mu swój wiersz satyryczny *Teza (na Katedrę Literatury)*:

Jeżeli zniszczyć tego nie chcesz, to p. Władysławowi Mickiewiczowi udziel: on papie swemu śliczną odda usługę, bo tak go ubałwochwala i ze wszelkiej odejma krytyki, iż nie zostanie ze śp. Adama ani poety, ani pisarza — tylko fenomen (Mit), rzecz niebezpieczna dla człowieka, bo fenomena pokazują na jarmarkach!

Równie ostro osądzał Poeta współczesną sobie wielkość narodową, jaką był Jan Matejko. Nazywał go *jednym z najbieglejszych malarzy dziś w Europie*, jednocześnie jednak określił go *jednym z najmniej wyobrażenia mającym o artyzmie artystów.*

Znów może ktoś przyzwyczajony do wielbienia Matejki się obruszy? Odeślijmy go do uwag o krytyce Mickiewicza, zamieszczonych powyżej.

I wreszcie Kraszewski. Pisał o nim Poeta w liście do Łucji Rautenstrauchowej (1868):

...na sposób (skądinąd płynnego) Kraszewskiego w futerale powiastek podrzucać te i ową prawą myśl — jest obrzydłą dla mnie robotą.

Chyba nie żal o nielojalność Kraszewskiego podyktował Norwidowi te słowa. Na to był człowiekiem zbyt prawym.

5.

Pisząc o sprzysiężeniu (tego słowa używam oczywiście w przenośni!) obskurantów, nie dotknąłem jeszcze jednej, delikatnej strony zagadnienia. Drwinami z Norwida i brakiem chęci do dopomożenia mu w druku jego pism, czy w rozprowadzaniu rycin i obrazów, skazywali go dosłownie na przymieranie głodem. Przez cały prawie smutny i samotny żywot na emigracji walczy Poeta o elementarne środki do egzystencji, zezwalające mu na utrzymanie się na powierzchni. W tym głównie celu udaje się na dwa lata do Nowego Jorku, by powrócić równie ubogim jak był przy wyjeździe.

Skromnych środków materialnych przysparzała mu przeważnie działalność plastyczna, przy czym — jak skarżył się wielokrotnie gorzko — klientelę miał na ogół cudzoziemską. Polacy nie kwapili się, by przyjść mu z pomocą. W tym także dopatrywał się Norwid zmowy, winiąc społeczeństwo polskie, na emigracji i w kraju, o egoizm i brak wrażliwości, dozwalający ginąć wybitnym talentom. Przywołajmy fragment jednego z tragicznych ostatnich listów Poety (do Franciszka Duchnińskiego, 1883)!

...oto krewni poniekąd milionowi i przyjaciele istotnie milionowi pracowali i pracują usilnie nad tym, ażeby mnie i moją całą żywotność umysłową zdeptać (...) — pytając tylko, nie: czym pomóc do czekających rozwoju prac? (...) ale pytając tylko, czy już dobrze krwią pluję? czy już chyli się?...

Obok nędzy nękały Norwida przez większą część życia choroby: głuchota, jakiej nabawił się w więzieniu pruskim w 1846 roku, konwulsje, trudności ze wzrokiem, wreszcie gruźlica. W ostatnich latach życia rozpaczliwie starał się zebrać półtora tysiąca franków, które umożliwiłyby mu wyjazd na południe dla podratowania zdrowia. Bezskutecznie. Zamiast we Florencji czy w Nicei wylądował w podparyskim Domu Św. Kazimierza, przytułku dla ubogich emigrantów polskich prowadzonym przez zakonnice.

W ostatnim swym liście, pisanym na dwa miesiące przed śmiercią do zamieszkałej w Warszawie Zofii Radwanowej, wdowie po jego bracie Ksawerym, pisze:

Bardzo wyjątkowy i trudny jest wypadek, który mię stawia w konieczności ucieczki do Was z prośbą a razem zapytaniem, czy na ten raz nie potraficie mię czym wesprzeć?!

Poeta ginął. Rozdzierająca jest skarga, jaką pomieścił na końcu listu:

C.N. zasłużył na dwie rzeczy od Społeczeństwa Polskiego, to jest ażeby onęż społeczeństwo nie było dlań obce i nieprzyjazne.

Obu rzeczy mu odmówiono.

*) Podkreślenia rozstrzelonym pismem we fragmentach cytowanych listów pochodzą od Norwida.

**) Cyprian Norwid *Pisma wybrane*, wybrał i opracował Juliusz W. Gomulicki, Warszawa 1968.

***) Jacob Isaaksz van Ruisdael (1628—1682), wybitny pejzażysta niderlandzki.

„Maria Magdalena". 1844 (?). Akwaforta.

Barbara Bianek

Chleb

Z koroną drzew pod głową,
drogą owinięty, odgrodzony,
śpi wędrowiec skibki chleba
uczepiony
zakurzony niby świerk

II

Wiatr leży cicho
w gałęziach drzew,
albo trwoni swoją siłę,
obojętnie opływając
ciepły pagór ziemi,
strącając jabłka i gwiazdy
w roślinny sen o chlebie.

III

Wyorany z kamiennego boku,
Wytęskniony w godzinie zasiewu
pachnie solą potu
gruzłowaty chleb,
przyniesiony z daleka,
z białych, skalistych rąk
bohaterskiego Boga.

Atak

Leszczyna dzwoni
na potępienie orzechów,
sygnał ataku
w unerwioną krainę liści.
Zguba wszelkim zwierzętom
żyjącym
między spojrzeniem a dotknięciem ziemi.
Leszczyna dzwoni na potępienie
orzechów.
Zwierzęta kluczą wśród przepaści,
grzęzną w gęstym poszyciu
na twardych skałach.

Zima

Ogród w zimie
smukleje w zagięciu ręki.
Sztywne gwiazdy kamienne
rozsypane po gałęziach.
W gąszczu jeleń
zastygły, skostniały
otwiera pyszczek.
Na mokrym czole
czysty śnieg.

Grzegorz Kościński

★ ☆ ★

Pamięci Władka Witkowskiego

Taki smutek
Pies siedzi na moich kolanach...
A ja byłem daleko-niedaleko stąd
Tam gdzie drzewa skrzypią z wieczora do rana

Taki smutek
Jesień — chory klon — przerażenie i zachwyt
w pośpiechu
Dokąd iść?! — białe brzozy lśnią
Liście łapią ostatnie oddechy

Taki smutek
Że korą porastam
Prawie dębem stoję na polanie
Pogładziłem po głowie psa
To jest jesień — i nic się nie stanie
24 września 1983 r.

Holderlin

Wąska ścieżka oddziela od wschodzących
kłosów
Ugór gdzie rosną tylko chwasty i pokrzywy
Z jednej strony Demeter z drugiej Diana woła
Chociaż kwitną jednako i chaszcze i niwy

Wąska ścieżka zanika i kończy się rola
Kto zabłądził w te strony się nie opamięta
Matkę czasami wspomni w stepach będzie
brodził
Kwiatami mu bezmyślnie zakwitnie kalendarz

Grochowiak

I śledź jest piękny i ma także ucho
Chociaż błękitny gra barwami tęczy
Pod oceanu powierzchnią szeroką
Chociaż katolik — to płynie nie klęczy

W śródziemnomorskim basenie na okrąg
Się wyrywały słowa — pół — Europy
A teraz tylko badać co najbliższe
Bo i śledź skonał i umiera dotyk

Prezent

RAY BRADBURY

To już jutro, jutro Wigilia. Matka i ojciec wysłali na kosmodrom małą choinkę, ale mimo to byli trochę niespokojni. Wszak ich syn po raz pierwszy leciał w kosmos, po raz pierwszy w życiu miał wsiąść do kosmicznego statku. Rodzice pragnęli z całego serca, aby wszystko udało się, jak najlepiej. I gdy przy kontroli byli zmuszeni zostawić swój gwiazdkowy upominek — małe drzewko ze ślicznymi, białymi świeczkami (jego waga przekraczała o kilka uncji dopuszczalne normy), poczuli się nagle okradzeni z najpiękniejszych ludzkich uczuć.

Chłopiec czekał na nich w terminalu. Idąc w jego stronę, po nieprzyjemnej konfrontacji z międzyplanetarnym urzędasem, matka i ojciec szeptali między sobą.

— I co my teraz zrobimy?

— A co możemy zrobić?

— Głupie przepisy!

— A on tak bardzo chciał dostać tę choinkę...

Syreny zawyły donośnie i pasażerowie rzucili się w kierunku rakiety na Marsa. Matka i ojciec zostali na końcu, szli powoli, wziąwszy dziecko w środek.

— Coś wymyślimy — odezwał się ojciec.

— O czym mówisz?... — spytał syn.

Rakieta poderwała się, a oni wraz z nią, głowami przed siebie, w ciemną otchłań kosmosu.

Rakieta wyrzuciła snop ognia i zostawiła go w tyle. Opuściła Ziemię, na której kalendarze wskazywały 24 grudnia 2052 roku, i wzięła kurs na miejsce, gdzie nie ma w ogóle czasu, gdzie nie ma miesięcy, nie ma lat, ani godzin.

Resztę pierwszego „dnia" przespali. Około północy, według ich ziemskich zegarków z nowojorskim czasem, chłopiec obudził się i powiedział:

— Chciałbym popatrzeć przez iluminator.

Na statku był tylko jeden iluminator, przestrzenne „okno" z ogromnej tafli grubego szkła, które znajdowało się na sąsiednim poziomie.

— Jeszcze nie teraz — powiedział ojciec. — Zabiorę cię tam później.

— Chcę zobaczyć gdzie jesteśmy i dokąd lecimy.

— A ja chcę, żebyś jeszcze poczekał — odparł ojciec. Kłamał i plątał się myśląc o pozostawionym prezencie, utraconym drzewku z białymi świeczkami. Nie spał już więcej, aż wreszcie wpadł na pewien pomysł.

— Synu — powiedział — dokładnie za półtorej godziny będzie Boże Narodzenie.

— Och! — matka westchnęła z konsternacją, że mu o tym przypomniał. Wydawało jej się jakoś, że syn o tym zapomni.

Twarz chłopca nabrała rumieńców, wargi zadrżały.

— Wiem, wiem. Dostanę prezent, no nie? Będę miał choinkę? Obiecaliście...

— Tak tak. Dostaniesz to i nie tylko.. powiedział ojciec.

Matka zaczęła:

— Ale...

— Tak — przerwał ojciec. — Tak będzie w istocie. Dostaniesz swój prezent, nawet znacznie więcej. A teraz wybaczcie mi. Zaraz wrócę.

Zostawił ich na około 20 minut. Gdy wrócił, był uśmiechnięty.

— Już czas.

— Czy mogę wziąć twój zegarek? — spytał chłopiec i zegarek powędrował do jego ręki. Trzymał go w palcach rozentuzjazmowany ale nie odzywał się, tylko uważnie obserwował tarczę.

— Już Boże Narodzenie! Boże Narodzenie! Gdzie mój upominek?

— Zaraz tam pójdziemy — powiedział ojciec, wziął chłopca za ramię i zostawiając w tyle żonę, poprowadził go schodami w dół.

— Nie rozumiem — powiedziała matka.

— Zrozumiesz. Już jesteśmy — powiedział ojciec.

Zatrzymali się przed drzwiami jakiejś kabiny. Ojciec zastukał trzy razy, potem dwa — jakby według specjalnego kodu. Drzwi otworzyły się i do kabiny wlało się trochę światła. Słychać było ich szepty.

— Wejdź, synu — powiedział ojciec.

— Jest ciemno.

— Będę cię trzymał za rękę. Wejdź i ty, matko.

Weszli. Drzwi zamknęły się za nimi. Pokój był rzeczywiście niezwykle mroczny. Przed nimi jaśniało tylko duże, szklane oko, iluminator wysokości czterech stóp i sześciu stóp szerokości, przez który mogli wyjrzeć w kosmos.

Chłopiec westchnął cicho.

Za nim stali matka i ojciec, oddychając głośno, niespokojnie. Potem ktoś zaczął w pokoju śpiewać.

— Wesołych Świąt, synu — powiedział ojciec.

A głosy śpiewały starą, familijną kolędę. I chłopiec ruszył przed siebie powoli i szedł aż twarz jego dotknęła zimnej szyby iluminatora. I stał długo patrząc i patrząc w kosmos, w głębię nocy, patrząc na dziesiątki bilionów białych, ślicznych świeczek...

Przełożył:
ROMUALD SZOKA

EDWARD BRYL

Jutro Wigilia

Józek z Anglii też nie przyjedzie — daleko. Choć list mógłby starej matce napisać. Przykro, dziesięć lat go nie widziała. Czyżby mu coś złego się stało? Ogarnął ją nagły niepokój. Teraz tyle złego na świecie. Nawet na Ojca Świętego rękę podnoszą. Podreptała szybko do drugiej izby. W kącie, za drzwiami stał niewielki worek z pszenicą. Wsypała trochę na blaszaną miseczkę i poszła do obory. Kury czas nakarmić. Pchnęła drzwi, w środku było zimno nieprzytulnie. Od lat żadne bydlątko tu nie stoi. Oj, bywało że pięć i więcej krówek się mieściło. Teraz już budynek lichy, dach od dawna nie łatany, prześwituje. Niebo widać. Zazdrościli im ludzie bogactwa. Kułakami, Borynami przezywali. A nie było czego. Żadne dziecko do ziemi się nie garnęło. Szkołę trza im było dać. Troje studia skończyło. Janek — inżynier, nawet dyrektorem został. Ale co oni, starzy, z tego mieli? Przed ludźmi chwalili się dziećmi, wypadało! A tak, po prawdzie, to samotność i praca ich żarła. Jak jeszcze gospodarka szła pełną parą dzieci przyjeżdżały. Było czym dzielić — ziemniaki, mąka mięso, jaja, a i gotowego grosza nie skąpili. Marysi samochód kupili. Każdemu po trosze, zawsze coś kapło. Gwarno było w chałupie po żniwach na Wigilię. Do dziś czuje zapachy świątecznej kuchni. Jakie to ciasta wypiekała szynki gotowała, kapustę z grochem. Wnuki ganiała po izbach. Synowe choinkę ubierały. To były święta! Dwadzieścia osób siadało do wigilii. Samochody stały w obejściu, lśniące, wypolerowane. Teraz co? Zziębnięte trzy kury i kogut na grzędzie. Jak większe mrozy przyjdą, trzeba będzie ptactwo do izby zabrać pomyślała. Z trudem schyliła się po garnek, żeby picia przynieść. Poczłapała do studni. Kołowrót trzeszczał sucho, łańcuch zgrzytał, gdy ciągnęła tę ociupinkę wody na dnie wiaderka. Zerkała ciągle z utęsknieniem w stronę drogi. Nic nie było widać. Jak okiem sięgnąć tylko biel śniegu. Zza wzgórza sterczały korony drzew i walił w niebo dym z komina Kowalikowej chałupy. Wyprzedawali tę gospodarkę pomalusku, stopniowo, jak ich siły opuszczały. Dzieci nie pomagały, miastowe przecież. Może najwięcej Józek póki w kraju był, i Marysia. Janek, dyrektor, to tylko samochód z kierowcą po okopowiznę słał.

Jak poszły telegramy że ojciec umierający, przyjechały, z wyjątkiem Józka, ale ten za granicą, szmat drogi, koszty wielkie. Stary jeszcze cztery dni się męczył, doczekać końca nie mogli. Rodzina snuła się po obejściu jak sępy, każdy kąt przepatrywali. Janek zniecierpliwił się, jakieś spotkania, narady ważniejsze były, wyjechał. Na pogrzeb tylko wieniec przysłał, piękny, największy, z czerwonych goździków — dobrze pamięta. Na stypę dwa wieprzki i cielaka biła. Dziedziaki pojechały, nie w smak im było z wsiowymi przy stole. Oj, było gadania na ten temat, było... Każde swoją ćwiartkę w samochód i jazda. Nabrali dobra wszelakiego, zapakować się nie mogli. Nie bardzo co miała już na stół postawić, cała wieś się przecież zeszła, a Marysi to nawet resor złamało koło krzywej sosny. Sołtys konie zaprzęgał, żeby z dziury maszynę wyciągnąć. Nagabywali ją zaraz, żeby wszystko sprzedała i poszła do nich.

— Będziesz, mamo żyła jak pani — mówił Janek. — U kogo zechcesz, to posiedzisz, rok dwa. Weźmiemy cię na dożywocie.

Coś jej się nie widziało. Zanim oddała resztę ziemi państwu za rentę, przymierzyła się, jak to będzie jej w mieście żyć. Nijak nie wychodziło. Całe dnie sama wysiadywała bezczynnie przy oknie. Wydawało jej się, że dzieciom zawadza. Bo i zawadzała, widziała to przecież. Jak do Jasia goście przychodzili, musiała wcześniej spać chodzić. Ale jakie tam spanie w hałasie, różaniec odmawiała. Przy stole jej nie sadzano. Synowa zobaczyła, że nie umie jeść nożem i widelcem. W zgrubiałych palcach niełatwo było toto utrzymać i jeszcze z gracją krajać i dziabać mięso. Słyszała, jak wykrzykiwała Jasiowi: „Do tej pory nie nauczyłeś matki przy stole jadać, to siedź z nią sam!". Trzasnęła drzwiami i poszła. Odtąd posilała się w kuchni. U córki wytrzymała zaledwie tydzień.

— Co, stara nie ma się gdzie podziać? Za ten samochód, co nam przed laty kupiła, będzie dupę pasła na moim żarciu aż do śmierci? Niedoczekanie! Innych dzieci nie ma, tylko ciebie? — awanturował się zięć.

Teraz przynajmniej ma swój grosz, łaski nie potrzebuje... Niewielki, z trudem wystarcza, musi.

Na pasterkę w tym roku chyba nie pójdę — myślała. Może Kowaliki się domyślą i zajadą. Chętnie pośpiewałaby z ludźmi, na gęby popatrzyła, cni się samej. Całe dnie żywego ducha nie ogląda. Latem to co innego — do lasu furkami jeżdżą po drzewo czasem ktoś na motorze. To i zajrzą do starej. Jesienią, jak z grzybów wracają wstąpią. Kowalikowa najczęściej. Najgorzej jak zaczną się deszcze, droga nasiąknie, to już koniec. Piecze wtedy naleśniki, gotuje kluski, kaszę, ziemniaki. Ma trochę swoich warzyw i owoców. Chleb jej wtedy raz w miesiącu przynoszą, częściej nie chce, przywykła. Siostra z opieki zakupy kartkowe robi. Jakoś się żyje, póki siły dopisują. Gdy choruje, w piecu nie pali i wieczorem światła nie świeci. Wtedy przychodzi Kowalikowa. Raz nawet pogotowie do niej wezwali. Była w szpitalu. Opiekowali się nią. Dobrze tam, ciepło jeść dali, ale nie ma to jak w swojej chałupie. Doktory przepytywali ją, czy do domu starców nie zechce. Nie! Póki łazi gotować może nie pójdzie na łaskawy chleb. Kurkę uchowa. Na wiosnę kupi kozę. Świeże tłuste mleko sił doda i da Bóg niejednej jeszcze Wigilii doczeka.

Wysypała groch na stół i zaczęła przebierać. Ziarnko po ziarnku, starannie. Szynki jeść nie będzie bo i z czego, ale czerwony barszcz ugotuje, plaček upiecze. Ma nawet grzyby suszone. Sama zbierała. Trochę sprzedała. Wzrok jeszcze służy. Słuch też.

Trzasnęła furtka. Tupot stóp w sieni. Do izby wpadła jak podmuch wiatru Zosia, wnuczka Kowalikowej.

— Mama trochę placka przysyła, kiełbasy, szynki, świeżego chleba — sama na święta piekła, za te grzyby coście nam dali. Przyjechaliby po was na pasterkę, ale gości mamy. Jest ciotka Małgosia z dziećmi i mężem, stryj Marian z rodziną, aż z Warszawy. Dziadek sanie będzie zaprzęgał! Nie zmieścilibyście się. Babka kazała powiedzieć, że w pierwsze święto po południu zajrzy, opłatkiem się przełamie.

Katarzyna pokiwała głową, podziękowała. Pewnie nic z tych odwiedzin Kowalikowej nie wyjdzie. Wiadomo goście w domu to i szykowania dużo. Wie dobrze. Długo tak będzie? Póki Kowaliki na chodzie i dawać mają z czego, potem rodzinka za łby się weźmie a Janka, co to osiąść na gospodarce zamiaruje, spłacać musi.

— Zdrowych świąt — krzyknęła we drzwiach Zosia. I jakby wymiotło ją z izby. Jeszcze tylko trzask furtki i cisza.

Obejrzała przyniesione dary. Dobra sąsiadka nawet nie tak skąpo, będzie co pojeść. Zaniosła wszystko do chłodu. Chleb pieczołowicie zawinęła w lnianą ściereczkę.

Na dnie, w szafie leżało duże pudło.. Wyciągnęła je i postawiła na stół. Stała tam przygotowana już niewielka choinka. Aż pojaśniało, kiedy wyjmowała kolorowe świecidełka. Rozejrzała się, gdzie by tu drzewko najwygodniej umieścić. A, wszystko jedno, i tak nikt nie przyjdzie. Niech zostanie na stole, takie maluśkie. Raźniej będzie wigilijną kolację spożywać. Przecież kota se na drugim krześle nie posadzi. Zeszłego roku jeszcze Burek był w obejściu. Już nie wiązała starego psa. Chodził wolno, wysłużył się ze dwadzieścia trzy lata chyba. Ogłuchł, zaślepł całkiem na jedno oko. Choć subiekcja z takim niedorajdą wielka, nie wygoniła, zabić też nie kazała. Miał na starość miskę ciepłej strawy i kąt przy piecu. W zeszłą Wigilię jeszcze boki grzał. Na wiosnę zakopała go pod krzakiem bzu. Od czasu jak została sama zmienił się jej stosunek do zwierząt, a i one jakoś do niej bardziej się garną. Dawniej czasu brakowało, serca do tego też nie miała. Teraz bywa że i kurę pogłaszcze. Zobaczyła w domowej gadzinie ostatnich towarzyszy życia.

Myślała o świętach przed laty, kiedy to jeszcze rodzina była w kupie, dzieciaki małe, ona młoda, silna. Chłopa miała dobrego ale nic od tych wspomnień nie robiło się cieplej na duszy. Przeciwnie, chłodem wiało. Marzyła jej się inna starość, przy wnukach, lato za gąskami, z kijaszkiem. Wigilie przy sutym stole z rodziną. Nic z tego nie wyszło. Dorzuciła drew do ognia.

— Cicha noc, święta noc — zanuciła. Cieszy się, że ma własny dach nad głową, nie głoduje. Godzi się Pana Boga chwalić i za to.

— Narodzony Boży Syn — ciągnęła kolędę, szturając łajerki pogrzebaczem. Wiatr zawył w kominie. Do popielnika posypały się iskry. W izbie pachniało świątecznym drzewkiem. Jutro Wigilia.

W kręgu fantastyki

HARRY MARTINSON

Aniara

2.
Goldonder Aniara zamknięto, znak syreny
do startu z kosmodromu utartą rutyną
i żyrowirnik zaczyna już holować
goldonder w górę ku światłom zenitu,
gdzie magnetriny znoszą siłę przyciągania,
sygnał: „pozycja zero!" — i odpalenie z pola.
Niczym ogromna ważka nieważka
żyrowiruje bez drżeń Aniara
i bez przeszkody odchodzi od ziemi.
Start rutynowy, czysty, bez zakłóceń,
żyromatyczne odpalenie z pola.
Kto mógł przypuścić, że to tej wyprawie
sądzono stać się dziwnym lotem w kosmos,
co nas oddzieli od Słońca i Ziemi,
Marsa i Wenus i doliny Doris?

5.
Piloci spokojniejsi są niż my,
to fatalistów całkiem nowy ród
i tylko pusty przestwór mógł ich stworzyć
z hipnozy gwiazd pozornie tak niezmiennych,
z tęsknoty ludzkiej duszy za zagadką.
Śmierć również wchodzi całkiem naturalnie
w ich kalkulacje jako wartość stała.
Lecz mimo to znać teraz w szóstym roku,
że też w dół patrzą ze stromizny strachu.
Gdy się nie strzegą chwilę, ja spostrzegam
bacznie w ich rysach twarzy czytający —
Troska rozbłyska jak płonący fosfor
w tych oczach wiecznie coś wypatrujących.
Kobieta pilot zdradza się wyraźnie,
gdy siedzi w Mimę uważnie wpatrzona
i nagle pięknie jej oczy się zmienią,
zaszklą połyskiem nieodgadnionego,
niewyraźnego, a w tęczówce oka
tańczy już pełno żałosnych ogników,
głodnego ognia, co szuka paliwa
dla światła duszy, by światło nie zgasło.

Jakiś rok temu powiedziała kiedyś,
że osobiście już by to wolała,
żebyśmy wzięli w dłonie łyżkę śmierci,
aby ostatni obiad zjeść i zginąć.
Wielu myślało tak samo — lecz goście
i wszyscy ci naiwni emigranci
nie wiedzą jeszcze, jak jest z nami kiepsko,
odpowiedzialność kładą na dziób statku —
odpowiedzialność ta stała się wieczna.

79.
Przyszliśmy z Ziemi, kraju Doris,
klejnotu w naszym systemie słonecznym —
glob to jedyny, gdzie Życie dostało
krainę mlekiem i miodem płynącą.
Opisz krajobraz ten, który tam istniał,
dni, które rano wstawały w tym świecie.
Opisz człowieka, który w wspaniałości
swego gatunku przykrawał całuny,
aż Bóg i Szatan idąc ręka w rękę
w zniszczonej jadem zatrutej krainie
nie zbiegli poprzez góry i strumienie
przed ludźmi, co są królami popiołu.

100.
Nie było więcej świec do zapalenia.
Samotna lampa oświeca grób Mimy —
tu się zebrali ostatni, aby zwrócić
w bezradnej nędzy grzbiet ku morzu śmieci.

Ostatnie chwile epoki człowieczej
zwracały w płomień pytające oczy.
Tak siedział więzień niejeden na ziemi
przy swej ostatniej lampie patrząc w płomień,
słuchał jak oto ustawia się oluton
tam za twardymi kamieniami muru,
gdzie wkrótce błysną płomienie wystrzałów.

Srogość kosmosu nie większa niż ludzka.
Twardość człowieka równa jest i większa.
Na ziemi pustka obozowej celi
kamiennym niebem więzi ludzką duszę,
słychać jak zimny kamień odpowiada,
tu władza człowieka. Tu jest Aniara.

103
Przykręcam w lampie knot i nakazuję spokój.
Nasza tragedia skończona. Oddałem
prawem posłańca i koleją czasów
nasz los odbity w głębinach galaktyk.

Ku Liry gwiazdom mknął niepowstrzymanie
goldonder przez lat piętnaście tysięcy —
muzeum rzeczy i człowieczych kości
i suchych ziół i roślin z lasu Doris.

Zamknięci w naszym wielkim sarkofagu
Mknęliśmy dalej w to pustynne morze
gdzie noc przestworzy od dnia oderwana
grób nasz sklepiała metaliczną ciszą.

Przy grobie Mimy legliśmy tu kręgiem
w wolny od winy proch już przemienieni
i wyzwoleni od gwiazd gorzkich ukłuć.
I już ogarnia nas fala Nirwany.

Przełożył:
ZYGMUNT ŁANOWSKI

Harry Martinson (1904—1978).
Syn kapitana okrętu, wcześnie osierocony przez ojca, a opuszczony przez matkę, w szesnastym roku życia uciekł z zakładu opiekuńczego i został najpierw chłopcem okrętowym, później palaczem i marynarzem. Dłuższy czas przebywał w Indiach i Brazylii. Wrócił po sześciu latach chory na płuca, zakosztował bezrobocia, głodu, żywota włóczęgi. Samouk, debiutował w roku 1929 w grupie Fem Unga (Pięciu Młodych). W roku 1947 uzyskał stypendium Frödinga, w 1949 członkostwo Akademii Szwedzkiej, w 1954 doktorat honoris causa w uniwersytecie w Göteborgu. W 1974 laureat Nagrody Nobla (wspólnie z Eyvindem Johnsonem). Dwukrotnie żonaty, pierwszy raz w latach 1929—1941 z pisarką Helgą Swartz (Moa Martinson), która już w 1927 roku skłoniła go do twórczości literackiej.
Debiutował zbiorem poezji: „Upiorny statek" (Spökskeppet), 1929, po czym publikował „Nomadę" (Nomad), 1931: „Pasaty" (Pasad), 1945: „Cykadę" (Cikada), 1953; epos kosmiczny „Aniara" 1956; „Trawy z Thule" (Gräsen i Thule) 1958; „Wóz" (Vagnen), 1960; „Kępy traw" (Tuvor), 1973.
Jest również autorem powieści autobiograficznych: „Kwitną pokrzywy" (Nässlorna blomma), 1935; „Droga do Klockirke" (Vägen till K.), 1948; studiów i szkiców: „Rzeczywistość do śmierci" (Verklighet till döds), 1940; „Zgubiony jaguar" (Den förlorade jaguaren), 1941; opowiadań: „Podróże bez celu" (Resor utan mål), 1932; „Przylądek Żegnaj" (Kap Farväl) 1933 oraz sztuk scenicznych: „Trzy noże z Wei" (Tre knivar fan Wei), 1964.

PAWEŁ TOMASZEWSKI

Dralnia

Dobrze, skoro pan tak nalega — powiedział wreszcie — niech pan już włączy ten swój magnetofon. Mnie, prawdę mówiąc jest zupełnie obojętne, jak pan to sobie zanotuje, czy nagra i co pan z tym później zrobi. To już nie mój kłopot. Moje kłopoty skończyły się parę miesięcy temu. Po prostu przestałem reagować. I dlatego też między innymi nie chciałem o tym mówić. Po co?

— Tak, w pewnym sensie ma pan rację: poddałem się. Ale ja nie wstydzę się tego słowa, bo znaczy ono dla mnie tylko tyle, że musiałem jakoś uodpornić się, przystosować, nauczyć dalej żyć ze świadomością tego, co się stało. Wszystko wskazuje na to, że chcąc ocalić siebie, nie miałem innego wyjścia.

— Tylko niech pan nie myśli, redaktorze, że przyszło mi to łatwo. O, nie! Nie było to wcale takie proste. Może mi pan wierzyć, albo nie. Nie zamierzam pana przekonywać, gdyż nie miałoby to żadnego sensu. To trzeba było przeżyć!

— Tak, męczyłem się. W końcu doszło do tego, że nie byłem już pewien, czy wszystko to zdarzyło się naprawdę, czy też jest tylko wymysłem mojej chorej wyobraźni. Oczywiście i jedno, i drugie wydawało mi się straszne, ponieważ — myślałem sobie — jeżeli nawet jestem jeszcze normalny, to rychło i tak znajdę się w jakimś domu bez klamek, więc — czy tak, czy tak .... No, ale jak pan widzi, człowiek dużo może wytrzymać. To wyjątkowo odporne stworzenie, tylko czy bez względu na to, co go spotkało, zawsze do końca pozostanie człowiekiem?

... mieszkałem wtedy w N. Od dwóch lat byłem żonaty, miałem dobrą pracę w banku, niewielkie, ale własne mieszkanie w centrum oraz wszelkie szanse na długie lata spokojnego, szczęśliwego życia. Śmiało mogę powiedzieć, że nie wyróżniałem się niczym szczególnym. Jak większość ludzi w moim wieku, lubiłem kino, dobrą książkę, nie stroniłem od wesołego towarzystwa, starałem się uprawiać sporty, chociaż nie bardzo mi to wychodziło. Ceniłem swoją pracę, kochałem żonę. Z pewnością na swój sposób byłem ambitny. Chciałem więcej zarabiać, zająć wyższe stanowisko, jednak zawsze, już od samego dzieciństwa starałem się dopasowywać marzenia do możliwości i nie żądać od życia tego, co by mnie przerastało.

Polityką nie interesowałem się, a jeżeli już — to tylko w takim stopniu, w jakim czyni to prawie każdy przeciętny obywatel naszego przeciętnie zamożnego kraju. Naturalnie, czytałem codziennie prasę, oglądałem telewizję, słuchałem rano radia — robiłem to jednak bardziej z przyzwyczajenia niż wewnętrznej potrzeby. Nieraz z kolegami z banku komentowaliśmy wspólnie takie, czy inne decyzje rządu, albo też wymieniliśmy uwagi na temat jakiegoś ważnego wydarzenia politycznego — prawie zawsze w podobnej formie, w jakiej opowiada się przeczytaną książkę lub obejrzany ostatnio film, czyli — bez większego osobistego zaangażowania. Atakowani co dnia tysiącami rozmaitych informacji, nie potrafiliśmy dokonywać właściwej ich selekcji i wyławiać tego, co naprawdę ważne. Z równym dystansem podchodziliśmy więc do wiadomości o kolejnym pojawieniu się UFO, jak i — o wybuchu jakiejś nowej, lokalnej wojny na drugiej półkuli. Po prostu i jedno, i drugie tak było odległe od problemów, którymi żyliśmy na co dzień, że nie robiło to już na nas żadnego prawie wrażenia. Aż wstyd przyznać, że bardziej przejmowaliśmy się kilkuprocentową podwyżką cen alkoholu czy papierosów niż tym, że znów gdzieś zginęło w walkach tysiąc osób. Trudno było zresztą nieraz wywnioskować, kto i przeciwko komu tam walczy oraz o co chodzi każdej ze stron.

Pochłonięci swoimi przyziemnymi sprawami, nie mieliśmy kiedy się nad tym głębiej zastanawiać. Do szesnastej nasz czas należał do pracodawcy, który starał się — rzecz jasna nie zawsze skutecznie — by był to czas efektywnie przepracowany. Potem trzeba było zjeść obiad, zrobić jakieś zakupy, pomóc żonie w sprzątaniu mieszkania, spotkać się ze znajomymi, pójść do kina, do teatru... Program każdego niemal dnia był tak napięty, że z trudem udawało się zrealizować go w całości. Podświadomie wierzyliśmy, że żyć pełnią życia, to żyć szybko, intensywnie, więc pośpiech był naszym nieodłącznym towarzyszem, także wtedy, gdy można było nie śpieszyć się wcale. Zupełnie jakby ktoś nas tak zaprogramował, a my, z fałszywym poczuciem prawdziwej wolności i swobody wyboru, wykonywaliśmy posłusznie wszystkie jego polecenia, na dodatek przyjmując je za swoje własne decyzje.

Mówię o tym tak długo i dokładnie dlatego, że właśnie owego dnia, kiedy TO się zaczęło, zrozumiałem, jak mało zależy od mojej woli i w jak niewielkim stopniu moje decyzje są naprawdę moje.

Nie. Źle powiedziałem: ja się tego wtedy dopiero zaczynałem domyślać. W pełni zrozumiałem to znacznie później, ale w niczym nie zmienia to przecież faktu, że właśnie ów dzień był w moim życiu przełomowy.

Oczywiście nie spodziewałem się niczego. To przyszło nagle, jak grom z jasnego nieba. Nie potrafiłem, a chyba nawet i nie mogłem przewidzieć zbliżającej się katastrofy. Później myślałem nieraz, że gdybym w porę wycofał się... Ale skąd miałem wiedzieć, do czego to doprowadzi? Przecież na początku nie było w tym niczego, co mogło wzbudzić moje podejrzenia.

Około południa rozbolała mnie głowa. Zdarzało się to od czasu do czasu, jak zwykle więc połknąłem dwie tabletki przeciwbólowe i spokojnie czekałem aż zaczną działać. Odłożyłem wykazy kont, które przeglądałem, oparłem się o ścianę, zamknąłem oczy... Ale ból wcale nie ustępował. Wprost przeciwnie — stawał się coraz bardziej dokuczliwy. Może był to pierwszy sygnał ostrzegawczy? Nie wiem. Jedyne, co mi wtedy przychodziło do głowy, to obawa, że dłużej nie wytrzymam. Nie skarżyłem się, ale ten ból było chyba widać, bo nasz szef, zawsze pilnujący, byśmy ani o minutę za wcześnie nie skończyli pracy, tym razem sam zaproponował mi, żebym natychmiast poszedł do lekarza i dziś już nie pokazywał się w banku.

Nie musiał mi tego powtarzać. Skwapliwie skorzystałem z propozycji, choć — przyznam szczerze — akurat wtedy wolałbym już raczej zostać po godzinach, niż dłużej znosić ten cholerny ból. Do lekarza jednak nie poszedłem. Nigdy nie lubiłem lekarzy i potrafiłem na poczekaniu znaleźć tysiąc powodów, by ich nie odwiedzać, nawet jeśli wiedziałem, że to wręcz konieczne, więc i wtedy natychmiast po wyjściu na ulicę udało mi się siebie przekonać, bo kiedy je otworzyłem, samo mi przejdzie.

W pierwszej chwili zamierzałem pójść wolno w kierunku domu, potem położyć się, odpocząć, ale — nie pamiętam już teraz dlaczego — ruszyłem w przeciwną stronę. Po pewnym czasie z zadowoleniem stwierdziłem, że zbliżam się do jakiegoś parku. Usiadłem na pierwszej napotkanej ławce, znów zamknąłem oczy i — musiałem chyba się zdrzemnąć, bo kiedy je otworzyłem, mój zegarek wskazywał piętnaście po trzeciej. Ostrożnie dotknąłem prawą ręką skroni, przetarłem zdrętwiały kark... Można już było wytrzymać.

Raz jeszcze spojrzałem na zegarek. Do banku nie musiałem wracać. Do domu też w zasadzie nie było po co iść o tej porze, skoro poczułem się lepiej. Anna miała przyjechać dopiero późnym wieczorem, gdyż wybrała się w odwiedziny do matki, która mieszkała na dalekim przedmieściu. Co prawda, w telewizji zapowiadali transmisję z meczu o puchar świata, ale było jeszcze sporo czasu. Poza tym w parku było tak pięknie...

Kilkanaście metrów od ławki, na której siedziałem, znajdował się staw. Pływały po nim łabędzie i chyba dzikie kaczki. Orzeźwiający wiaterek poruszał nie w pełni jeszcze rozwiniętymi listkami na okolicznych drzewach. Z zarośli dobiegał co chwila zdumiewający swą różnorodnością świergot ptaków, którego można było słuchać jak najwspanialszej muzyki. Odpoczywałem.

Wkrótce zauważyłem, że alejką obok stawu spaceruje dwoje bardzo młodych ludzi. Szli wolno, przytulając się do siebie i całując co parę metrów. Obserwowałem ich niby obojętnie, a jednak z coraz bardziej zaciskającymi się zębami. Byli młodzi, szczęśliwi...

Nie, to nawet nie o to chodziło, bo i ja byłem przecież młody i na swój sposób szczęśliwy. Miałem właściwie wszystko, co w potocznej opinii potrzebne było do szczęścia, a przede wszystkim miałem kochającą żonę, z którą było mi dobrze i jeżeli czegoś w naszym wspólnym życiu jeszcze brakowało, to chyba tylko dziecka.

Skąd więc wzięło się nagle owo poczucie zazdrości, gdy patrzyłem na tę parę zakochanych? Nie bardzo potrafiłem to sobie wytłumaczyć. Zresztą wówczas nie zastanawiałem się nad tym, nie myślałem tak, jak myślę teraz. Czułem tylko podświadomie, że ich szczęście, którego mogłem się zaledwie domyślać, jest jakby lepsze, pełniejsze, prawdziwsze od mojego.

Zaczęły mi się przypominać nasze z Anną spacery, nasze długie rozmowy, pierwsze pocałunki, wieczorne rozstania, po których długo nie mogłem zasnąć, marząc o tym, jak następnego dnia znów będzie nam razem dobrze. Widziałem nas trzymających się za ręce, beztroskich, roześmianych, to znów spokojnych i zamyślonych, drżących z podniecenia, którego zaspokoić do końca nie mieliśmy jeszcze odwagi. Widziałem to tak, jakby zdarzyło się zaledwie wczoraj, a jednocześnie — sto lat temu. Boże, pomyślałem, jak dawno nie byliśmy z Anną w parku na spacerze? Czyżbyśmy nie byli już do tego zdolni?

Całe moje ciało przeszedł niespodziewany dreszcz. Wstałem z ławki i wolno ruszyłem przed siebie, nie zastanawiając się zupełnie, dokąd idę. Wkrótce park zaczął rzednąć, ustępując miejsca ogrodom, w których zakwitały pierwsze wiosenne kwiaty i miejscami było już całkiem zielono. W powietrzu unosił się charakterystyczny zapach, dobrze znany mi z dzieciństwa spędzonego w małym miasteczku, wśród takich właśnie ogrodów i uliczek, wśród małych sklepików i wozów konnych, niepozornych drewnianych domków, przed które — pamiętam jak dziś — o tej mniej więcej, popołudniowej porze wychodziły nasze matki i babki pogadać o swoich sprawach, albo pożyczyć jedna od drugiej dwa jajka, czy szklankę cukru. Był to zapach wiosny, zapomniany przez lata, bo wyparty niegdyś z mego życia i pamięci przez ostrą woń spalin, papierosowego dymu i wyziewów z licznych w N. fabryk. I oto znów mogłem go chłonąć, przeniesiony dzięki temu jakby w inny świat i inną epokę. Działał na mnie niczym narkotyk osłabiający wolę i poczucie rzeczywistości.

Wąskie uliczki, na których z rzadka można było dostrzec stojący samochód, czy przemykającą gdzieś w oddali ludzką postać, podobne były do siebie jak krople wody. Wydawały mi się znajome i bliskie, gdyż przypominały te, po których biegałem jako mały chłopak, jednak klucząc po nich, pogrążony we wspomnieniach, szybko straciłem orientację i kiedy wreszcie postanowiłem wracać, bo zaczęło się robić chłodno, a w żołądku burczało mi już z głodu, zupełnie nie wiedziałem, w którą stronę powinienem pójść, by odnaleźć drogę do centrum. To dziwne, pomyślałem, że wcale nie znam tej dzielnicy i nigdy dotąd tu nie byłem. Biorąc pod uwagę, iż przyszedłem piechotą, do centrum musiało nie być zbyt daleko, dlaczego jednak, u licha, w którą stronę bym nie poszedł — ani śladu przystanku autobusowego czy postoju taksówek?

Przyśpieszyłem kroku, skręcając na wyczucie z jednej uliczki w drugą, raz w lewo, raz w prawo. Starałem się iść tą samą drogą, którą, jak mi się wydawało, dostałem się do tego osobliwego labiryntu, ale jego końca wciąż nie było widać, zaś nazwy ulic absolutnie nic mi nie mówiły. Co dziwniejsze, od pewnego czasu okolica sprawiała wrażenie wymarłej. Nie było nigdzie żywej duszy.

I wtedy właśnie zobaczyłem ten dom: biały, parterowy, bez okien od frontu. W odróżnieniu do wszystkich innych w całej chyba dzielnicy schowanych w głębi ogrodów za zasłoną drzew i krzewów, stał przy samej ulicy. To od razu zwróciło moją uwagę. Podszedłem bliżej. Obok niepozornych, drewnianych drzwi na gładkiej ścianie, którą czuć jeszcze było zaprawą murarską, widniała niewielka tabliczka z napisem: DRALNIA.

A to dopiero! — zaśmiałem się półgłosem sam do siebie. Żeby tak się pomylić... No, ale przynajmniej będzie kogo zapytać o drogę, jeżeli jeszcze jest otwarte.

Rys. Janusz Szymański-Glanc

c.d.n.

Remanent wśród gwiazd piosenki...

BOHDAN GADOMSKI

☆ ★ ☆

Moda na muzykę rockową zdominowała antenę radiową i telewizyjną, krajowe estrady. Pojawiły się zespołowe gwiazdy rocka i nie tak liczne — pojedyncze, wśród których panie zdecydowanie zdominowały panów. A co dzieje się z gwiazdami piosenki tradycyjnej, masowej, która stała się obecnie kopciuszkiem, „drugim garniturem" nie lansowanym, nie nagrywanym, pomijanym?

I SUPERGWIAZDY

„SPORTSMENKA"

Popularność MARYLI RODOWICZ, wykraczając poza granice sezonowej mody stanowi jeden z ewenementów w naszej pop-kulturze. I chociaż taki znawca ludzi estrady, jakim jest Witold Filler pisał: „*Popularność Maryli Rodowicz stanowi dla mnie irytujące zaskoczenie, ponieważ ta dziewczyna, ponad wszelką wątpliwość nie umie śpiewać, wszystkie piosenki śpiewa podobnie, chyba że jest w złym humorze, wtedy nawet podobne piosenki wykonuje po prostu fatalnie*", to owa popularność jest faktem. Filler zastanawiał się już w 1972 roku — czy Rodowicz potrafi tę popularność zachować. Sama gwiazda wielką pracą, w której nie zwalniała tempa zgodnie z przewrotną logiką kultury masowej, dawała odpowiedź na to pytanie wciąż nowymi, oryginalnymi pomysłami na samą siebie, była coraz lepsza, ciekawsza. Niestety w ostatnich dwóch latach jej popularność nieco przygasła.

Podczas spotkania w łódzkim Hotelu „Centrum" zwierzyła mi się:

— *„Czy można być wciąż najmodniejszą piosenkarką przez 15 lat? Moda w muzyce zmienia się szybko i dobrze, że tak się dzieje, bo inaczej byłoby nudno. Dziś modny jest rock, ale nie zamierzam go śpiewać aby być modną, ja chcę być sobą, co nie znaczy, że jestem obojętna na aktualne trendy w światowej muzyce rozrywkowej. Nowe piosenkarki mają od razu kredyt zaufania, ja nie będę go już miała. Trudno być na nowo objawieniem.*

A mimo tej deklaracji, Rodowicz szukała siebie także w rocku, poczynając od pamiętnego zespołu „Różowe Czuby" aż do recitalu rockowych hitów w telewizyjnym programie „Bezsenna blondyna", może była w nim zbyt opływową w kształtach, aby mogła być ponętna i atrakcyjna dla 17-latków?

Rockowe oblicze Maryli Rodowicz zostało powitane z mieszanymi uczuciami, a ona sama naraziła się poprzez szokujący strój, makijaż, styl śpiewania na miano kontrowersyjnej.

— *„Spadek zainteresowania produkcjami estradowymi jest wyraźny* — mówiła — *może dlatego, że podrożały bilety i niełatwo jest sprzedać imprezy? Wyjątek stanowią koncerty dla młodzieży i programy kabaretowe. Na szczęście na moich koncertach sale są pełne lub prawie pełne.*

Maryla Rodowicz ma dwoje dzieci, na miecierzyństwo zdecydowała się późno, oficjalnie dlatego, że nie mogła znaleźć odpowiedniego partnera. Dziś jest nim reżyser i dyrektor krakowskiego Teatru „Stu" Krzysztof Jasiński. Nieoficjalnie z uwagi na karierę. Aby być pierwszą wśród pierwszych trzeba za to płacić różne koszty. Rodowicz o tym wiedziała. Obecnie wprowadziła na Telewizyjną Listę Przebojów nowy urwór „Gimnastyka", widać, że pani Maryla mimo zajęć domowych przy dzieciach, trzyma rękę na pulsie i pilnie baczy na to co dzieje się na rynku światowym, a tam zapanowała moda na aerobic. Może uda się z powrotem wejść na utraconą pozycję supergwiazdy tą drogą.

„PERFEKCJONISTKA"

Na rynek piosenkarski przebijała się wyjątkowo długo, bo aż 8 lat! Tyle czasu trwają najdłuższe kariery naszych gwiazdek. Długo szukała siebie, własnego stylu, odrębności, była szalenie ambitna i pracowita. Nie miała czasu dla przyjaciół, rodziny, nawet dla siebie samej, wszystko podporządkowała karierze. I zrobiła ją. Deszcz festiwalowych nagród od Sopotu po Tokio, przeboje, recitale płyty, ciągle nowe style, nowe oblicza aż po obecny nev romantic, który jako kolejna moda muzyczna nie bardzo się u nas przyjął.

Na domowym fotelu przy ul Svcylijskiej w Warszawie podczas naszej rozmowy ZDZISŁAWA SOŚNICKA siedziała niczym na królewskim tronie i długo trwała w tej pozie. Ostatnio nie nagrywała niczego nowego, z wielkich przebojów w pamięci zapisał się tylko jeden „Uwierz w siebie", który miała znakomicie wyreżyserowany w telewizyjnym teledysku. Zarzut o manierę wokalną jest słuszny, bo przez długie lata śpiewała popadając w parodię samej siebie. Mody na rocka nie zaakceptowała, do wokalistek rockowych odnosi się z rezerwą. Bacznie śledzi rynek, kto wchodzi, a kto z niego schodzi. Ale po raz pierwszy nie robi nic, aby zaznaczyć na nim swoją obecność. Kiedy zapytałem ją, dlaczego przestała walczyć, odpowiedziała:

— *Jestem na to już za stara. Nie będę się wygłupiała jak Maryla.*

A przecież miała wszystkie dane, aby zrobić karierę światową.

— *Nie zrobiłam kariery światowej, bo nie chciałam.*

Może w przyszłości będzie kompozytorką?

— *„Moje własne kompozycje? Na Festiwalu Interwizji w Sopocie chciałam zaśpiewać dwie własne kompozycje: „Kochać znaczy żyć", „Raz na jakiś czas". I usłyszałam: „Ty masz odwagę". Zaśpiewałam jedną piosenkę z własną muzyką. Dysponuję własnymi utworami, ale wolę ich nie nagrywać, po co ktoś ma mi wypominać, że chce się dodatkowo dorobić.*

— I tak ludzie mówią, że jest pani milionerką?

— *Ha, ha, ha! Ale mnie pan rozśmieszył i ci, co myślą podobnie też.*

— Jakie dalsze plany, nadzieje w zawodzie, w którym osiągnęła pani wszystko, o czym marzy każda debiutująca piosenkarka?

— *Myślę, że to już finał. Bo cóż mogę zrobić więcej.*

Zdzisława Sośnicka od lat chce zostać matką, obecnie ponowiła próby. Mogła sobie na to pozwolić, bo w Polsce wciąż panuje moda na rocka. Tylko że w momencie, gdy Sośnicka zechce wrócić na rynek, może być za późno. Może by więc pani Zdzisławo raz jeszcze przeanalizować swój stosunek do muzycznej mody, do siebie w niej lub obok niej i nie jechać na chałturę do Włocławka lub Sochaczewa z estradową składanką?

„TERAPEUTKA"

„Zapomniałam twoje oczy, zapomniałam twoje usta, nasza ścieżka pod sosnami stoi pusta..." Gromkie brawa i wołania o bis, jakie rozległy się w Opolu w 1966 roku po zakończeniu tej uroczej piosenki śpiewanej przez URSZULĘ SIPIŃSKĄ oznaczały początek piosenkarskiej kariery. Jury nie zauważyło jednak tej piosenki, krytycy doszukiwali się przeróżnych mankamentów w tekście. Mimo to, już po kilku dniach niemal wszyscy nucili: *„Zapomniałam twoje oczy..."*

O Urszuli Sipińskiej pisało się i mówiło ostatnimi czasy mniej, ale też napisano o niej prawie wszystko. Dziś jest niekwestionowaną gwiazdą estrady która nie musi zabiegać o względy publiczności i starać się być wszędzie jak w początkach kariery.

Pechowy los dopadł ją wtedy, gdy zbliżał się jubileusz 15-lecia pracy. Wracając z koncertu w mieście Schwedt do Berlina, na autostradzie koło miejscowości Bernau, uległa wraz z mężem Jerzym Konradem wypadkowi samochodowemu. Rany na głowie, w okolicy brwi, czoła i z tyłu głowy i spora ilość wyciętych włosów to już historia. Tak jak przed wypadkiem, tak i po nim w muzyce, zainteresowaniach repertuarowych Sipińskiej dominuje country.

— *Ta fascynacja nie przyszła nagle. Od dawna uważałam że jest to muzyka szczera i autentyczna, że są to piosenki o ludziach i dla ludzi. Zresztą zawsze moje pasje muzyczne wypływały z autentycznego zapotrzebowania.*

— A muzyka rockowa?

— *To bardziej zjawisko społeczne niż muzyczne, to autentyczne zapotrzebowanie młodzieży od lat 12 do 17 na w większości pseudoszczerość płynącą z estrady. Twórcy i wykonawcy muzyki młodzieżowej mają często ponad 30 lat i nie jest chyba możliwe, aby intelektualnie odczuwali takie problemy jak 12-letni chłopiec. To muzyka dla ludzi przed ślubem, którzy mają jeszcze siły słuchać tak głośnej muzyki. Wolę jednak nurt muzyki rockowej niż tradycyjne śpiewanie.*

— Na łamach „Tygodnika Kulturalnego" tuż po pani wypadku ukazał się obszerny szkic Jana Piaseckiego na temat pani piosenkarskiej sztuki. Tytuł publikacji: *„O wyższości Sipińskiej nad relanium"*. Zatrzymam się przy stwierdzeniu: *„Sipińską, jak żadną inną polską piosenkarkę, można szczęśliwie usypiać dzieci (swoje i cudze) i może kiedyś, w dobie nowalijek medycznych ktoś pokusi się o zbadanie terapeutycznych właściwości jej sztuki wokalnej"*. To świadomy wybór bycia taką Sipińską czy odkrycie w sobie wspomnianych bioprądów?

— *Myślę, że to co robimy przez całe życie było świadome w wyborze, autentyczne. Ja po prostu taka jestem. Prowadząc burzliwe życie estradowe tęsknię za domem i stąd takie właśnie śpiewam piosenki*

— Czyli została pani teraz piosenkarką anty hard rockową a bardziej mamą-ciocią, co to do snu dzieciom-siostrzeńcom śpiewa bajki?

— *Sądzę, że dużo łatwiej jest uśpić młodzież niż ją zbudzić.*

— Pozostanie pani przy country?

— *Tak. Bardzo się ostatnio uspokoiłam, gdy zdecydowałam się na muzykę country. Moja kariera była dość nierówna, interesowałam się prawie wszystkimi gatunkami muzyki rozrywkowej. Country tak pasuje do mojej mentalności, że wreszcie znalazłam taką muzykę w której mogę pokazać wszelkie drzemiące we mnie możliwości.*

I rzeczywiście. Urszula Sipińska chyba najrozsądniej z supergwiazd piosenki wybiera swoją muzykę i odnajduje w niej siebie choć może to wcale nie jej zasługa, lecz muzyki, która tak trafnie do niej przystaje.

„ZAKRZEPŁA DOSKONAŁOŚĆ"

Witold Filler, którego sądy o naszych gwiazdach piosenki uważam za wyjątkowo trafne, pisał o EWIE DEMARCZYK

Nina Urbano
Foto: Zofia Nasierowska

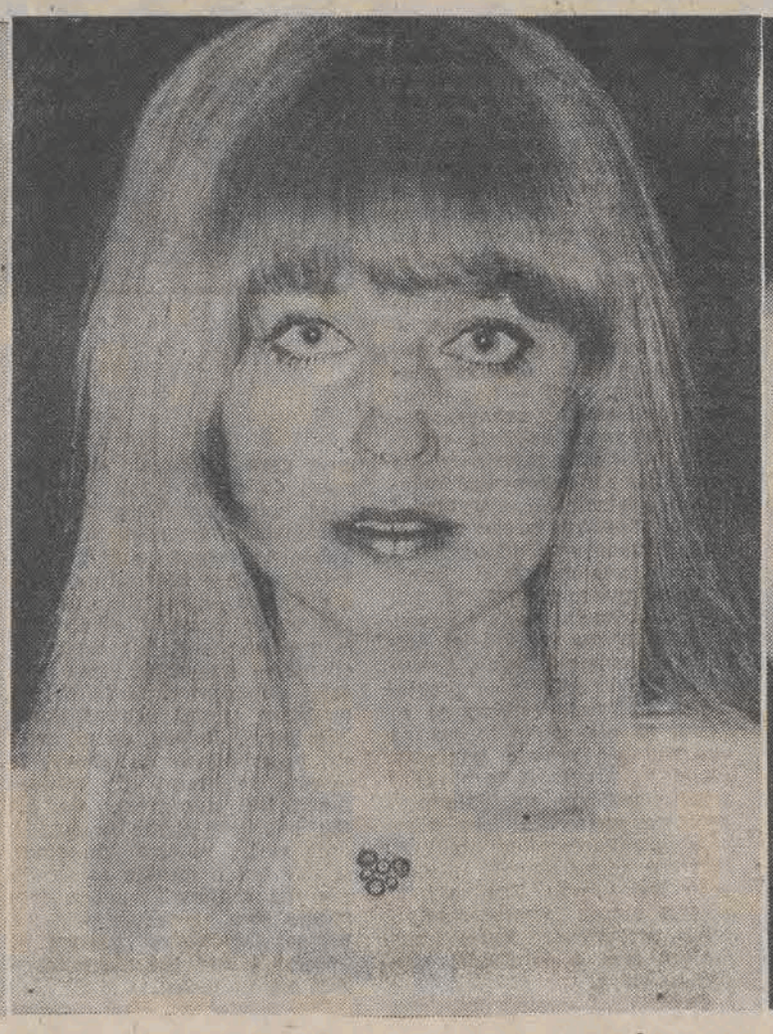

Urszula Sipińska
Foto: Rafał Jesionowicz

Ewa Śnieżanka
Foto: Zofia Nasierowska

Zdzisława Sośnicka
Foto: Zofia Nasierowska

Maryla Rodowicz
Foto: R. Pajchel

Teresa Tutinas

w książce „Ludzie śmiechu", że z jej warg, kiedy są rozkrzyczane, ściągnięte konwulsyjnym grymasem biją dźwięki, które nie tylko porażają uczucia, ale układają się w jakieś własne metrum. Nastrój dnia, wieczoru, godziny dyktuje artystce nowe barwy głosu, zmienia się rytm. Demarczyk śpiewa wierszem. I improwizuje koloryt swoich piosenek. Tak śpiewała Edith Piaf, tak śpiewa Ella Fitzgerald. Demarczyk jako jedyna w Polsce osiągnęła ten stopień artystycznego wtajemniczenia. Po jej sukcesach w Szwecji, RFN, Rumunii można zaryzykować stwierdzenie, że to pierwsza polska piosenkarka, którą uznano za świetną i zrobił to ktoś poza nami.

Pierwszy występ Ewy Demarczyk w paryskiej „Olimpii" zakończył się kompletnym fiaskiem, śpiewała drewnianą francuszczyzną okradzione z klimatu przekłady swoich muzycznych poematów. Publiczność ziewała, dyr. Coquatrix uznał występ za kolejny prezent dla samego siebie, jako że snobował się na niewytłumaczalną słabość do Polaków.

Demarczyk jest manieryczna. Tak mówią jej przeciwnicy. Secesja też była stylem manierycznym. Sama poezja, którą śpiewa Demarczyk też jest manią dziwaków, co słowa umyślili układać w rządki. Są ludzie całkowicie niewrażliwi na głos Demarczyk. Po rozstaniu się z Zygmuntem Koniecznym długo nie mogła znaleźć tak charakterystycznego dla siebie repertuaru. Nie bardzo pomogły piosenki hiszpańskie, niemieckie, francuskie. To już nie była ta sama wielka Demarczyk, stawała się coraz bardziej wymyślona, udziwniona, bardziej zamknięta w sobie. Z każdym upływającym rokiem stawała się coraz bardziej zakrzepła doskonałością, bardziej woskową niż żywą. Spalały ją recitale, które dawała tylko wieczorową porą, ale za to w sporej ilości, bo nie można żyć samą tylko sztuką.

Za to nigdy nie śpiewała w estradowej składance, nigdy nie zeszła poniżej swego poziomu ale też nigdy nie dorównała repertuarem, ekspresją, drapieżnością i głosem temu, co robiła na początku kariery. Wtedy była najlepsza, choć z wielkimi artystkami bywa tak, że są najlepsze lub coraz lepsze z biegiem czasu. W przypadku Ewy Demarczyk jest akurat odwrotnie. Ona stoi w miejscu i stać będzie do końca swojej działalności bo nie można być doskonalszą od doskonałości.

— Był czas mody na Ewę Demarczyk ale przeminął?

— *Moda? Dawniej zdarzało się że część słuchaczy przychodziła na moje koncerty, bo wypadało na nie przychodzić. Teraz przychodzą już tylko ci, którzy rzeczywiście potrzebują spotkania ze mną. Wydaje mi się że moim wielkim zwycięstwem jest to, że mój nielatwy przecież repertuar zyskał sobie tak wielu zwolenników. A przecież początki były bardzo trudne, tak długo nie mogliśmy z Zygmuntem Koniecznym przekonać ludzi do tego co robimy.*

— Panuje opinia, że jest pani piosenkarką „intelektualną"?

— *Jeszcze jedna etykieta. Co to znaczy „Intelektualna"? Że czytam? Że nie jestem kretynką? Że nie śpiewam idiotyzmów?*

— Nie zawsze odnosiła pani same zwycięstwa?

— *Nie zawsze, bo nie zawsze miałam warunki do zwycięstw. I nie dla wszystkich jestem w każdej sytuacji strawna. Dlatego unikam wielkich sal, różnego rodzaju składanek estradowych, programów telewizyjnych. Zależy mi na czymś innym, szukam kameralności, atmosfery, w której mogłabym przekazać tę wielką poezję, którą śpiewam.*

— Marzenia?

— *Chciałabym mieć dwa fortepiany. Dobrej Nastrojone! I chór, i orkiestrę! I miałabym wówczas tyle do zrobienia, do zaśpiewania! Gdyby dwa razy w miesiącu wypożyczano mi Teatr Wielki, śpiewałabym tam. Miałabym wreszcie światła, chór i orkiestrę. Pewnie udałoby się wtedy wystawić „Tryptyk" i zaśpiewać Faulknera.*

II GWIAZDY

„PERUWIANKA"

Lucjan Kydryński tak pisał o Ninie URBANO:

„Gościła w blasku honorów, jakimi obdarowano ją na festiwalach w całym świecie — od Malty po Rio de Janeiro, gościła jako niekoronowana królowa festiwali kołobrzeskich ze Złotym Pierścieniem na każdej ręce lub po prostu jako piosenkarka o bardzo pięknym, ciepłym głosie o ogromnej skali (3,5 oktawy), niezwykle muzykalna, subtelnie, precyzyjnie cyzelująca każdą frazę, piosenkarka, której z przyjemnością się słucha".

Zaczynała na Śląsku, skąd błyskawicznie przebiła się ze swoim wspaniałym głosem do Warszawy, w której ostatecznie zamieszkała. Później podziwiali ją mieszkańcy: ZSRR, NRD, Czechosłowacji, Jugosławii, Bułgarii, Mongolii, Szwajcarii, RFN, Anglii i Belgii. Pokazywała tam wszystkie barwy swego głosu.

Losowanie piosenkarzy w naszym kraju odbywa się na dziwnych zasadach, o tych, którzy są już znani i uznani, którzy przysporzyli naszej kulturze wiele nagród, splendorów (w przypadku Niny Urbano pierwsze i drugie nagrody na festiwalach piosenki w Rostocku, Dreźnie, Słonecznym Brzegu, Agrigento, Rio de Janeiro, na Malcie szybko się zapomina, pozostawiając ich po wyeksploatowaniu na własne siły.

O Ninie Urbano ostatnimi laty, przypominano sobie głównie przy okazji kołobrzeskich festiwali, jaśniała tam zawsze pełnym blaskiem swego głosu, który mimo wszystko nie przystawał do wojskowej piosenki, choć właśnie jej piosenkom przyznawano Złote Pierścienie, Nagrody Ministra Obrony Narodowej, Nagrody Dziennikarzy. Nie było to najlepsze miejsce dla możliwości i poziomu tej wspaniałej artystki. Ale przecież to organizatorzy festiwali zapraszają wykonawców na swoje imprezy, a nie odwrotnie.

Animatorzy naszego życia muzycznego uporczywie szukali wciąż świeżych młodych talentów, a o Ninie Urbano zapominali coraz bardziej z każdym upływającym rokiem. Kiedy namówiłem Ryszarda Czubaczyńskiego (wówczas dyrektora Estrady Łódzkiej) do sprowadzenia do Łodzi Niny Urbano i zrobienia dla niej wielkiego estradowego show, bardzo zainteresował się tą propozycją, bo również wierzył w ogromne i nie wykorzystane w naszym kraju możliwości Niny Urbano. Premiera programu z Niną Urbano w roli głównej odbyła się w Teatrze Ziemi Łódzkiej, artystka zaprezentowała tam taką skalę możliwości wokalnych i nie tylko (prowadziła cały program z udziałem swoich gości), że zdumiała wszystkich obecnych na premierze. Estradowa eksploatacja tego pragramu nie bardzo się udała i nie z winy gwiazdy, lecz z niedowładu organizacyjnego.

Nina Urbano pojechała później z estradowymi składankami, które chętnie wykorzystywały jej nazwisko i talent. Jeździ z nimi dalej, zarabia pieniądze, coraz bardziej sceptycznie patrzy w przyszłość swojej piosenkarskiej kariery.

— Czy jest pani zadowolona z wyboru swego zawodu?

— *Tak, ale nie przypuszczałam, że jest to aż tak trudny zawód.*

— Mimo to skierowała pani syna w tym kierunku?

— *I nie wiem — czy nie będę miała wyrzutów sumienia, bo niady tego nie chciałam. Jednak zainteresowania i predyspozycje Piotra były tak silne, że nie mogłam oponować.*

W zawodowym życiu Niny Urbano nie dzieje się obecnie nic ciekawego, jeździ wraz z mężem — piosenkarzem Zbigniewem Maciejewskim z estradowym programem „Przez różowe okulary", adresowanym do ludzi dobrej roboty. Obejrzałem ten program w listopadzie 1983 r. w Gdańsku, jego gwiazdą była Nina Urbano, choć lista wykonawców (same znane nazwiska) była długa.

Mamy więc w kraju tak wspaniale śpiewające piosenkarki, tylko kto o tym dziś pamięta, kogo dzisiaj to naprawdę obchodzi?

„ALPINISTKA"

Zwróciła na siebie uwagę przed laty występami w popularnych łódzkich „Spotkaniach z polską piosenką". To zdopingowało ją do pracy.

O popularności i sympatii dla EWY ŚNIEŻANKI niech świadczą choćby: I miejsce w dorocznym plebiscycie na „Warszawską Piosenkę Roku" („Warszawskie tango") lub czołowe miejsce w plebiscycie „Kuriera Polskiego" na najpopularniejszą dziesiątkę ludzi sportu i estrady.

Przebiła się sama: talentem w postaci wspaniałego głosu o rzadkiej, szlachetnej barwie, skali i sile. O sobie tak mówiła w jednym z wywiadów:

— *Zawsze ciepło wspominam ludzi, którzy pomogli mi w starcie. Taka pomocna dłoń dla młodego piosenkarza jest bardzo ważna. Nie docenia się u nas jeszcze roli mecenatu, stąd chyba tyle rozczarowań i tyle zmarnowanych talentów.*

— Co to za zawód — piosenkarka?

— *Jest trudny, pochłaniający bez reszty. Można by go porównać z pracą alpinistów i ich pozornie irracjonalną chęcią wspinania się coraz wyżej. W tym zawodzie trzeba wciąż się podobać, dotrzymywać kroku innym, zaskakiwać czymś nowym. To pobudza do ciągłego działania i pracy nad sobą. Istnieje też męcząca nieokreśloność kryteriów, według których nas się ocenia. Porażka jest dla mnie np. brak aprobaty niektórych panów redaktorów z redakcji muzycznej Polskiego Radia, którzy znają tylko to, co im się osobiście wręczy do przesłuchania. Szkoda, że sami nie zadają sobie trudu, aby poszukać.*

— Jak znosi pani krytykę?

— *U nas rzadko pisze się na temat piosenkarzy. A jeżeli już, to piszący tworzy z sympatii lub antypatii do danej osoby i to ma być krytyka muzyczna?*

— Modę na piosenkarzy i piosenki dyktuje u nas młodzież. Pani nigdy nie była piosenkarką młodzieżową. W jakim przedziale należy panią umieścić?

— *Nigdy nie byłam młodzieżowa, bo wewnętrznie zawsze byłam dorosła. Najpierw chciałam być dorosła, potem czułam się dorosłą i tak to przeleciało.*

— Krytycy zarzucali pani, że wciąż śpiewa szeroko i tak samo, więc teraz pani chowa głos, moim zdaniem zupełnie niepotrzebnie?

— *U nas albo ma się pretensje do kogoś, że nie ma głosu i śpiewa albo ma głos i śpiewa za głośno. Śpiewam tak jak czuję. Podobno za każdym razem tę samą piosenkę śpiewam inaczej. Włodzimierz Korcz mówił: „Dawaj mniej tego co masz, bo możesz tym obdzielić inne panienki". Wychodziłam na estradę i... ponosił mnie temperament. Wydaje mi się, że gdybym żyła w kraju, gdzie jest tradycja musicalowa, to inaczej by mnie oceniano i wykorzystywano. Dopiero bym się wyśpiewała i wyżyła.*

W Polsce Ewa Śnieżanka zdana tylko na własne siły wciąż szukająca repertuaru dla siebie i siebie w piosence nie zawsze dobrze na tym wychodzi. W dobie obecnych trędów w muzyce rozrywkowej jest bardziej zagubiona niż dawniej choć na koncertach śpiewa rewelacyjnie. Oglądałem w tym roku kilka jej występów i zdumiałem się — co ta wspaniała, europejskiego formatu piosenkarka robi w estradowej składance?! Dla niej powinno się wystawiać musicale na czele z obiecaną rolą Elizy w „My fair lady", bo takie kaskaderki wokalistyki rozrywkowej nie mamy w kraju i pewnie długo mieć nie będziemy.

Ewa Śnieżanka jest ambitna i uparta, wie czego chce, ale nie wszystko zależy od niej samej. W desperacji podjęła kolejną nie przemyślaną decyzję i właśnie wyjechała na hotelowo-lokalowe występy do Arabów. Nie będę tam życzył pani powodzenia, pani Ewo!

„EMIGRANTKA"

Na pierwszym longplayu TERESY TUTINAS napisano, że jest obecnie jedną z najpopularniejszych i najlepszych piosenkarek polskich młodego pokolenia. Na drugim longplayu, że jest lubiana i ceniona oraz ekspresyjna.

Były u nas kariery bardziej błyskotliwe, ale popularność Teresy Tutinas przez lata nie była wynikiem mody, lecz wykładnikiem jej realnych wartości. Było wielu ludzi, którzy lubili posłuchać Teresy Tutinas, ale byli i tacy, którzy nie lubili, nie było jednak takich, którzy wysłuchawszy jej — nie zapamiętali.

Na trzecim longplayu, który ukazał się w 10 lat po debiucie pisano, że bezsprzecznie jest jedną z ciekawszych polskich piosenkarek i zarazem kontrowersyjnych. Andrzej Kuryłło pisał o stałych poszukiwaniach repertuarowych, o wciąż nowych środkach wyrazu i nowego sposobu interpretacji.

Na czwartym longplayu nie było już żadnego komentarza, były za to nowe, nieznane piosenki, z których żadna tak naprawdę nie została przebojem.

Zaczął się regres w karierze tej piosenkarki, właściwie do tej pory nie wiadomo czym spowodowany, bo ona sama nigdy nie pozwoliła sobie na obniżenie poziomu. Zejście z rynku było coraz bardziej widoczne, praktycznie od 1978 roku Tutinas nie było już w czołówce piosenkarskiej, podczas gdy kilka lat wcześniej była może najlepsza. Wyższe wykształcenie muzyczne (dwa fakultety: wokalistyka i pedagogika) to tylko jeden z dodatków jej wszechstronnego przygotowania do zawodu. Nie pojawiła się już na FPP w Opolu, podczas gdy była tam przez kilka lat pierwszą wśród gwiazd i zebrała wszystkie główne nagrody. Tutinas „przeniesiono" do Kołobrzegu („Złoty Pierścień-75") — zeszła do „drugiego garnituru" polskich piosenkarzy, nie z własnej woli i winy.

— Zaczynała pani studia wokalne z myślą o poświęceniu się wokalistyce operowej?

— *Tak, ale do opery zniechęciły mnie libretta. W swoich piosenkach zwracam uwagę na tekst, w którym musi być jakiś problem, w operze tego nie znajdowałam. Twierdzę, że nie można pogodzić piosenkarstwa z wokalistyką operową z uwagi na różne techniki śpiewania.*

Teresa Tutinas sama borykała się z życiem zawodowym i prywatnym, była coraz bardziej zapomniana ale nigdy nie wychodziła z propozycją od siebie znała swoją wartość miejsce należne na piosenkarskim parnasie. I słusznie, bo była nieprzeciętną artystką.

Oglądałam jej koncerty w Łodzi, śpiewała w domach kultury i kawiarniach, dawała czasami półrecital, innym razem recital piosenek. Potrafiła hipnotyzować na maleńkiej estradce, bez dekoracji przy brudnych kotarach. Żal, wielki żal ogarnia, gdy myśli się o niewykorzystaniu takiego talentu w Polsce. I może dlatego, Teresa Tutinas bez żalu wyjechała pewnego dnia na stały pobyt do Szwecji, gdzie od lat spędzała trzymiesięczne wakacje u męża-muzyka jazzowego pracującego stale w tym kraju. Nie śpiewa w Szwecji, choć znana jest nie tylko tam ale w Finlandii, Danii z wokalnych występów. Czy usłyszymy ją kiedykolwiek na polskich estradach?

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Noc saksofonów

(fragment powieści)

W Polsce o dwunastej w południe można robić wiele różnych rzeczy. Można na przykład harować w pocie czoła przy krosnach, ale można również pić wódkę na skwerku za fabryką, bo Polska jest krajem nieograniczonych swobód obywatelskich i nikt nikomu nie podskoczy. Można uczyć się sumiennie w szkole, ale można iść również na wagary do parku, w miłej, koedukacyjnej grupie. Można ziewać za biurkiem w urzędzie z miną człowieka, który przełknął przed chwilą łyżkę tranu, ale można również spędzić czas pracy wesoło i pożytecznie, w kolejce po mięso chociażby lub przy kawiarnianym stoliku.

Na ulicach wielkich miast w Polsce o dwunastej w południe panuje taki ruch kołowy i pieszy, jakby syreny obwieściły właśnie fajerant, albo jakby zaczął się weekend, atmosfera zaś, bez względu na porę roku, dzień tygodnia i ciągłe kłopoty z zaopatrzeniem, jest ożywiona i przyjemna jak w nadchodzące Święta Wielkiej Nocy.

O dwunastej w południe w Łodzi, która jak wiemy, słynie nie tylko z dziarskich piłkarzy i doskonałych wyrobów włókienniczych, ale również z krzepkiego środowiska humanistycznego, pani doktor Rosołowska, ekspert od dekadenckiej fazy baroku, czterdziestoletnia bez groszy panienka o twarzyczce tak młodzieńczej, że po ciemku mógłby się pomylić nawet ksiądz — ów niewieści cud natury i triumfu ducha nad materią przemierzał korytarz Biblioteki Uniwersyteckiej, pierwsze piętro, a jakże, posadzka, od gabinetu profesora Paszyńskiego począwszy aż do drzwi gabinetu docenta Millera.

Rosołowska była ulubienicą Paszyńskiego i Kulczyńskiego. Panowie ci darzyli Millera serdeczną pogardą, która promieniowała na cały jego personel, miłość jednakże nie zna granic i Rosołowska flirtowała po cichu z prawą ręką Millera, adiunktem Porajdą, który miał, nawiasem mówiąc, żonę i troje dzieci.

Spotkawszy się w załomie korytarza i wymieniwszy za pośrednictwem rąk dyskretną pieszczotę, zwiastującą w najbliższej przyszłości kolejny letni orgazm w letniej temperaturze, kochankowie z Lumumby przystąpili do kwestii zasadniczej.

— Przyszedł? — zapytał Porajda.

— Nie przyszedł — odpowiedziała Rosołowska.

— Może jeszcze przyjdzie?

— Nie przyjdzie.

Adiunkt zatarł ręce, o ile w ogóle można zatrzeć ręce, które pocą się jak u Murzyna w tropiku.

— Wyobrażam sobie triumf Millera!

— Nie sypnij mnie tylko, kotku.

— Skąd! — oburzył się Porajda. — Ale jutro, jak przyjdzie do nas, szepnij parę słów tym dwóm starym pierdołom, żeby im zepsuć krew. Wiesz, trąć sprawę tak od niechcenia, mimochodem.

— Jasne, że to zrobię, jednakowoż... myślisz, że on do was przyjdzie? — powątpiewała Rosołowska.

— Murowane — przytaknął z mocą Porajda. — Z tego, co wiem, ma u Millera promienne perspektywy.

Tego samego dnia, o dwunastej w południe w Warszawie, człowiek, który miał u Millera promienne perspektywy, stał z saksofonem za kulisami Małej Sali Filharmonii Narodowej, podczas gdy Grubas załatwiał na stronie interesy z urzędnikiem.

Urzędnik przyjął od Grubasa pokaźną kopertę z napisem LOS DESPERADOS, co było w życiu tego miłego, życzliwego artystom człowieka wydarzeniem prawie tak doniosłym, jak fakt o historycznym bez mała znaczeniu: otóż... prawa, uśmiechnięta część twarzy prezydenta Jacksona połączyła się w urzędniczej kieszeni z lewą, ponurą i groźną połówką, dzięki czemu ekscelencja odzyskał swój normalny wygląd i pogodniej spojrzał w przyszłość swojego narodu.

— Wystąpicie w trzeciej kolejności — powiedział urzędnik, wbijając zaciekawione, nasycone myśleniem spojrzenie w butelkę Johnnie Walkera, którą Grubas dzierżył pod pachą. — A to dla kogo?

— Zobaczymy.

— Aha.

Odpowiedź zadowalała urzędnika. W ogóle ten otyły, rezolutny łodzianin sprawiał na nim coraz lepsze wrażenie. Solidny gość. Nie ma to tamto!

Na estradzie kończyła tymczasem popis grupa „Vistula Stompers". Owi czterdziestoletni, nad wyraz pewni siebie młodzieńcy, uprawiali kiedyś z wątpliwym skutkiem muzykę dixielandową, teraz natomiast wygrywali jakieś straszliwie zatrącające folklorem warszawskim koszmarki w słusznym przeświadczeniu, że na dłuższą metę ambicja nie popłaca.

Czyjś ochrypły, niebywale przecież donośny głos zawrzasnął:

— Na róg z nimi!

— Do Stodoły! — zawtórował inny żartowniś.

Siedzący na widowni agenci o lnianych włosach i bladych, choć bezsprzecznie dobrze odżywionych, skandynawskich twarzach dzielili się uwagami, oglądali fotosy, pisali coś w swoich wytwornych, oprawionych w skórę notesikach.

Dżentelmen z Pagartu, którego policzek zdobiła nawisła, szalenie podobna do truskawki brodawka, zaanonsował występ kolejnej grupy:

— Gedania Boys!

— Szmaciarze! — huknął znany nam, ochrypły głos, wyćwiczony napewne i zdarty na stadionach piłkarskich drugiej ligi.

Wśród licznej rzeszy klezmerów — stojących, siedzących, kręcących się nerwowo tam i z powrotem — panowało duże ożywienie: szepty, pokątne narady, tajemne gesty, przymilne uśmiechy. Najwyraźniej toczyła się między nimi jakaś zaciekła, podskórna walka. Sępie oko detektywa na pewno zdołałoby zarejestrować kilka sabotażowych incydentów. No bo, patrzcie!... Klarnecista z „Vistula Stempers" wrócił na scenę, przykucnął udając, że szuka czegoś na podłodze i wyrwał pod osłoną własnych pleców kabel z konkurencyjnego wzmacniacza. Inny, odwrócony tyłem do widowni muzyk, zbierał pracowicie ślinę i pluł raz po raz w mikrofon. Żul o upstrzonych trądzikiem policzkach przeciął sekatorami komplet strun w porzuconej na moment gitarze. A oto dwóch gaworzących przyjaźnie artystów: jeden trzyma w ręku firmowy, obłożony masą perłową kocioł, drugi zaś, uśmiechnięty serdecznie, wciska w błonę tego pożytecznego instrumentu żarzący się niedopałek papierosa.

— Dziura!

Nieśmiały z natury Kamas dygotał z oburzenia. Jakiś głos wewnętrzny nakazał mu krzyknąć:

— Tak nie można, panowie!

Ale nikt go nie słyszał. „Gedania Boys", sekstet cinkciarzy z Wybrzeża kojarzący się momentalnie z trupą kabaretowych prześmiewców, przystąpił do dzieła. I nie zawiódł, jeśli rozpatrzyć sprawę w kategoriach teatralnych. Ledwie zagrali dwa takty patriotycznego utworu: „krętą ścieżką poprzez las", mikrofon zaczął rzęzić, zachrobotały kolumny głośnikowe, na domiar złego wysiadło coś we wzmacniaczu — trzask, błysk, krótkie spięcie.

Na scenę wbiegło pogotowie elektryczne. Widownia, nie wykluczając Szwedów, rechotała z takim udawalstwem, jakby gdzieś ponad głowami muzyków, na niewidocznym ekranie, odbywała się w szalonym tempie projekcja komedii filmowej z Kobuszewskim i Kociniakiem. Pogotowie usunęło wprawdzie usterki i „Gedania" podjęła działalność rozrywkową, brakło w tym jednak ducha, „kręta ścieżka" wypadła dość anemicznie, głos znajomy, ochrypły, wyćwiczony na drugoligowych stadionach, zawył ochoczo:

— Żytem! Żytem lećta, chłopaki, a nie kręta ścieżką!

Wywołało to nową falę wesołości, której uległ nawet skacowany Kamas. Rechotał na pograniczu histerii i łez. Tymczasem do siedzącej obok Szwedów Silwany podeszło trzech wysokich, poważnie ubranych osobników i wszczęło z nią pełną galanterii konwersację.

Grubas, który miał na wszystko oko, czy to były instrumenty na scenie, czy widownia, trącił w bok organistę:

— Neskim, kaperownicy!

Olbrzym zareagował natychmiast. Podskoczył do dziewczyny i wymiótł ją z zacnego grona dłonią o rozmiarach łopaty.

— Chodź, żarasz gramy, Szylwana! — powiedział tonem zakochanym niby i czułym, lecz tak srogim jednocześnie, iż nie mogło być mowy o żadnych protestach. — Żarasz gramy szłowiczku najdroższy. Ża szekundkę gramy.

Muzykujący cinkciarze z Gdyni opuszczali estradę w nastrojach ponurych, nie wierząc zapewne, iż dostąpią godności reprezentowania szczytowych osiągnięć polskiej kultury i sztuki na Zachodzie. Gitarzysta basowy człapał ze spuszczoną głową przeliczając utracone korony na dolce. Ruchliwy, łykowaty perkusista stanął przed szpakowatym panem o posturze szefa resortu i demonstrując kocioł z wypaloną dziurą, zaszlochał:

— Pan dyrektor zobaczy. Regularny bandytyzm!

— Łódzki zespół wokalno-muzyczny LOS DESPERADOS! — obwieścił dżentelmen z nawisłą u policzka truskawką.

Stremowany Kamas tkwił przed mikrofonem na nieswoich, drżących nogach. Przewidywał kompletną i nieuchronną katastrofę. Wyszydzą ich zaraz, a on bardzo bał się szyderstwa. Jeszcze jako pracownik naukowy, kiedy przychodziło mu stanąć twarzą w twarz z trzydziestoosobową grupą studentów, przeżywał za każdym razem ogromny strach, że skontruje go nagle jakiś inteligentny chłopak albo przemądrzała, przepadająca za błyskotliwą dyskusją, dziewczyna. Kto wie, czy nie było to głównym powodem wycofania się z uniwersytetu. Łatwiej artykułował dźwięki niż słowa. Na scenie, w otoczeniu dobrych muzyków, szybko nabierał odwagi. Wyłączał się wtedy. Zamykał oczy i grał dla siebie. Ale grał jazz — staroświecki, niemodny swing, który czuł każdym nerwem, każdą komórką serca i duszy, tu zaś, o Jezu!, w tej obcej, filharmonicznej sali, pośród nieznanych i wrogich klezmerów, gotowych dla paszportu poświęcić własne rodziny, tu miał grać muzykę, której nie lubił i której nie nauczył się jeszcze do końca.

Był więc stremowany. Chwilami ulegał wrażeniu, że zaraz zmuszą go, aby wygłosił wykład na temat struktur skandynawskiego dramatopisarstwa ze szczególnym uwzględnieniem strindbergowskiego konfliktu płci.

Widownia, ta polska i ta skandynawska, nie czekała jednak na wykład. Widownia czekała na muzykę. Zdarty głos kibica piłkarskiego ryknął:

— Widzew, do boju!

Igor przypomniał sobie, że to on właśnie jest na scenie kierownikiem grupy. Usłyszał podszept Grubego:

— Samba!

— Testamento de Partidero? — zapytał.

— Nie. Calangojongo. I uśmiech, panowie! Wszyscy!

Kamas wystukał podeszwą tempo i zaczęli grać, przy czym robili to w głównej mierze na własnych, przywiezionych z Łodzi instrumentach. No i tuż przed występem skrupulatnie sprawdzili aparaturę, w związku z czym nie było żadnych przykrych niespodzianek technicznych, samba brzmiała czysto i dźwięcznie. Jeden — zero.

Ich stroje, dzięki gustowi Silwany, również mogły się podobać. Ciemne spodnie, czarne buty i cztery różnokolorowe koszule. Dziewczyna przywdziała krótką, nabijaną stalowymi ćwiekami bluzę, spod której wysuwały się zuchwale wspaniałe, rozłożyste biodra i

Rys. Janusz Szymański-Glanc

sensacyjna doprawdy para nóg — nie dziewczęcych bynajmniej, ledwie przykrytych minispódniczką z kaszmirowego welwetu. Obcięte na szczotkę włosy tuszowała czerwona, przepasana wokół głowy chustka.

Dwa — zero.

Po sambie wykonali wolną, jazzową modlitwę miłosną. Igor śpiewał z Silwaną na głosy:

Love me tender, Love me true,
Never let me go!

— Gaz! — syknął Gruby, wyczuwając, że wszystko idzie doskonale i przyda się teraz maleńka zmiana nastroju, a także demonstracja biegłości i nie wyczerpanej wszechstronności instrumentalnej poszczególnych solistów. Zagrali więc i zaśpiewali chóralnie prosty rock z repertuaru Billa Haleya., Kamas chwytał kolejno za saksofon altowy, klarnet i gitarę basową, Andrzej zmieniał gitarę prowadzącą na trąbkę, organista podskoczył w pewnej chwili do fortepianu, zabasował rytmicznie, po czym wykonał również dwie pełne frazy na harmonijce ustnej z wibratorem, Grubas porzucił perkusję i tłukł obiema pięściami w afrykańskie kongi z miną tak namaszczoną, że tu i ówdzie rozległy się brawa i sympatyczne chichoty, co z kolei zdopingowało organistę do przedstawienia publice własnych talentów aktorskich — napuczył policzki, wywinął wargi i błysnął białkami oczu niczym Murzyn omdlewający z rozkoszy w szale bluesa. Dziewczyna też robiła swoje — nie ograniczając się do twórczości wokalnej, uderzała pałeczką w trangiel, wymachiwała marakasami, kręciła rozłożystą pupką i potrząsała do taktu bujnym biustem jak Brazylijka w karnawałowym pochodzie na przedmieściach Rio de Janeiro.

Nikt z członków łódzkiego zespołu nie marzył nawet o takim sukcesie. Goście skandynawscy kiwali głowami z głębokim uznaniem. Któryś domagał się bisów, nie wiedząc o tym, że repertuar LOS DESPERADOS został całkowicie i nieodwołalnie wyczerpany. Mogliby oczywiście zagrać jeszcze od biedy kilka niedopracowanych kawałków. Grubas był jednak za mądry, aby na to pozwolić. Wykrzywiając usta w promiennym uśmiechu, warczał cicho:

— Schodzimy, panowie. Żadnych bisów!

No i zeszli z estrady niby grupa absolutnych arcymistrzów, rozkapryszonych do tego stopnia, że ani im w głowie spełniać czyjekolwiek zachcianki — pokazaliśmy już, co umiemy, chcecie, to nas bierzcie, a nie, to wezmą was inni; bez łaski!

Kamas natknął się na wyciągniętą sztywno rękę szpakowatego dyrektora. Jegomość ów przedstawił lakonicznie swoją bezcenną opinię:

— Serdeczne gratulacje. Bardzo dobry poziom.

Grubas rozmawiał w kuluarach z urzędnikiem, który wykrzykiwał z miną surowego, lecz kochającego taty:

— Proszę mi natychmiast załatwiać formalności paszportowe. Natychmiast!

I wyciągnął spod pachy Grubego butelkę Johnnie Walkera.

Nie zważając na szalejącą w tym złodziejskim lokalu drożyznę, LOS DESPERADOS rozsiadł się na zapleczu restauracji Polonia: dwie półlitrówki, pięć szaszłyków, piwo żywieckie w wysokich szklankach z delikatnego szkła i bliźniacze, nieco mniejsze kieliszki.

Andrzej Płyta, trębacz uniwersalny, wzniósł do góry swój oszroniony kieliszek.

— Za wyjazd! — powiedział. — No, Igor, figura szósta, bierzemy w usta.

— Za wyjazd! — Kamas wypił bez mrugnięcia powieką porcję, która mogłaby wstrząsnąć wrażliwym sumieniem Furmana. — I za jazz!

— Już ty się nie martw, Igor. Będziesz grał swój jazz i to lepiej niż w Polsce. Szwedzi cholernie lubią jazz.

— Ale nie w knajpach.

— W knajpach, Igor. Właśnie w knajpach. Nie mówiąc o tym, że jest tam cała masa polskich jazzmanów, Piotrek Kott, Kajtek Wojciechowski, Włodek Gulgowski, Leszek Dudziak. Możemy spotkać się z nimi na koncertach, na jamach, zobaczysz, wygrasz się za całe życie.

Kamas unosił się na falach szczęścia — wysoko, aż do samych, niebotycznych chmur. Gdzie mu tam praca doktorska! Zresztą... może pisać ją w Szwecji na marginesach wolnego czasu. Przykołuje do Polski jakąś niedużą, japońską torpedę, mazdę chociażby lub hondę, otworzy bagażnik pod bramą kamienicy przy ulicy Jaracza, wszystkie wścibskie plotkary w oknach, żona z córką na dole, a on zacznie wyciągać powoli ze środka klarnet, saksofon, gitarę, nowiutki, pozłacany sopran Selmera, zabawki dla dziecka, futerko dla Ewy, w końcu zaś ciśnie niedbale na chodnik pękatą teczkę papieru i powie: — A to jest moja rozprawa doktorska, przypuszczam, że nie najgorsza...

Przymknął oczy i poddawał się marzeniom. Oto gra na złocistym saksofonie w jakimś nieznanym lokalu. Ma dobry dzień, improwizacja sama układa się pod palcami, instrument brzmi, jakby dotknęły go przelotnie wargi Boga, wysoka, wstrząsająca, chwilami również liryczna i czuła skarga sopranu sprawia, że ludzie na parkiecie przestają tańczyć, a kobiety, ich rozszerzone źrenice...

Silwana potrąciła go niechcący. Wstawała po prostu od stolika i jej wybujałe, krzepkie biodro musnęło policzek Igora. Oświadczyła pogodnie:

— Idę się przejść.

Grubas mrugnął na organistę, ten dopił wódkę i wstał niechętnie:

— Żaczekaj. Idę z tobą.

— O czwartej na dworcu! — krzyknął za nimi Grubas.

Andrzej pocierał opuszkami palców wysokie, tysiącjo już z lekka czoło. I nagle, jakoś tak dziwnie, zapytał:

— Powiedzcie, panowie, czy wy naprawdę chcecie jechać?

Igor milczał. Grubas, który nie kończył studiów, ale nieźle znał kaprysy natury ludzkiej, omiótł językiem wargi z resztek jedzenia i powiedział:

— Wczoraj chciałem, dzisiaj nie chcę, jutro, jak się coś popsuje, znowu będę chciał.

W tej wycieczce po stolicy nie organista był przewodnikiem, lecz Silwana. Kiedy odwiedzili już pod dyktando dziewczyny wszystkie sklepiki prywatne i komisy na Chmielnej, olbrzym był bogatszy o radziecką zapalniczkę gazową, niebezpiecznie podobną do wyrobów pana Ronsona, Silwana zaś napoiła jedynie swoje oczy i zaludniła wyobraźnię cudami, które leżały w zasięgu ręki na wystawach owej kramarskiej dzielnicy. Na dobitkę, zgubiła gdzieś kolczyk z lewego ucha, zjednujący jej dotąd popularność wśród punków i przynoszący niewątpliwie szczęście w działalności artystycznej u boku zespołu PARLAMENT.

Była wściekła swoją zapiekłą osiemnastoletnią wściekłością. Nie cieszyły jej pełne szczerego podziwu, penetrujące spojrzenia starych lowelasów, ani wypowiadane głośno uwagi, odnoszące się w formie pozbawionej wszelkiej pruderii do jej apetycznej pupki i sensacyjnych nóg.

— Ej! — powiedziała, kiedy przecięli Nowy Świat i weszli w mroczny, spokojny kanion ulicy Foksal. — Pić mi się chce.

— Mnie też — odrzekł układnie organista. Szanował grosz, nie był na tyle głupi, aby inwestować w dziewczynę, z którą spędził dopiero jedną, skądinąd pracowitą, noc: żadnych tam sweterków, bucików, akurat! ale żeby miał żałować szłowiczkowi czegoś do przepłukania usteczek, nie! takim draniem, to on nie będzie.

— Dwie butelki pepsi-coli! — zaordynował, kiedy spoczęli już w kąciku sławnej, aczkolwiek całkowicie im nieznanej restauracji „Kameralna".

Kelner otaksował gości krótkim błyskiem źrenicy i w ciągu jednej, krótkiej chwili podjął wstrząsająco słuszną decyzję: wsiok, ale wsiok, z którym lepiej nie zaczynać, bo nim trafi na mentownię, zapłacze krwawo kilku kelnerów i kilku milicjantów, a lokal trzeba będzie oddać do generalnego remontu.

— Nie ma pepsi — oświadczył z uprzejmym skłonem tułowia. — Pan zechce łaskawie zwrócić uwagę, że Warszawa jest strefą coci.

— Więc daj pan cocę.

— To wszystko?

— I pół litra — powiedziała Silwana.

Organista zwrócił na nią swoje siwe, szczere, ludowe oczy i zamierzał właśnie krzyknąć — żwariowałaś?! — ale kelner, mistrz w swoim trudnym fachu, wyczuł to słowo i odszedł, nim olbrzym zdołał je wyartykułować. Już po chwili rozstawiał na czystym mniej więcej obrusie cocę, wódkę, a także liczne noże, łyżki i widelce.

— Czym zakąsimy? — beknął z familiarną zaiste serdecznością.

— Niczym! — odpalił organista, którego cierpliwość była już na wykończeniu. — Jeszteśmy po obiedzie!

— Więc może jakiś deserek? Melba?

— O, tak! Fajnie! Melba! — zaświergoliło dziewczę. — Dwie melby.

— Nie chcę żadnej melby! — zdenerwował się organista. Ale Silwana pocieszyła go natychmiast:

— Nie bój się, Stefuś, ja zjem dwie.

— Nooo, jak ty zjesz dwie, to proszę bardzo — rzekł posępnie Stefuś, przy czym zacisnął pięść z taką siłą, że mu zbielały kostki. Dziewczyna nie odznaczała się jakąś nadzwyczajną wyobraźnią, ale kelner poczuł nagle sugestywny, antyseptyczny odór przyszpitalnej przechowalni zwłok. Odchodząc pośpiesznie, dumał co będzie lepsze: Podać tę melbę, czy też puścić zamówienie w niepamięć.

Olbrzym wchłonął w siebie pokaźny kieliszek z meniskiem wypukłym. Sprawdził czas. Pół do trzeciej. Sięgnął po radziecką zapalniczkę i kontemplował z chmurną satysfakcją jej przyjemne, ronsonowskie kształty. Wetknął papierosa w ciup, skrzesał ognia, zaciągnął się do samych trzewi i nagle opromienił zniewalającym uśmiechem cały ten przecherny, diabła wart lokal.

— Jeszt dobrze, Szilwana — stwierdził. — Ja ci mówię, że jeszt dobrze. Kupisz szmatki, otrzaskasz się w wielkim świecie

— Pij, Stefuś, pij! — popędzała dziewczyna. — Cyk!

— Czyk!

Fragment powieści przygotowywanej do druku w Łódzkim Oddziale Krajowej Agencji Wydawniczej.

JACEK SAWASZKIEWICZ

Kronika Akaszy tom IV Powtórka z Apokalipsy

(fragment powieści)

Rys. Janusz Szymański-Glanc

4.

Tam, na tym posiedzeniu redakcyjnego kolegium, Douglas Johnston przeżywał urocze halucynacje. Razem z Jane spędzał właśnie urlop na wyspie Watling w archipelagu Bahama. Wynajmowali apartament na najwyższym piętrze luksusowego hotelu. Drzwi na taras były otwarte i do salonu dochodził odległy i przytłumiony łoskot fal rozbijających się o rafę koralową. Napływało ciepłe, orzeźwiające powietrze, w tle rozlegały się słodkie dźwięki harfy. Jane siedziała na stylizowanej kanapce, między palmą a kopią Afrodyty z Knidos, opierając lewą stopę na prawym kolanie. Była w kostiumie bikini, jej włosy zdobił wianek upleciony z płomiennych hiacyntów wodnych. Na opalonych gładkich udach trzymała szkicownik.

Douglas Johnston pozował. Leżał na grubym jak materac aubussonie, mając pod stopami i pod głową atłasowe poduszki i popijając z kryształowego pucharu różowy szampan. Jane raz po raz podnosiła znad szkicownika wzrok i posyłała mu tkliwe, uległe spojrzenia. Pod ich wpływem Douglas Johnston czuł, że wzbiera w nim to, co teksańscy hodowcy bydła rozumieją pod słowem „machismo". Najpierw pojawiło się mrowienie w czubkach palców rąk i nóg, potem jego ciało przeniknęły tajemnicze prądy. Niosły one nieznane potencjały bioelektryczne, które kumulowały się gdzieś w okolicach lędźwi, tworząc tam źródło energii. Douglas Johnston odnosił wrażenie, że energia ta pulsuje w nim, narasta i gwałtownie szuka ujścia, i kiedy jej nadmiar na chwilę go zamroczył, z gardła wyrwał mu się prehistoryczny zew.

Jane odłożyła szkicownik i podniosła się z kanapki. Nie odrywając uległego wzroku od Douglasa Johnstona zręcznie uwolniła się ze stanika. Następnie dotknęła zapięcia opinających ją majteczek i majteczki zwiotczały na jej biodrach, po czym opadły o cal w dół, aż do linii włosów. Całkowite ich zdjęcie należało już nie do niej.

Douglas Johnston także się podniósł. Był nagi. Stanął przed Jane rozpierany energią, wyprostowany, napięty i sztywny. Jedną rękę wsunął dziewczynie za majtki, drugą zacisnął na jej piersi. Jane westchnęła. Zamknęła oczy i omdlała, zatoczyła się w miejscu. Douglas Johnston nie zrobił nic, żeby ją pochwycić, pozwolił jej upaść na kanarkowy aubusson. Jakiś czas patrzył, jak Jane wije się u jego stóp i jęczy z pożądania, potem postawił nogę na jej brzuchu i grzmocąc pięściami swoją owłosioną klatkę piersiową wydał z siebie donośny, triumfalny ryk.

5.

Kiedy redaktor naczelny ryknął, Dan Martin przerwał w połowie zdania i spytał:

— Chciałeś coś powiedzieć, Dog?

Douglas Johnston rzucił ukradkowe spojrzenie na Jane siedzącą pod wiechowatą palmą, z notatnikiem na rozchylonych udach i z obojętnym wyrazem twarzy, i odparł, że nie. Powiedział też, żeby Dan dopuścił wreszcie do głosu pozostałych.

— Jeżeli chodzi o „Eksplodujący element kampanii wyborczej" — dodał — to uważam ten temat za wyczerpany.

Clemens Cohen ostentacyjnie odepchnął od siebie odbitki szczotkowe kontrowersyjnego artykułu i wzruszył ramionami.

— W porządku, Clem — powiedział do niego Steve McCormack z drugiego końca sali — Jane mogła trafić w dziesiątkę. Ballen ma w repertuarze takie chwyty.

— Senator Ballen? Czy o nim mówisz, Steve? — upewnił się Clemens Cohen.

— Przecież wiesz, Clem. O nikim innym tu nie mówimy.

— Więc senator Ballen ma w repertuarze jakie chwyty, co?

— Improwizuje bez opamiętania.

Clemens Cohen rozejrzał się dokoła, jakby powoływał wszystkich na świadków tej czarnej niesprawiedliwości.

— Czy to zarzut? — spytał.

— Nie przebiera w środkach — odpowiedział Steve McCormack.

— Jezu Chryste, to nie jest gra w łapki! — zawołał Clemens Cohen. — To jest walka przedwyborcza, człowieku!

9.

Znudzona dotąd Jane zdjęła stopę z kolana. Marszcząc brwi i spoglądając to na Steve'a McCormacka to na Clemensa Cohena, wyprostowała plecy. Jej biust płynnie poddał się temu ruchowi.

Douglas Johnston w swojej wyobraźni wpełzał już na duże, barokowe, opalone i jędrne, ciepłe ciało Jane. Leżał brzuchem na jej nodze i wyciągał szyję, by dotknąć językiem nabrzmiałej brodawki kołysanej przyśpieszonym, płytkim oddechem. Ten nagły ruch dziewczyny sprawił, że pierś umknęła mu sprzed warg i Douglas Johnston bezsilnie zakłapał zębami.

10.

Wkrótce po posiedzeniu kolegium redakcyjnego Jane Biorne znalazła się w gabinecie Douglasa Johnstona. Douglas Johnston zapowiedział w sekretariacie, że nie będzie osiągalny dla nikogo przez resztę dnia, przekręcił klucz w zamku, wytrzeszczył bladoniebieskie, okrągłe oczy na biust Jane i głośno przełknął ślinę.

— Dotrzymałem obietnicy, moja boska, no nie? — powiedział. — „Eksplodujący element kampanii wyborczej" idzie do druku, widziałaś szczotki. I żaden Cohen nie ma tu nic do gadania. Niech się modli do Boga, żebym go stąd nie wydupczył. Ta redakcja nie jest jakimś cholernym przytułkiem dla jakichś cholernych partyjniaków. Nawet jeśli ich popiera cholerny Jonathan Phelps.

Jane milczała. Dla niej ta rozmowa była wstępną potyczką. Jane chciała rozegrać ją z korzyścią dla siebie.

— Teraz twój ruch — powiedział Douglas Johnston.

Jane podała pierś do przodu i zahaczyła kciuki o błękitny pasek szortów, przyjmując pozę niemal wyzywającą.

— Pamiętasz — mówił dalej Douglas Johnston — naszą umowę? Publikujemy twój artykuł i idziemy do „Montany" na kolację. To uroczy lokal, pamiętasz?

— A jakże. Można tam dobrze zjeść i nie wstając od stołu kopulować przy dyskretnej muzyce, na wygodnej kozetce.

— Pamiętasz?

— Oczywiście. Od tamtego czasu nie mogę zasnąć. Och, Dog, kiedy wreszcie znowu mnie zerżniesz?

— Jestem gotów. Nie musimy tego ciężaru dźwigać do „Montany". Po co z tym zwlekać? Mam tutaj zapas Grand Marnier.

— Darujmy sobie te ceregiele. Bierz się od razu do rzeczy, Dog.

— Podoba mi się to. To, że walisz expressis verbis.

— Mnie się u ciebie także to podoba.

Douglas Johnston rozpiął spodnie.

— No, ja niczego nie ukrywam — powiedział.

— A jakże — odpowiedziała Jane, wpatrując się w jego rozporek. — Ślepy by to zobaczył.

— He, he, he. Jane, wiesz co? Wymagluję cię tak, że rozum postradasz.

— Napalam się na to jak cholera.

Redaktor naczelny usiadł na tapczanie. Zaczął rozsznurowywać buty.

— Do wieczora — poprzysiągł — będziesz chodzić po tym gabinecie na czworaka.

— Daj Boże — ucieszyła się Jane. — Możesz liczyć na rewanż.

— O co chodzi, moja boska? — Douglas Johnston rozluźnił węzeł krawatu. — Znamy się jak łyse konie, więc wiem, że nie chodzi ci o łóżko. O co ci chodzi, Jane?

— O zaliczkę. Chcę lecieć do pewnej miejscowości w Sierra Nevada. Chcę porozmawiać z tym Frizem i jego ludźmi. Chcę napisać artykuł o kryminalnych chwytach propagandowych stosowanych przez Ballena.

— Chcesz mu znowu dopieprzyć?

— Tak.

— Myślisz, że go wykończysz paroma tekstami w prowincjonalnym tygodniku? Prędzej wykończysz mnie.

Jane przeciągnęła się lubieżnie. Wsunęła rękę pod szorty.

— Decyduj się, Dog. Albo termofor zabiorę na tę noc do łóżka, albo ciebie. I dam ci taki wycisk, że przez tydzień będziesz robił sobie zimne okłady. Decyduj się.

— Już zadecydowałem — powiedział Douglas Johnston. — Możemy zaczynać natychmiast.

13.

Dan Martin wygłaszając swoją opinię o Jane Biorne dał się zwieść pozorom. Jak każda wrażliwa duszyczka spragniona ckliwych wzruszeń, zapamiętał on z „Inicjacji" jedynie te fragmenty, w których Jane przy opisie własnych przeżyć popadała w sentymentalizm.

Zresztą nie ma znaczenia, czy Jane była wzorem amerykańskiej etyki, czy też europejskiego bezeceństwa, łajdactwa i wyuzdania. Przyjmijmy, że wtedy, po posiedzeniu kolegium, dała Douglasowi Johnstonowi obiecany wycisk zgodnie z kosmopolitycznym pragmatyzmem. Miało to miejsce na gabinetowym tapczanie, na podłodze, w kącie pod barkiem i ponownie na tapczanie, gdzie Douglas Johnston padł po ostatnim sztosie wycieńczony i leżał na wznak zlany potem i obolały, szlochając i dysząc, podczas gdy Jane znów go dosiadła, szarpała i bodła, żeby pobudzić go do dalszej jazdy. Była to parodia sceny westernowej: ścigający porywaczy kowboj siedzi na koniu, który po parogodzinnym galopie przez prerię stanął na rozkraczonych kopytach, okryty pianą, i na ponaglenia jeźdźca odpowiada dygotem galaretowatych nóg i głuchym stękaniem.

14.

Douglas Johnston był zawojowany pragmatyzmem Jane. Ale jednocześnie czuł, że pod takim jeźdźcem nie ujedzie dalej bez solidnego odpoczynku. W związku z tym uznał, że dziewczyna powinna przesiąść się na nowocześniejszy środek transportu i wykupił dla niej bilet na samolot lecący do Sacramento. Oprócz biletu na ten lot Jane dostała ciepłą zaliczkę. Mogła więc obejrzeć zgliszcza miejscowości M. w Sierra Nevada, porozmawiać z Frizem i jego ludźmi pracującymi w „Emergency" i wrócić do Dutson z bogatym materiałem do artykułu o kryminalnych chwytach propagandowych stosowanych przez senatora Herolda Ballena.

15.

W domu czekała na nią Laura Thomas, jej kochanka, nadal piękna w otaczającej ją aureoli wschodniej urody — mimo że była matką dorosłej już córki. Nie mogła wyjechać po Jane na lotnisko, bo zatrzymały ją w mieście ważne sprawy. Kiedy przez okno zobaczyła, kto wysiada ze stojącej przed domem taksówki, otworzyła drzwi od mieszkania (mieszkanka — jak go nazywała), cofnęła się w głąb przedpokoju i oparła o ścianę, krzyżując ręce na wysokości bioder i kryjąc je pod połami indyjskiego szlafroka.

— Jane — powiedziała na widok wchodzącej dziewczyny. — Jane, moje dziecko, jak to dobrze, że przyjechałaś.

Dziwnie bezradnie wyglądała przez chwilę stojąc tak skulona w półmroku, z miną przepraszającą i pełną współczucia. Potem nagle uniosła głowę. Wzrok jej się wyostrzył i Laura Thomas popatrzyła w oczy dziewczyny z taką przenikliwością, jakby chciała zajrzeć jej w duszę.

— Och — szepnęła. Dłonią wysuniętą spod szlafroka uczyniła bezwiedny, nerwowy ruch. — Nie teraz. Nie teraz, na miłość boską!

— Co mówisz? — To pytanie zabrzmiało mi w uszach, jakby wydostało się z mojej własnej krtani.

Laura Thomas podeszła bliżej.

— Pośpieszyłaś się. To moja wina. Przepraszam.

— Co?

— Zjawiłaś się przedwcześnie — odpowiedziała Laura Thomas. — Każdego dnia i o każdej porze, byle nie teraz — ujęła dziewczynę za łokieć. — Rozumiesz?

Zrozumiałam, zanim obraz tego przedpokoju rozmazał się i zniknął. Tą dziewczyną byłam ja. To byłam ja w ciele Jane Biorne.

16.

Nigdy dotąd nie doświadczyłam czegoś takiego w preregrynacjach po moim hipnotycznym świecie. Kiedy Laura Thomas stojąc tuż przy mnie powiedziała: „Każdego dnia i o każdej porze, byle nie teraz", odniosłam wrażenie, że moje ciało i w ogóle cały ten przedpokój odpływa gdzieś w bok. Z żywej, działającej postaci stałam się na powrót obserwatorką zawieszoną w przestrzeni — jak w trakcie poprzednich seansów hipnotycznych.

Laura Thomas, trzymając za łokieć moje ciało, które było ciałem Jane Biorne, znajdowała się ode mnie w pewnym oddaleniu i wszystko wokół mnie rozmywało się i znikało.

Z tego transu wyrwał mnie skurcz strachu.

24.

Był to ten sam przedpokój pogrążony w półmroku. Laura Thomas przed chwilą powiedziała: „Jane, moje dziecko, jak to dobrze, że przyjechałaś", teraz stała przy swojej przyjaciółce, ściskając jej łokieć.

Obie kobiety znajdowały się ode mnie w pewnym oddaleniu. Obserwowałam je ze swojego hipnotycznego zawieszenia w przestrzeni.

— Jane, Jane.

Jane patrzyła na Laurę w napięciu. Nie pytała o nic, milczała. Potrafiła porozumiewać się z nią bez słów i czuła, jak przenikają ją chaotyczne wibracje.

— Jane, muszę ci powiedzieć to od razu. Dopóki nie wpadłyśmy w tryby tych drobnomieszczańskich konwenansów. — Laurze zadrgały usta. — Twoja matka nie żyje, kochanie.

— Co mówisz?

— To był wypadek. Za miastem. Znaleźli ich przedwczoraj, dzisiaj dzwonili, żeby zabrać ciało. To był wypadek samochodowy.

— Co?

— Twoja matka zginęła w wypadku samochodowym, dziecino! Nie żyje.

— Nie żyje? Moja matka? Jak to, nie żyje? Czy ona się wściekła, czy co?

— Na miłość boską, Jane!

25.

Tego dnia Laura Thomas i Jane Biorne zjadły lunch w domu. Był to lunch kuriozalny: składał się z frytek na zimno, piwa i bourbonu.

— Nalegali, żeby zabrać ciało — tłumaczyła Laura. — Kazałam je przewieźć do Vessy.

Jane siedziała zacięta, w tępej zadumie.

— W żaden sposób nie mogłam się z tobą porozumieć — tłumaczyła dalej Laura. — Pomyślałam, że Vessa... A może lepszy byłby Dom Pogrzebowy „Inspirer"?

Nie bez wysiłku Jane skoncentrowała uwagę na tym, co się do niej mówi.

— Dla tej suki? — zapytała. — Tę sukę pochowamy na psim cmentarzu.

Potem wybuchnęła płaczem.

26.

Wieczorem zjadły kolację w hiszpańskiej restauracji „Entre". Zamówiły potrawkę z duszonego „cabrito", dwie porcje „empanadita" i „salsa picosa". Z win wybrały wytrawne amontillado.

— Jak to się stało? — zapytała Jane. Przy widmowym świetle ciężki makijaż dobrze tuszował bladość jej policzków i sińce pod oczyma: rezultat męczącej operacji reporterskiej w Sacramento i Sierra Nevada. — Gdzie? Tutaj, w Dutson?

— Za miastem.

— Była pijana.

— Nie.

— Była. Na pewno była pijana. Mogę to sobie wyobrazić. — Jane odłożyła widelec i oparła się ramieniem o wypalaną boazerię loży. — Wracała od jakichś Wesley'ów, Robsonów albo Levisów, którym truła o nędznych potrawach i służbie hotelowej w Australii... Bo ona niedawno była w Australii, wiesz? Piła za dużo, jakby mieli wprowadzić prohibicję. Zawsze dużo piła, kiedy miała słuchaczy. Nic jej nie było w stanie powstrzymać. Nabierała rozpędu i... Nawet znaki drogowe.

Jane zrobiła pauzę.

— Zaraz, Laureen — powiedziała. — Za miastem?

— Tak, moje dziecko — odpowiedziała Laura.

— To znaczy, gdzie?

— Pod Dutson. W Leśnym Parowie.

— Leśny Parów? Jest tu coś takiego?

— To dosyć odludny zakątek. Dawniej, kiedy jeszcze chodziłam z Betty w ciąży, Estlin Sloane założył tam swoją komunę hippisów. Została po nich kwatera zapadniętych grobów.

— I to było tam? W tym odludnym zakątku? Wypadek samochodowy? Co ona tam robiła? — Jane przygarbiła się. Spod zmarszczonych brwi spojrzała błagalnie na Laurę. — Och, Laureen, opowiedz mi wszystko dokładnie. Niczego nie ukrywaj.

Laura Thomas westchnęła. Nie patrząc na Jane obróciła w palcach nóżkę kieliszka.

— Prawdopodobnie wybrali się tam na przejażdżkę — powiedziała.

— Oni? Moja matka nie była sama?

— Była z mężczyzną.

— Naturalnie.

— Z synem Estlina Sloane'a.

— Z kim?

— Z Edvinem Sloane'em, synem tego przywódcy hippisów.

— Z synem tego... On ma syna?

— Miał. Obaj już nie żyją. Estlin Sloane zmarł dawno temu na gorączkę denga. Jego syn zginął z twoją matką.

— Tak.

Laura Thomas dopiła swoje wino i odstawiła kieliszek na pusty talerz, dając znak, że powinny już wracać.

— Jane, kochanie — powiedziała. — Jutro czeka nas pracowity dzień.

— Nie, Laureen, proszę. Więc ona była z tym młodym Sloane'em?

Laura potrząsnęła głową z przyganą dla własnej ustępliwości i odpowiedziała:

— Samochód zostawili w staryin, zarośniętym dukcie i zeszli trochę niżej, w stronę parowu. Może ten młody Sloane chciał twojej matce pokazać szczątki tych hippisowskich szałasów. Położyli się na trawie, tam, gdzie nagle się zatrzymali schodząc duktem w dół. Chyba nawet nie spojrzeli pod nogi. Pewnie nie wiedzieli, że leżą w poprzek kolein, które wyżłobił ich samochód. Takie ślady wywołują alarmujące skojarzenia.

Wciąż marszcząc brwi Jane spytała:

— Ktoś ich śledził?

— Śledził?

— W każdym razie ktoś jechał za nimi. Nie zauważył, że oni leżą na drodze...

— Nie, to był Ford tego Sloane'a — odpowiedziała Laura Thomas. — Oni, kochanie... nie zaciągnęli ręcznego hamulca i ten samochód stoczył się na nich, moje dziecko.

C. B. GILFORD

Przerażony

Paul Santin miał dobry dzień. Doktorzy i aptekarze w małych miasteczkach robili doskonałe interesy, a tym samym i on jako sprzedawca lekarstw. Ale ten dzień był długi, nużący i było już wpół do dwunastej. Jechał teraz szybko boczną drogą, chcąc przed północą dotrzeć do domu.

Zmęczony i senny, próbował jeszcze na następne pół godziny zachować przytomność. Ale nie drzemał. Całkowicie panował nad wozem. Dobrze wiedział, co robi.

Wyprzedził tylko parę samochodów. Droga przed nim wydawała się całkiem pusta. Dlatego ją wybrał. Z powodu małego ruchu. Taka właśnie była — prawie pusta — kiedy dostrzegł przed sobą samochód.

Najpierw ujrzał światła reflektorów wyłaniające się zza zakrętu o jakieś ćwierć mili dalej. Były oślepiająco jasne, a kierowca nie przełączył ich na światła mijania. Santin sklął go w duchu. Sam przełączył światła, ale tamten nie zareagował podobną uprzejmością. Zaklął więc znowu i złośliwie włączył światła szosowe. Nie wyczuwał żadnego konkretnego niebezpieczeństwa.

Podświadomie zdawał sobie sprawę, że ten z naprzeciwka na całym gazie pędzi wprost na niego. Za duża szybkość jak na taką drogę. Machinalnie odjął więc nogę od gazu i skupił całą uwagę na tym, by trzymać się swojej strony i nie patrzeć na zbliżające się światła.

Ale, kiedy się zorientował, że samochód jedzie środkiem drogi, było już za późno. Zbyt szybko musiał się zdecydować: czy zboczyć jeszcze bardziej na prawo, z całej siły naciskając na klakson w nadziei, że tamten skręci, czy też zjechać na pobocze i szukać ratunku w żwirze i błocie.

Wybrał to ostatnie, ale nie dość prędko. Dostrzegł, że ten drugi nie zamierza ustąpić nawet o cal; gwałtownie skręcił więc w prawo. Uderzył lewym tylnym błotnikiem i kołem. Tył wozu ześliznął się w stronę rowu i wykręcił do przodu. A potem cały wóz jakby sobie zakpił z siły ciężkości. Przekoziołkował i wyskoczył wysoko w powietrze, wyrzucając Santina daleko.

Santin ani nie zobaczył, ani nie usłyszał finału. Zderzenie własnego ciała ze zboczem wzgórza, niby z twardym murem, pochłonęło całą jego świadomość; potem obsunął się w dół pośród miniaturowej lawiny kamyków i błota. A później leżał bez ruchu i cały świat wokół niego też zastygł.

W pierwszym momencie nie odczuwał bólu. Upadek go oszołomił. Wiedział jednak, że żyje, że zachował świadomość. Słabo, jak przez mgłę, zdawał sobie sprawę, że ma połamane kości i że zaczyna krwawić.

Oślepiające światło zniknęło. Santin leżał na plecach w kępie chwastów. Nad nim były gwiazdy i jasny księżyc w pełni. Chyba bliżej niż kiedykolwiek przedtem. Może było to złudzenie optyczne, które po raz pierwszy podsunęło mu myśl, że umiera.

W owej chwili nawet go to nie martwiło. Przypomniał sobie swój lęk tuż przed zderzeniem, ale była to rzecz odległa, nierealna. Znów myśl o śmierci przemknęła mu przez głowę. Konający nie mają żadnych uczuć dla innych istot. Są całkowicie zajęci sobą.

A potem usłyszał głosy. Wznowiony kontakt ze światem. W tamtym wozie byli ludzie. Zastanawiał się nad nimi, spokojnie, bez gniewu, bez współczucia. Ale pilnie nadstawił ucha.

— Tu go nie ma — głos męski, trochę młodzieńczy.

Ich samochód też był uszkodzony. Stanął albo kierowca go zatrzymał, choć może nie musiał. Tak czy owak, ludzie z tamtego samochodu, obojętnie kim byli, cofnęli się do jego wozu i szukali go teraz.

Żeby mu udzielić pomocy? Santin instynktownie chciał zawołać, wskazać, gdzie leży? Egoistycznie zajęli cały środek drogi, lecz byli miłosierni, chcieli go ratować. Ale potem odezwał się w nim inny instynkt, przeciwny tamtemu. Czy naprawdę będą miłosierni? Nagle zląkł się ich. Nawet nie wiedział dlaczego. Przecież każdy chce ratować ofiarę wypadku. Czyżby ci nie chcieli?

— Musiał wylecieć jak z procy — odparł dziewczęcy głos. Przerażony.

— Też tak myślę. Co zrobimy? — znów ten sam męski głos. A więc było ich chyba tylko dwoje.

— Poszukamy go — powiedziała dziewczyna.

Chwila wahania i:

— Po co?

Znów wahanie.

— Nie chcesz wiedzieć, co się stało z nim... czy z nią?

— Nie wiem — męski głos drżał. — Nie wiem.

— Sądzę, że powinniśmy się rozejrzeć i poszukać.

— Dobrze... tylko, że jest ciemno.

— Chyba masz latarkę?

— Tak. Zaraz przyniosę.

Kroki na drodze. Chłopak idzie po latarkę do swojego samochodu i znów cisza.

Santin czekał pocąc się i drżąc ze strachu. Nie podobały mu się ich głosy. Ten chłopak i dziewczyna nie wyglądali na to, że się nim zajmą. Jeżeli umiera, to mu dużo nie pomogą.

Jeżeli umiera? Tego był pewny. Ból znów dał znać o sobie. Czuł go wszędzie: w twarzy, w piersi, w obu nogach. I jeszcze gdzieś w głębi siebie, dokąd nikt nie mógł się dostać, tylko lekarz. Ten ból właśnie nasuwał mu pewność, że umiera.

A więc jakież to miało znaczenie czy go znajdą, czy go nie znajdą przy pomocy tej latarki?

— No, mam już — głos chłopaka. — Gdzie szukamy?

— Chyba w rowie.

Szuranie nóg, chrzęst żwiru, szelest nóg, chrzęst żwiru, szelest trawy i rozsuwanych zarośli. Potem migotliwe światło przesuwające się to w przód, to w tył. Światło i kroki coraz bliższe. Znajdą go, z pewnością. Mógł przyśpieszyć ich poszukiwania, zawołać. Ale nie zawołał.

Czekał.

— Hej!

Światło padło na jego twarz. Sparaliżowany, nie mógł się do niego odwrócić. Szybkie kroki i — już byli przy nim: dwie sylwetki, stojące nad nim na tle nieba. I to światło wprost w oczy. Zamrugał — zdawali się nie rozumieć, że światło go razi.

— Żyje — powiedziała dziewczyna. — Ma oczy otwarte.

— Tak, widzę...

— Ale jest ranny — dziewczęca postać uklękła przy nim zasłoniwszy go litościwie od rażącego światła. W blasku księżyca mógł teraz ujrzeć jej twarz.

Była młoda, straszliwie młoda, miała najwyżej z szesnaście lat. I ładna, czarnowłosa, z cerą bladą, może nienormalnie bladą, z umalowanymi, odbijającymi od tej bladości, jaskrawoczerwonymi ustami. Ale ta twarz nie zdradzała wzruszenia. Może to szok. Jednakże gdy wzrok dziewczyny przesuwał się po jego ranach, nie było współczucia w jej oczach.

— Pan jest poważnie ranny, prawda? — zapytała.

— Tak... — odkrył, że może mówić bez większego trudu.

— Gdzie? Orientuje się pan?

— Chyba wszędzie. Zwłaszcza wewnątrz.

Zastanawiała się nad jego odpowiedzią. Jej następne pytanie wydawało się zimne, wykalkulowane:

— Myśli pan, że się pan wykaraska, jeżeli sprowadzimy pomoc?

Zastanawiał się; nie spieszył się z odpowiedzią. Ale mimo to zrobił błąd.

— Myślę, że umrę — odparł i zaraz gdy to powiedział, zrozumiał, że to był błąd.

Twarz dziewczyny zmieniła się jakoś dziwnie. Santin nie pojmował tej zmiany. Widział ją tylko. Dziewczyna odsunęła się od niego, wstała, podeszła do swego chłopca.

— Umiera — powiedziała. Jakby była tego tak pewna jak Santin.

— To nie ma po co szukać doktora, prawda? — zdawało się, że chłopak odetchnął z ulgą, jakby skończyła się już cała odpowiedzialność za ten wypadek.

— Chyba nie.

— No to co zrobimy?

— Nic. Po prostu zaczekamy. W końcu musi tędy przejechać jakiś samochód.

— To możemy wracać do miasta? — chłopak chyba całkowicie słuchał dziewczyny.

— Jasne. Możemy tu przysłać doktora lub kogoś innego. Ale ten facet pewnie już skona do tego czasu. A my będziemy musieli zgłosić się na policję.

— Na policję?

— No tak. Zabiłeś człowieka.

Znów zapadła cisza. Santin leżał u stóp tych dwóch ciemnych sylwetek i spoglądał na nie. Mówili o nim jakby już nie żył. Ale to go jakoś nie gniewało. Może dlatego, że sam siebie też uważał za martwego.

— Arlena... co oni mi zrobią?

— Kto? Policja?

— Tak... powiedziałaś, że zabiłem człowieka.

— Przecież zabiłeś, nie?

Chłopak zastanawiał się niepewny.

— Ale to był wypadek — rzekł wreszcie. — Wiesz, że to był wypadek. Tak się po prostu zdarzyło...

— Jasne.

Rozmawiali cicho, ale Santin słyszał każde słowo i czuł, że musi się jednak wtrącić.

— Każdy wypadek jest z czyjejś winy — rzekł.

Zaskoczyło ich to. Spojrzeli na siebie, a potem znów na niego.

— Co pan ma na myśli — zapytał chłopak po chwili.

Rys. Janusz Szymański-Glanc

— Że pan spowodował wypadek. To miałem na myśli — Santin wciąż nie był zły. Mówił tylko po to, żeby ustalić, kto zawinił.

— Dlaczego to ja spowodowałem wypadek?

— Przede wszystkim nie przełączył pan świateł...

— Pan też nie przełączył.

— Przełączyłem... z początku.

— Ale znów pan zapalił szosowe.

— Dopiero, kiedy pan nie zgasił swoich.

Chłopak znów umilkł na chwilę. Potem rzekł:

— Ale kiedy doszło do zderzenia, pańskie reflektory się paliły.

Santin musiał przyznać mu rację.

— Bo się zdenerwowałem — powiedział. — Ale to nie jest najważniejsze, pan jechał po mojej stronie drogi.

Chłopak odwrócił twarz ku dziewczynie.

— Arlena, czy byłem po jego stronie drogi?

Jakby zachichotała. A może to było tylko coś podobnego do chichotu.

— Skąd mogę wiedzieć. My...

Nie dokończyła, ale Santin domyślił się reszty. Migdalili się, czy jak to tam młodzi ludzie to dziś nazywają. Dlatego chłopak nie przełączył świateł. I dlatego też nie panował dobrze nad wozem. A teraz on, Santin, miało słono zapłacić za ich igraszki.

Rozgniewało go to w końcu. Był to dziwny rodzaj gniewu. Poza nim, wydzielony z niego. Bo teraz, na dalszą metę, nie miało to dla niego żadnego znaczenia. Przecież umierał.

Ale odczuwał też pewnego rodzaju satysfakcję. Mówił mściwie, z pewnością siebie.

— Jechał pan po złej stronie. A więc to pana wina.

Chłopak słuchał go, lecz nie spuszczał oczu z dziewczyny.

— Co oni mi zrobią? — zapytał. — To znaczy policja. Co mi zrobią?

— Skąd mogę wiedzieć — odburknęła. Przedtem była taka spokojna. Może początkowy szok już mijał. Teraz zaczynała być przerażona, zdenerwowana.

— Nawet jeżeli jechałem po złej stronie — rzekł chłopak — to był to wypadek. Wcale nie zamierzałem go najechać. Nie chciałem go zabić.

— To prawda...

— Czytałaś w gazetach o takich wypadkach. Na ogół nie robią kierowcom nic złego. Często bywa to tylko spory mandat. Ale mój tata może zapłacić. A nawet jeżeli mnie zamkną, to nie na długo, prawda? Jak myślisz, na ile? Na miesiąc?

— Może na dwa. To jeszcze nie byłoby tak źle.

Santin przysłuchiwał się im. Powoli wzbierał w nim coraz większy gniew. A może trzy — miał ochotę dodać. Towarzystwo ubezpieczeń zapłaci. Ale samego mordercę nie będzie to kosztować prawie nic. Dziewięćdziesiąt dni za zabójstwo.

— Ale jest jeszcze coś — nagle rzekł chłopak.

— Co?

— Powiedzą, że to wypadek. Może nawet z mojej winy. Częściowo, w każdym razie. Ale tylko wtedy, jeżeli ten facet nie piśnie ani słówka nikomu.

— O czym?

— O tym, kto przełączył światła, a kto nie. I kto jechał po której stronie. Ale oczywiście nie powie nic, jeżeli umrze.

— To prawda — coś dziwnego zabrzmiało nagle w głosie dziewczyny: zrozumienie.

— Więc umrzeć musi. Kapujesz, Arlena?

— Mówi, że umiera...

— Tak, ale nie może tego wiedzieć z pewnością. I my też nie możemy. Powinien jednak umrzeć. Musimy mieć pewność — nagle zakończył piskliwie, jakby na granicy histerii.

Santin zobaczył, jak dziewczyna schwyciła chłopaka za ramię i spojrzała na jego twarz. Całą swoją postawą zdradzała lęk.

— I jeszcze coś — chłopak mówił prędko, niemal jednym tchem. — Tata wytłumaczył mi, jak to jest z ubezpieczeniem. Kalectwo kosztuje ich więcej, niż śmierć. Kalekom płacą grubą forsę. Nie wiem, czy nasze ubezpieczenie wystarczy. Jeżeli ten facet nie umrze i zostanie inwalidą, to może nas to kosztować kupę pieniędzy; więcej niż wynosi nasze ubezpieczenie. Rany, co ojciec by wtedy zrobił!

Dziewczyna była już teraz przerażona na dobre.

— Ale on umrze — wyszeptała ochrypłym głosem.

— Skąd możemy wiedzieć, Arlena? Skąd?

Santin już nie czuł bólu. Tylko wściekłość. Nie myśleli o tym, żeby go ratować. Chcieli, aby umarł. Dwoje egoistów, nieprawdopodobnych egoistów. Na tyle okrutnych, by o tym mówić przy nim.

Nagle chłopak ukląkł i światło latarki znów zaczęło się badawczo przesuwać po twarzy Santina. Santin zmrużył oczy, lecz mimo to po raz pierwszy dojrzał twarz chłopaka. Młody. Tak młody jak dziewczyna. Ale nie tak opanowany jak ona. W jego oczach była panika. I też był ranny. Zdarta skóra z lewej strony głowy, a we włosach krew.

— Jak się pan czuje? — zapytał chłopak.

Santin zbył go milczeniem. Nie da im tej satysfakcji co przedtem. Nie powie o przypływach piekącego bólu, którego fale coraz częściej go ogarniały. Nie powie, że słyszał już przymilny poszept śmierci kuszącej, by wyrzekł się życia.

Widział jednak rozpacz w twarzy chłopaka, który suwając promieniem światła w górę i w dół po jego ciele, badał dalej. Nagle wstał.

— Nie wygląda na aż tak rannego, żeby miał umrzeć — powiedział do dziewczyny.

Nie, to tak nie wygląda — myślał Santin. — Uszkodzenie jest gdzieś wewnątrz. Ale jest równie groźne. Nie mów im tego. Niech się pocą ze strachu. Może ktoś nadjedzie, zanim umrzesz.

Gwałtowny ból kazał mu zapomnieć o wszystkim pozbawiając go prawie przytomności.

Dziewczyna krzyknęła coś przeraźliwie i tak jakby z jego powodu. Chłopak najwidoczniej go potrącił.

— Co robisz? — zapytała.

— Musi umrzeć. Ja mu pomogę — niemal wrzasnął w odpowiedzi.

Dziewczyna miała jednak odrobinę przyzwoitości. Albo kobiecego współczucia.

— Przecież nie możesz go zabić — zaoponowała gwałtownie.

— A co to za różnica? — odparł znów tym histerycznym tonem. — Już go zabiłem! Ma tylko szybko umrzeć. Nie rozumiesz tego, Arleno?

Nie rozumiała najwidoczniej. Przywarła do niego starając się go powstrzymać.

— Nikt nie dowie się prawdy — tłumaczył jej. Ten argument brzmiał logicznie. — Już jest śmiertelnie ranny. To pójdzie na karb wypadku.

Oboje milczeli przez chwilę. Wykręciwszy głowę w bok, ile się dało. Santin mógł ich widzieć. Dwa cienie na tle jaśniejszego nieba, tak blisko przy sobie, jakby zlani w całość. Wyczuwał nawet rozpacz w tym ich uścisku. Dziewczyna z kobiecą, instynktowną litością i chłopak — zwierzę, oszalałe w chęci ratowania siebie... A jednak dziewczyna mogła go jakoś kochać. Skoro go zaś kochała, była po jego stronie.

— Dobrze, Vince — usłyszał Santin wreszcie jej głos.

Nie mógł jednak zrobić nic więcej, jak tylko leżeć. Pewnie zostanie pobity i skopany na śmierć. Zamordowany z rozmysłem, na zimno, dla ochrony słabego, występnego dzieciaka. Jakoś tamtej śmierci się tak bardzo nie lękał. Ale lękał się tej. Ta miała coś z makabry.

— Nie! — wrzasnął co sił w płucach. — Nie!

Pod wpływem krzyku zwolnili uścisk. Promień latarki chłopaka znów badawczo przesunął się po twarzy Santina, przedtem dumnej — teraz już nie. Nie odwrócił głowy od światła. Pozwolił im ujrzeć swój lęk.

— Myślisz, że zdołasz to zrobić? — zapytała dziewczyna. Jej głos zabrzmiał pewnie. Teraz, kiedy dała się przekonać, musiała być silna za nich dwoje.

— Nie wiem. Ale muszę — odparł.

Santin zobaczył, że chłopak się zbliża, i zamknął oczy.

— Poczekaj chwilę — usłyszał słowa dziewczyny jakby z końca długiego tunelu. Spowijała go czerwona mgła agonii i głos dziewczyny wydawał mu się płynąć z oddali.

— Po co?

— Jesteś chyba zakrwawiony.

— Nie wiem.

— To popatrz.

— Tak, racja. Ale co z tego?

— Vince, chyba zwariowałeś! Zobaczą krew na tobie i zaczną cię podejrzewać. Zrobią analizę krwi i powiedzą, czyja to była.

Iskierka nadziei! Santin ośmielił się znów otworzyć oczy. Chłopak stał nad nim szykując się do nowego ciosu, ale teraz się zawahał.

— Wiem, co zrobię — rzekł w końcu.

Odszedł nagle; znikł Santinowi z oczu. Santin słyszał jednak, że szpera w zaroślach. A później usłyszał jego wołanie.

— Arlena, chodź tu i pomóż mi to dźwignąć.

Jeszcze głośniejszy szelest krzaków. Dziewczyna podeszła do chłopaka i jego podniesiony głos:

— Facet wyleciał z samochodu, prawda? A więc po prostu wyrżnął głową w to i kropka. Przesuniemy trochę ciało. Chodź, dźwigniemy to razem.

Wolne, powracające kroki. Santin, oszalały, wypatrywał ich; zobaczył. Nadchodzili wolno, przygarbieni z wysiłku. Nieśli coś dużego, płaskiego i bardzo ciężkiego.

Tym razem nie wrzasnął. Nie mógł. Nawet struny głosowe miał sparaliżowane. Widział ich jednak. Szli wolno, z wielkim trudem. Stanęli po jego obu bokach, a wielki, ciężki płaski przedmiot, który trzymali, przysłonił niebo nad nim.

Wtedy, w ostatniej chwili życia, zdał sobie z czegoś sprawę. Ogarnął go kojący spokój. Tak czy tak umrze — pomyślał. W ten sposób z pewnością prędzej, może nawet lżej. Ale i to jest morderstwo.

Modlił się. Dziwnie. Modlił się o bystrego policjanta.

*

Sierżant Vanneck z patrolu drogowego był policjantem bystrym. W szarym blasku wstającego dnia uważnie przyglądał się śladom opon na drodze. Ponieważ na twardym asfalcie były niewyraźne, nie miał pewności.

Pewniejszy był natomiast, gdy szło o tych dwoje, którzy stali przy jego samochodzie i przyglądali mu się, gdy zabierał się do pracy. Chłopak miał na imię Vince, dziewczyna — Arlena. Byli tacy jak większość młodych zamieszanych w śmiertelne wypadki, ale właściwie trochę inni. Gdy się więc rozjaśniło, szukał dalej.

Znalazł więcej, niż się spodziewał. Ciało było poruszone, a ziemia wokół porządnie zdeptana. Mimo to znalazł jednak dowód. Oczywisty, nieodparty.

Wyszedł z rowu i podszedł do chłopca i dziewczyny. Musiało być coś groźnego w jego twarzy, bo chłopak nie mógł powstrzymać się od pytania.

— O co chodzi, sierżancie?

— Głaz ma dwie strony — odparł sierżant Vanneck — górną i dolną. Górna jest czysta, omyta deszczem; spodnia — brudna od ziemi. Powiedz mi, synu, jak pan Santin mógł wyrzucić z wozu tak, aby uderzyć w spodnią stronę tego głazu?

Przełożył: TADEUSZ EVERT

(Z książki „Alfred Hitchcock przedstawia")
Wydawnictwo „Iskry", W-wa, 1971

Rozmowa z Panem Karpiem

— No i jak się pan teraz czuje?

— Dziękuję, nie skarżę się. Przywykłem do tej nowej sytuacji.

— Można powiedzieć, że z wilgocią jest pan zżyty od najmłodszych lat...

— Tu jednak ciasno, no i ta ograniczona przestrzeń. Gdzie się nie ruszyć, uderza człowiek łbem o ścianę...

— Jak pan mógł tak się dać złapać?

— Poprawniej byłoby powiedzieć „złowić" niż „złapać", ale tak czy inaczej brzmi to cynicznie w pańskich ustach, a nie dałbym głowy, czy pan też czasem nie zarzuca na nas wędki.

— Mogę pana uspokoić, że nie biorę w takich rzeczach udziału, wolę, że tak powiem, przyjść na gotowe.

— Niewielka to dla mnie różnica, ale wracając do pańskiego pytania, to wie pan, tyle czasu jakoś mi się udawało więc i czujność osłabła. Innych wprawdzie odławiano, ale łudziłem się, że mnie to się nie może przytrafić. Rozumie pan, akurat tak, jak z myślą o śmierci: inni stale umierają, ale przecież nie my, więc — myślimy sobie — może nas to ominie.

— To prawda, każdy lubi się łudzić.

— A poza tym akurat zamyśliłem się, bo kłopotów nikomu chyba nie brakuje, pomyślałem więc sobie, że znów te święta, jak co roku, i tak w kółko.

— O, nie zgodzę się z panem. Bo ja znajduję w tych nawrotach sytuacji pewien urok, w tej choince ze świeczkami, w tych kolędach w tym karpiu... Najmocniej przepraszam, jeżeli zabrzmiało to panu niemile, ale spróbujmy spojrzeć na te rzecz, że tak powiem, obiektywnie, bez uprzedzeń. Każdy z nas jest, jak się nieraz określa, tak samo stworzeniem bożym, porozumienie jest więc przynajmniej teoretycznie możliwe.

— Tak? To może zamienimy się miejscami? Ja usiądę sobie wygodnie na stołku i zacznę pochylać się nad tą cholerną wanną, a pan da nura pod wodę i będziemy sobie po przyjacielsku gaworzyć. Nie odpowiada panu taka propozycja?

— Trochę się pan jednak zapomina, panie Karpiu! Ostatecznie to ja jestem człowiekiem, a pan rybą. Owszem, przyznaję, że nie taką zwyczajną, lecz wigilijnym karpiem, ale i pan chyba przyzna, że jest pewna różnica w naszych, że tak powiem, przeznaczeniach, w celach do których zostaliśmy stworzeni. Nie jest pan o tym przekonany? Kto w takim razie łapie kogo na wędkę?

— No, właśnie, jest różnica, bo to nie ja będę pana aż do skutku ogłuszał niezdarnie młotkiem i nie pan będzie się ze strachu wyślizgiwał ze szmaty i spadał na posadzkę, to nie ja rzucę pana potem na patelnię z rozpalonym tłuszczem i będę czekał, aż się mięso przyrumieni.

— Niechże pan już skończy z tą masochistyczną demagogią, to jest po prostu niesmaczne...

— To pan jest niesmaczny ze swoją zwierzęcą, przepraszam, ludzką żarłocznością, z tym dogadzaniem podniebieniu, pod pretekstem tradycji — zaczął krzyczeć karp.

— Nie powinien pan tak zaraz się irytować. Szkodzi pan w ten sposób swojemu zdrowiu, a w konsekwencji i cudzemu. Sam pan powinien zrozumieć, że jest Wigilia, jedni ubierają choinki, drudzy kupują prezenty, co należało uczynić wcześniej, a jeszcze inni powiedzmy to po męsku, bez mazgajstwa, szykują się do przygotowania na stół karpia.

— No, tak — odezwał się z rezygnacją w głosie karp. — Nie będę w taki dzień robił panu wstrętów. Najważniejsze teraz dla mnie — powiedział błagalnym tonem — żeby nam poszło gładko.

— Ach tak, postaram się — zapewniłem go skwapliwie. — Po prostu ciach-mach i ani pan nie zauważy, że już po wszystkim.

— Wierzę panu i nie mam żalu. Bo, wie pan, ja w gruncie rzeczy mam dużo serca do ludzi i pana też już polubiłem za to, że mi pan okazał zrozumienie, że chciał pan ze mną porozmawiać, skonsultować się. Pozostaje mi tylko życzyć panu smacznego i Wesołych Świąt.

— Dziękuję i — że tak powiem — wzajemnie.

— Ale jest jeszcze jedna sprawa. Niech się pan nachyli do ucha, to coś panu powiem, bo wstydzę się głośno.

— Słucham cię, stary, mów śmiało, co cię gnębi, a postaram się wyjść ci naprzeciw.

— Bo, wie pan — wyszeptał karp — my na ogół nie znosimy kiedy nas niektórzy tak połykają na sucho. Aż skóra cierpnie na samą myśl.

— Nie martw się, Karpucha! Ze mną idzie żyć, a pod tym względem możesz zawsze na mnie liczyć.

— Dziękuję panu bardzo dziękuję — wyszeptał karp i oko jego zaszkliło się wzruszeniem. — Dziękuję i smacznego...

— Wesołych Świąt, panie Karpiu nasz kochany!

Rozmawiał:
JERZY KWIECIŃSKI

■

Świat ginących wiatraków

Don Kichot ruszyłby do szturmu...

Korespondencja z Węgier

Już widziałem mego imiennika, legendarnego rycerza z La Manchy, z kopią, pochylonego na koniu, pędzącego w kierunku tego wiatraka stojącego w pobliżu południowej bramy miasta Kecskemet, przy drodze E-5 z Szegedu do Budapesztu. I ja szybko podłączyłem mikrofon w stan gotowości bojowej i wycelowałem obiektyw mojego „Zenita".

Kierowca „wołgi" z iście kawaleryjską fantazją zajechał pod wiatrak i rozczarowanie... To gospoda „Szelmalom" (wiatrak) zorganizowana w autentycznym starym wiatraku typu holender (stożkowata, murowana konstrukcja budynku zakończona ruchomym dachem drewnianym do którego umocowane są urządzenia śmigowe). Jak zapewniał mnie w Polsce znawca przedmiotu inż. Feliks Klaczyński z Poznania, nasze „holendry" Warmii i Pomorza, zwane również wieżowcami, „przywędrowały" na północ Polski z południa Europy, właśnie przez Węgry i Morawy.

Kiedyś Węgry bogate były w te proste urządzenia techniczne wykorzystujące siłę wiatru. W ubiegłym stuleciu na obszarze dzisiejszych Węgier znajdowało się ponad 800 wiatraków. Były one typowym elementem krajobrazu zwłaszcza Wielkiej Niziny Węgierskiej. W 1905 roku, tylko we wsi Kiskundorozma działały jeszcze 23 młyny wietrzne. W latach 30 było już ich tylko 10, a w 1968 roku rozleciał się ostatni. Wprawdzie, po kilku latach, został on odtworzony i dziś służy celom turystycznym, ale jest to kolejny przykład naturalnej śmierci owych zabytków w tej chwili na Węgrzech, intensywnie ratowanych i odtwarzanych (patrz „Odgłosy" nr 25/83).

Gospodarze karczmy „Szelmalom", dowiedziawszy się o mojej pasji wiatraczej, prowadzą mnie do wiatraka, pokazują urządzenia mielące. Gdyby nie język węgierski przewodnika byłbym u siebie, ściślej na Pomorzu. Tyleset kilometrów, a technika taka sama, mimo że przecież każdy z wiatraków, zarówno tu na Węgrzech, jak i u nas w Polsce, budował inny mistrz, najczęściej sam młynarz...

Ten wiatrak pod Kecskemet też był ruiną. Wyremontowano go staraniem miejscowej spółdzielni produkcyjnej i urzędu konserwatorskiego. Dziś, w połączeniu z urządzoną w dawnym budynku gospodarczym karczmą, stanowi najchętniej odwiedzaną i nastrojową restaurację Kecskemetu. Ma w tym swoje zasługi także mistrz kuchni. Jego specjalnością są m. in.: ragout a la Alföld, zraz wieprzowy w śmietanie o niespotykanym — dzięki przyprawom — smaku oraz dania z gęsich wątróbek. Tak twierdzą smakosze. Ja osobiście przekonałem się, że przepyszna jest także ryba gotowana z grzybami oraz zapiekanka z ziemniaków i sera.

Tak mi to smakowało, że zdobyłem przepisy, które podaję za Terką Pogany z „Przeglądu Węgierskiego" (ilustrowanego 2-miesięcznika wydawanego także w języku polskim), tym bardziej, że składniki dostępne są na naszym krzysowym rynku (także karpie, najlepiej się do tego nadające).

A więc wytnijcie panie te przepisy i do dzieła.

RYBA GOTOWANA Z GRZYBAMI. Składniki: 1 karp (1,5—2 kg), 1 marchewka, 1 pietruszka, trochę selera, sól, trochę octu, 3—4 dkg masła, 3 dcl śmietany, 20 dkg grzybów, 2 żółtka, 10 dkg masła.

Oczyszczoną rybę gotować przez 10 min. w lekko osolonej wodzie z dodatkiem pieprzu i octu. Następnie zdjąć skórę z ryby, włożyć do wysmarowanego masłem naczynia żaroodpornego i posypać oczyszczonymi i podduszonymi na maśle grzybkami. Zalać śmietaną ubitą z dodatkiem 10 dkg masła i dwóch żółtek. Piec w piekarniku przez około 10—12 minut.

ZAPIEKANKA Z ZIEMNIAKÓW I SERA. Składniki: 1 kg ziemniaków, sól, pieprz, 20 dkg utartego (wędzonego) sera, 3 dcl śmietany, 2 żółtka, 8 dkg topionego masła.

Ziemniaki ugotować w łupinach, następnie obrać, pokroić na cienkie plasterki i ułożyć warstwami w żaroodpornym naczyniu wysmarowanym uprzednio masłem. Każdą warstwę posolić, posypać odrobiną tartej gałki muszkatołowej i utartym serem. Górną warstwę powinny stanowić ziemniaki. Śmietanę utrzeć z żółtkami, dodać trochę tartego sera i tak powstałą masą pokryć ziemniaki. Następnie skropić roztopionym masłem i piec w średnio nagrzanym piekarniku aż zabarwi się na ładny złoty kolor. Podawać z zieloną sałatą.

Hejże, autorze! A wiatraki?! Aż tak zafascynowała cię kuchnia węgierska, że zapomniałeś co jest tematem tej korespondencji?!

HEJŻE WIĘC NA WIATRAK!

Wsiadamy zatem na, przepraszam, do naszego czarnego konia (myślę o „wołdze") i drogą 53 i 54, przez Soltvadkert jedziemy do oddalonego o 84 km Kiskunhalas, także woj. Bacs-Kiskuni by tam znowu wycelować moje, mikrofonowo-fotograficzne kopie.

Gdyby był tu ze mną mój legendarny imiennik z La Manchy zamarłby ze zdziwienia. Ten wiatrak tylko kręcącymi się śmigami trochę przypomina znane nam wiatraki młyńskie. To nie budynek, a o metalowo-ażurowej konstrukcji smukła wieża.

To eksperymentalny, współczesny wiatrak służący do wykorzystania siły wiatru dla celów przemysłowych. Tu, w miejscowym PGR wiatrak ten pompuje wodę. Drugi, podobny o mocy 1 kilowatogodziny pracuje w miejscowości Mosonmagyaróvar w Fabryce Tlenku Glinu i Kamieni Szlifierskich, gdzie służy do wytwarzania energii cepinej ogrzewającej jedno pomieszczenie.

Samo koło zakupił Kiskunhalas w Australii, a całą konstrukcję zaadaptowali naukowcy z Instytutu Mechaniki Min. Rolnictwa i Aprowizacji. Ich zdaniem jednak kiskunhalaskie rozwiązanie nie jest ekonomiczne, za drogie (ponad 200 tys. for.) i mało wydajne.

W Mosonmagyaróvar zastosowano inne rozwiązania, które sprawdzano przez ponad 5 lat i fabryka planuje rozbudowę siłowni wietrznej, co pozwoli na zaoszczędzenie 2 tys. ton węgla brunatnego rocznie, wykorzystywanego do ogrzewania pomieszczeń, które podłączone zostaną do elektrowni wietrznej.

— A co na to meteorologowie? Czy na Węgrzech warto zajmować się wykorzystaniem siły wiatru — pytam, już w Budapeszcie, inż. Aladara Ledacsa Kissa, kierownika komisji do spraw energii wietrznej przy Naukowym Towarzystwie Gospodarki Energetycznej.

— *Z Krajowego Instytutu Meteorologicznego otrzymaliśmy obliczenia statystyczne oparte na 200 tys. danych dotyczących pomiarów siły wiatru. Obserwacje prowadzone były przez 11 krajowych stacji meteo. Nasze obliczenia wykazały, że na metr kwadratowy powierzchni na Wielkiej Nizinie Węgierskiej przypada 300—350 kilowatogodzin, a na Małej Nizinie Węgierskiej — od 750 do 1.000 kilowatogodzin.*

— A jeśli nie ma wiatru?

— *Siłę wiatru można przekształcić w energię cieplną i w tej postaci przechowywać. Do tego celu potrzebny jest odpowiednio izolowany zbiornik wodny (coś w rodzaju bojlera), do którego doprowadzi się uzyskany z turbiny wietrznej prąd elektryczny o zmiennym napięciu i częstotliwości, czyli tzw. surową energię elektryczną. Przy dobrej izolacji zbiornika utrata ciepła jest minimalna. Nie bez znaczenia jest fakt, że w naszym kraju jedna czwarta dobowego zużycia energii przeznaczona jest do celów ogrzewczych.*

— Energia wietrzna jest darmowa, ale do jej opanowania niezbędne są poważne inwestycje.

— *Siłownie wietrzne są konstrukcjami wielkich rozmiarów, lecz prostymi i budowanymi ze stosunkowo niedrogich materiałów. W przeciwieństwie do elektrociepłowni, których budowa i eksploatacja jest bardziej skomplikowana i kosztowniejsza.*

JAK PRZED 2 TYS. LAT...

W czasie swojej wiatracznej wędrówki po Węgrzech widziałem również nowoczesne konstrukcje wiatraków wieżowych służących do pompowania wody. Ich mechanizm napędowy z kołem zębatym połączony jest z urządzeniem transmisyjnym. Tym sposobem poziomy ruch obrotowy zmienia się na pionowy i przez zwykłą żerdź drewnianą napędza pompę ssąco-tłoczącą. Projektanci takich wiatraków wodnych twierdzą, że ekonomiczne jest ich wznoszenie w miejscach (np. na pastwiskach Wielkiej Niziny Węgierskiej) oddalonych już o 1000 m od źródła prądu elektrycznego.

Największa w kraju studnia wietrzna działa w gospodarstwie w Nagyhörsók należącym do Kombinatu Rolniczego w Mezöfalva. Jej konstruktorami są pracownicy Instytutu Technicznego Ministerstwa Rolnictwa i Aprowizacji, przy współpracy pracowników Zakładu Maszyn Rolniczych Kombinatu Rolniczego w Mezöfalva. Maszyna startuje w momencie, kiedy wiatr osiąga szybkość 2 m/sek. i automatycznie się zatrzymuje przy szybkości wiatru 10 m/sek. Tu studnia wietrzna ma wysokość 13 m i dostarcza 40 l wody na minutę, używanej do pojenia bydła i nawadniania pól. Obok wiatraka usytuowane są zbiorniki wodne pozwalające zgromadzić wodę na 5 dni bezwietrznych.

W niedalekiej przyszłości rozpocznie się montaż podobnych studni wietrznych w miejscowościach Balattaszallas i Lebenymiklós. Duże zainteresowanie budową studni wietrznych skłoniło Kombinat Rolny w Mezöfalva do organizacji specjalnego działu zajmującego się wiatrakami wodnymi. W przyszłości planuje się również produkcję mniejszych pomp elektrowni wietrznych, mogących znaleźć zastosowanie w gospodarstwach przyzagrodowych i na działkach rekreacyjnych.

NIE MOŻNA DŁUŻEJ CZEKAĆ

Siłę wiatru wykorzystywano już przed dwoma tysiącami lat — do żeglowania, pompowania wody i mielenia zboża. Przypomnę, że ślady najstarszego wiatraka znaleziono w perskiej miejscowości Neh. Wokół pionowego wału kręciły się łopatki turbiny płachtowej, jak żagle.

Wiatraków tych używano, najprawdopodobniej, do pompowania wody i nawadniania gruntów ornych.

Energię parową zaczęto wykorzystywać dopiero przed 300 laty. I wydaje się, że w zakresie jej wykorzystania zrobiono już wszystko, podczas kiedy na drodze nowoczesnego, energetycznego wykorzystania całkowicie darmowej siły wiatru, stawia się zaledwie pierwsze kroki. Eksperymenty prowadzą nie tylko Węgrzy. Znacznie więcej doświadczeń i praktycznych opracowań technicznych mają energetycy Związku Radzieckiego, Ameryki, Australii (zwłaszcza przy nawadnianiu pastwisk), RFN, Włoch, Holandii i Szwajcarii, a nawet bogatej przecież Szwecji.

I tu z taśmy magnetofonowej spisuję zakończenie rozmowy z inż. Aladarem Ledacsem Kissem.

„...jeżeli w Magyaróvar zostanie wybudowana także duża wieloturbinowa elektrownia wietrzna, do czego się zmierza, będziemy mogli śmiało powiedzieć, że zrobiliśmy wielki krok naprzód. Wówczas bowiem uzyskana tą drogą energia będzie tańsza od wszystkich innych. Masowe wykorzystanie wiatru do celów przemysłowych nie może już dłużej czekać..."

Właśnie. A jak z tym wykorzystaniem siły wiatru jest u nas? Giną wiatraki, ale równolegle pracuje się nad energetycznymi konstrukcjami ich nowoczesnych następców. Rzecznikiem tych działań jest inż. Jerzy Wysocki z Instytutu Budownictwa, Mechanizacji i Elektryfikacji Rolnictwa w Warszawie (pisał o nim P. Tomaszewski w „Odgłosach"). Ciekawe, czy inż. Wysocki zna swojego kolegę węgierskiego, także pasjonata wiatraków energetycznych, inż. Aladara Ledacsa Kissa, którego upór doprowadził do zmontowania już na Węgrzech kilku nowoczesnych siłowni i pomp wietrznych. Odnoszę wrażenie, że u nas jest to jeszcze prywatna pasja kilku ludzi i tracimy siły na rozwiązywanie problemów technicznych przez Węgrów już praktycznie opanowanych.

ZBIGNIEW KORZENIOWSKI
„Don Kichot" Lata z Radiem

Foto: M. Zajdler

Łódź 1900

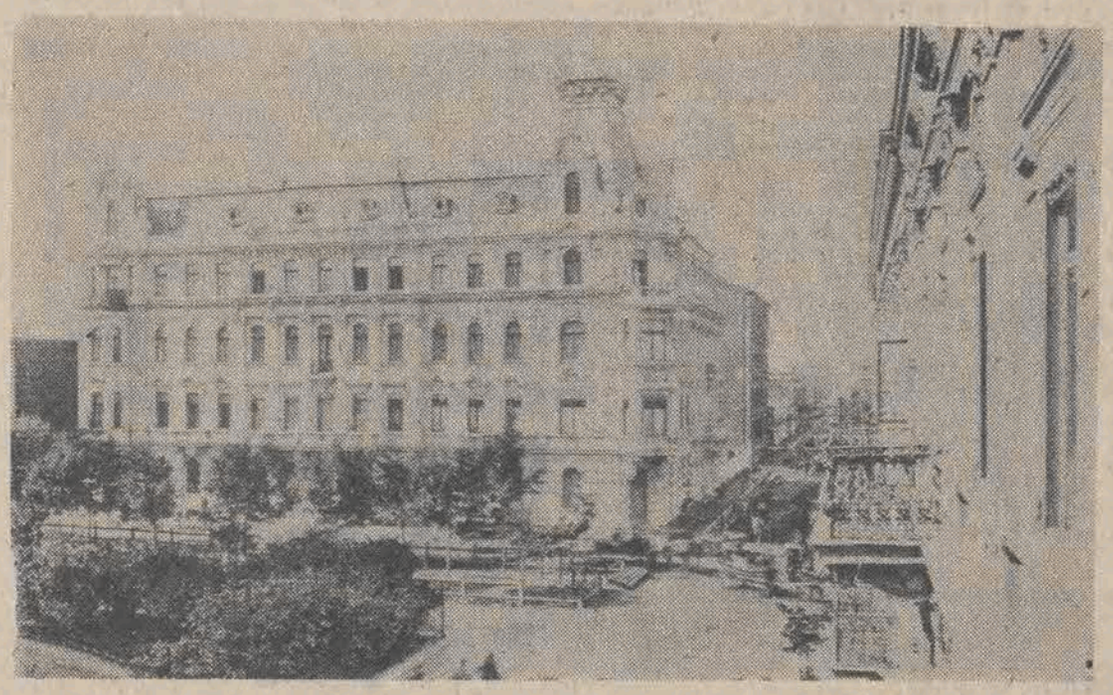

Rozpoczynał się dwudziesty wiek

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Gdy nadchodził rok 1000, ludzie spodziewali się końca świata. Gdy nadchodził rok 1900, mieli tylko nadzieję, że coś się zmieni i to na lepsze. Nadejście nowego wieku czy tysiąclecia budzi różnorodne nadzieje i oczekiwania. Dziś też mówimy, że coś jest już na miarę XXI wieku, jakby tylko zmiana numeracji w kalendarzu mogła oznaczać jednoczesną zmianę epoki. A przecież w owym 1900 roku nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego. Epokowe odkrycia miały przyjść znacznie później. Silnikami parowymi posługiwano się już od dawna. W 1860 roku pojawił się silnik gazowy, w 1883 — benzynowy, a w 1895 roku silnik R. Diesla. Od 1876 roku znany już był telefon, od 1866 — dynamomaszyna, a od 1879 — żarówka. Można więc było od biedy uznać, że oto nadchodzi wiek elektryczności. Jules Verne dopiero snuł fantastyczne opowieści o podmorskiej żegludze, lotach na księżyc. Bomba atomowa była całkowicie poza zasięgiem ludzkiej fantazji.

W sylwestrowy wieczór 1899 roku wznosząc noworoczne toasty szampanem, winem, wódką i piwem i ci w pałacach, i ci w czworakach, i ci w czynszówkach, i ci w familiakach życzyli sobie zgodnie, aby ten „nowy nadchodzący wiek był lepszy. Jedni wprawdzie myśleli o zyskach, drudzy o poprawie swego trudnego życia. Ale nadzieja była wspólna.

Od tamtego wieczoru minął 84 lata. Co się przez ten czas zmieniło? Wszystko. Dzisiejszy młody człowiek mieszkający na Widzewie Wschodzie, Dąbrowie, Retkini, Radogoszczu, Chojnach—Zatorzu, Kuraku, Nowym Rokiciu, Żubardziu i innych dzielnicach i osiedlach Łodzi zupełnie nie jest w stanie wyobrazić sobie tamtej Łodzi sprzed 84 lat. Bo też była to inna Łódź.

Wybierzmy się więc

W PODRÓŻ DO ŁODZI 1900 ROKU

W taką podróż wybrał się też bohater powieści Janka z Waliszewa „Moloch" — Witold Turcza. Powieść ukazała się akurat w 1900 roku, drukowana była w odcinkach w „Gońcu Łódzkim". Popatrzmy więc na Łódź oczyma Witolda Turczy:

„Miał przed sobą Łódź jak na dłoni. Szosa tworzyła tu wzniesienie, z którego Turcza mógł doskonale przyjrzeć się na lewo kępie drzew, wśród których mienił się staw przy młynie Adamka, dalej rysujące się we mgle dymy kominów fabryki Francuzów. Na prawo kilka cegielni psuło widok, w głębi zaś panowała dużych rozmiarów fabryka Leonhardta, okolona murem, niby forteca. Przed sobą miał las kominów...".

Nie darmo przez długie lata Łódź nazywano „Kominogrodem" lub „miastem stu kominów". Ale, gdy nie tak dawno przecież temu Andrzej Wajda kręcił „Ziemię obiecaną" — powieść drukiem ukazała się w 1899 roku — najbardziej łódzkiego pejzażu, owego „lasu kominów" musiał szukać... na Śląsku. Wówczas było inaczej.

„...stoję w „weneckim oknie" dębowej jadalni — wspominała w „Łódzkich porach roku" Irena Tuwim. — *Jest wieczór. Dookoła widać dachy domów poprzetykane gęsto kominami fabryk. Nad wszystkim księżyc i rozgwieżdżone niebo, równie piękne i niezmierzone jak we wszystkich innych miejscach świata".*

Dziś i księżyc jest już inny. „Skalany" stopami ludzi, którzy na nim wylądowali i po jego powierzchni spacerowali.

A ówcześni ludzie?

Witold Turcza idzie ulicami miasta i spotyka robotników. Tak ich opisuje:

„Zatłuszczone świtki, wytarte czapki, dziurawe spodnie i koszlawe buty u mężczyzn, pomięte chustki, obstrzępione spódnice i zniszczone trepki filcowe na nogach kobiet, żółte twarze pierwszych, a z wypiekami drugich, wcale nie budziły zachwytu dla pracujących Łodzi".

Inaczej było w święta. Władysław Reymont przechadzał się ulicami miasta i obserwował:

„Masy robotników, poubieranych świątecznie w letnie, jasne ubrania, w krzyczące, kolorowe krawaty, w czapki o mocno błyszczących daszkach lub w wysokie, dawno wyszłe z mody kapelusze, z parasolami w rękach, zalewały Piotrkowską, ciągnęli sznurami z bocznych ulic i tłoczyli się na trotuarach tym ciężkim ruchem masy, która z biernością poddaje się wszelkiemu parciu. Robotnice w cudacznych, jaskrawych kapeluszach, w sukniach do figury, w jasnych pelerynkach, to znów w chustkach kraciastych na ramionach, z włosami gładko przyczesanymi i świecącymi pomadą i szpilkami złotymi, czasem wetkniętym sztucznym kwiatkiem, dreptały wolno, rozpierając się łokciami w tłumie, ochraniając często w ten sposób sztywne, mocno wykrochmalone suknie, albo rozpięte nad głowami parasolki".

PIOTRKOWSKA BYŁA „SALONEM MIASTA"

Tu były piękne sklepy, jeździły tędy karety i powozy pełne bogato ubranych kobiet i eleganckich panów. Tu były hotele, restauracje, cukiernie. Tu były księgarnie, magazyny pełne biżuterii, futer i innego dobra, które biedny człowiek mógł jedynie podziwiać przez szyby sklepowych witryn. Przy ulicy Piotrkowskiej był teatr, kino. Można tu było spotkać elegancko ubranych carskich oficerów i urzędników, Żydów noszących się po starozakonnemu i z powagą kroczących łódzkich Niemców. To był teatr dla ubogich. Wystarczyło tu tylko przyjść i popatrzeć, a później było co opowiadać znajomym i przyjaciołom.

Ale to była inna Piotrkowska. Choć i dziś stoją przy niej domy już wówczas istniejące, to inna to ulica. Wówczas Piotrkowska była ulicą zatłoczoną i ciasną. Między domami a jezdnią stały drewniane słupy, wysokie i mocne, a na nich pełno izolatorów, z których zwisały kilometry drutów: telefonicznych, telegraficznych, elektrycznych. Kiedy zakładano sieć trakcji tramwajowej trzeba było oddzielać ją od innych sieci drucianą siatką, aby w razie zerwania nie nastąpiło zwarcie.

Tramwaje uruchomiono w Łodzi w 1898 roku. Dokładnie 29 grudnia. Pierwsza linia prowadziła od Placu Kościelnego przez Nowy Rynek (Plac Wolności), Piotrkowską do Górnego Rynku (Plac Władysława Reymonta). Przejazd trwał 30 minut. Tramwaje kursowały od godziny 7,40 do 22,58. Bilet w I klasie kosztował 8 kopiejek, w II — 5 kopiejek. Uczniowie jadący w szkolnych mundurkach mieli 30 procent zniżki. Konduktorzy musieli dobrze władać językiem polskim i rosyjskim. Gdy w wagonie był komplet pasażerów konduktor wywieszał czerwony znak, że nie ma wolnych miejsc. W 1899 roku Łódź miała już 4 linie tramwajowe, a w 1901 roku — 10 linii. Krzyżowały się one na ulicy Piotrkowskiej z Dzielną (Gabriela Narutowicza), św. Andrzeja (Andrzeja Struga), Główną (al. Adama Mickiewicza) i Radwańską (gen. Karola Świerczewskiego). Na ulicach, po których kursowały tramwaje zakazano jazdy furgonom i... welocypedystom.

Telefony pojawiły się w Łodzi w 1883 roku. W 1889 roku było już 255 abonentów. Pierwsze telefony otrzymały urzędy i policja. W 1891 roku było 333 abonentów i 375 km sieci telefonicznej. W 1907 roku położono pierwszy kabel podziemny przy ulicy Piotrkowskiej od Południowej (Rewolucji 1905 roku) do Nawrot. Roczny abonament kosztował 125 rubli. Abonent zobowiązywał się podpisem do przestrzegania kontraktu składającego się z 17 paragrafów. Kontrakt ten zakazywał udostępniać telefon *„do użytku osób obcych ani za opłatą, ani bez wynagrodzenia"*, a także zabraniał *„podawać za pomocą telefonu wiadomości, których treść sprzeciwiałaby się prawu, porządkowi publicznemu, moralności lub zawierała wyrażenia nieprzyzwoite".*

Elektryczne oświetlenie ulic pojawiło się w Łodzi dopiero w 1908 roku. Co prawda w 1900 roku niemiecka firma „Siemens i Halske" otrzymała koncesję na założenie takiego oświetlenia, ale nic w tym kierunku nie zrobiła. W 1906 roku „Towarzystwo Elektrycznego Oświetlenia 1886" z Petersburga założyło w „Grand Hotelu" dynamo o mocy 60 kW i rozpoczęło budowę elektrowni przy ulicy Targowej. Elektryczności do oświetlenia używano w tym czasie w fabrykach i w fabrykanckich pałacach. Ludwik Meyer w 1887 roku w Pasażu Meyera (ul. Stanisława Moniuszki) w jednym z budynków założył dynamo napędzane silnikiem gazowym i elektryczne oświetlenie. Liczył się on z tym, że władze guberialne przeniosą się z Piotrkowa Trybunalskiego do Łodzi i szykował pomieszczenia dla nich i pod urzędy, ale tak się nie stało. W 1908 roku pojawiły się pierwsze 4 elektryczne latarnie na Nowym Rynku, w 1909 było ich 96, a w 1914 — 163.

W 1902 roku przeniósł się z Płocka do Łodzi historyk i dziennikarz Stefan Gorski. W 1904 roku wydał on książkę pod tytułem „Łódź współczesna".

„Szyldy na sklepach Łodzi — pisze w tej książce — *noszą napisy w trzech językach: rosyjskim, polskim i niemieckim — znamionuje to postęp polskości w mieście, gdzie przed kilkunastu laty trudno było rozmówić się w języku ojczystym".*

Wprawdzie jeszcze i na początku XX wieku zdarzały się sklepy w bocznych ulicach, w których klient ze sklepikarzem mógł się głównie porozumieć na migi, ale dokonywał się niewątpliwy postęp polonizacji, chociaż zdarzały się i procesy odwrotne — germanizowanie się Polaków i Żydów, głównie „litwaków", przybyszów z głębi Cesarstwa.

„Cukiernie — pisze dalej Stefan Gorski — *restauracje mają zupełnie inny typ i charakter, niż w wielkich miastach zachodnich... W Łodzi cukiernia jest giełdą, gdzie od rana do nocy mówi się o „interesie", wylicza się kalkulacje na murmurowych stolikach, w czasie transakcji mówi się handlowym językiem — niemieckim, a po zaliczeniu sprawy — po polsku lub po żydowsku... Każda okoliczność, stosownie do chwili, ma swój własny język, którym porozumiewają się łodzianie...".*

DO ŁODZI MOŻNA BYŁO PRZYJECHAĆ KOLEJĄ

Drogę Żelazną Fabryczno-Łódzką uruchomiono 1 czerwca 1865 roku. 19 kwietnia 1864 roku połączenie telegraficzne ze stacją kolejową w Rokicinach — wówczas najbliższą stacją kolejową Łodzi. Dworzec Kaliski wybudowano dopiero w 1903 roku. Uruchomienie linii kolejowej łączącej Łódź w Koluszkach z koleją warszawsko-wiedeńską przesunęło centrum miasta z Nowego Rynku na ulicę Piotrkowską. Hotele: „Polski" i Mannteufla reklamując się w „Łodzianinie" zapewniały, że wysyłają do pociągów hotelowe omnibusy po pasażerów. Było wówczas w Łodzi 18 hoteli, a między nimi: „Grand Hotel", „Centralny", „Europejski", „Paryski", „Warszawski"... „Hotel Polski" oferował pokoje w cenie od 1 do 3,5 rubli, Mannteufla od 1 do 5 rubli.

W Hotelu Mannteufla można było w godzinach od 13 do 16 zjeść obiad z 5 dań za 75 kopiejek. Miesięczny abonament kosztował 18 rubli. Kto chciał, kogo było na to stać, mógł korzystać z karty. Kuchnia hotelowa zapewniała, że w sezonie przygotowuje potrawy z wszystkich ryb morskich, oferowała też homary i ostrygi...

Do Łodzi przyjeżdżało się za interesami.

„Z yankesowskim hasłem na ustach „Time is money" — pisał w 1895 roku w broszurze „Łódź i łodzianie" warszawski dziennikarz Adolf Starkman — *i z deklinacją na najrozmaitsze odmiany wyrazu „business", płyną tu dnie i lata życia ludzkiego, przy czym do urny wszechludzkiego dobra nie spływa stąd nic, co by zasługiwało na nazwę odwrotnej strony medalu tego miasta...".*

Przyciągała Łódź młodzież pragnącą zrobić dobry interes, dostać dobrą posadę, przyciągała ludzi interesów, kombinatorów wszelkiej maści, ale też i przyciągała... panny.

„Od niedawnego czasu Warszawa — pisał Adolf Starkman — *łudzona od strony Koluszek nadziejami „świetnej kariery", kokieteryjne zalecanki Łodzi zaczęła przyjmować z dużą dozą zaufania i w dowód tego odważnie wysyła nad Łódkę: młodzież poszukującą lepszej pracy oraz lepszego zarobku i... córy swoje, które w tym mieście kominów szukać zaczęły ziszczenia się ich snów złotych o pielgrzymce małżeńskiej...".*

Przyjeżdżali ludzie do Łodzi za interesami, ale też chcieli miasto poznać, no i pewnie... zabawić się.

Trudno mi powiedzieć, w którym to było dokładnie roku, gdy przyjechał do fabryki Józefa Johna monter z którejś z rosyjskich fabryk. Był on na utrzymaniu łódzkiej fabryki i musiał rozliczać się co tydzień z wydatków. W rachunku za hotel, łaźnię i wyżywienie wpisywał niezmiennie pozycję za 5 rubli *„człowiek nie jest z drewna"*. Zdenerwowało to wreszcie księgowego, przekreślił te 5 rubli i dopisał: *„ale też i nie z żelaza"*.

Przyjeżdżali więc ludzie do Łodzi, brali numer w hotelu — tak to się wówczas mówiło — i chcieliby zorientować się, co tu warto zobaczyć, gdzie się udać, co poczytać. Pomocny w tym mógł być „Łodzianin. Kalendarz informacyjno-adresowy", wydawany przez księgarza C. Richtera od 12 już lat. W 1900 roku pojawił się konkurencyjny „Czas". Z kalendarzy można było dowiedzieć się wiele o mieście.

Wychodziło wówczas w Łodzi 7 pism: „Goniec Łódzki" redagowany przez R. Wierzchleyskiego, „Lodzer Zeitung" prowadzony przez J. Petersilge'a, „Rozwój" W Czajewskiego i pismo urzędowe „Lodzer Tageblatt" i Łodzinskiej Listok" redagowane przez L. Zonera oraz czasopisma: „Czasopismo Lekarskie" redagowane przez dr S. Sterlinga i „Ognisko Domowe" L. Fiszera. Popularne były też wśród łodzian „Kurjer Warszawski" i „Kurjer Codzienny".

Były tu w tym czasie trzy teatry, sala koncertowa. W „Victorii" i u F Sellina przy ul. Konstantynowskiej (Ul. Obrońców Stalingradu) występowały polskie trupy teatralne. „Thalia" była stałym teatrem niemieckim. W 1899 roku pojawiło się w Łodzi pierwsze kino braci Władysława i Antoniego Krzemińskich. W 1903 roku były w Łodzi trzy stałe kina! Wyświetlały one filmy bez przerwy od godziny 10 do 23.

Przybywający do Łodzi za interesami, jak też łódzcy kupcy i fabrykanci musieli porozumiewać się z całym, nieraz światem. Z pomocą służył im telegraf. Telegramy można było nadawać każdego dnia zarówno ze stacji telegrafu państwowego, jak i kolejowego. Można było — ciekawostka — nadawać telegram z pociągu i do pociągu, a także z tych i do tych miejscowości, w których nie było stacji telegrafu. Wówczas płaciło się dodatkowo 7 kopiejek za doręczenie przez posłańca lub normalnie przez pocztę.

Jakie były ceny telegramów?

Do Wenezueli — 4,03 rubla do Nowej Zelandii — 2,16 do Turcji — 20 kopiejek do Korei — 2,06 r., do Singapuru — 2,06 r. do Bułgarii i Francji — 15 kopiejek, do Hiszpanii 21 kopiejek, do Austro Węgier — 11 kopiejek. Można było też wysyłać telegramy do różnych miast i stanów USA: do Nowego Jorku i Ohio — 73 kopiejki, do Kolorado — 94 kopiejki, do Waszyngtonu — 84 kopiejki, do Dakoty — 94 kopiejki.

I poczta pracowała wówczas znacznie lepiej niż dziś. Księgarnia Gebetnera i Wolfa reklamowała się, że *„zapotrzebowania z prowincji załatwia odwrotną pocztą", a „nuty zagraniczne „pod opaską" sprowadza w 8—10 dni"*. Co innego, że owe nuty i zamówienia z prowincji nie były dostępne dla każdego, a więc i zasięg oddziaływania i wielkość działania były wąskie i małe. Wystarczy powiedzieć, że na początku XX wieku „Goniec Łódzki" ukazywał się w nakładzie 1600 egzemplarzy i był to nakład wyższy od tego, jaki miał „Rozwój". Gazety można było prenumerować w księgarniach lub otrzymywać pocztą. Prenumerata roczna „Rozwoju" wynosiła 8 rubli, a pocztą 10 rubli. Prenumerata „Ogniska Domowego" 6 rubli, pocztą 7 rubli. Prenumerata roczna popularnego też w Łodzi, a wychodzącego w Warszawie nakładem Gebetnera i Wolfa „Kurjera Codziennego" wynosiła 6 rubli, co miesięcznie daje sumę pozornie niewielką — 50 kopiejek. Prenumerata roczna była wszakże korzystna dla czytelnika, gdyż na przykład „Kurjer Codzienny" dawał swoim prenumeratorom co tydzień *„arkusz powieści tłomaczonej z najgłośniejszych utworów beletrystyki zagranicznej, a nadto, co kwartał premium w postaci książki"*.

Z ŁODZI W ŚWIAT

można było ruszyć końmi lub pociągiem. Najbliżej było do Andrzejowa, ale jeździli łodzianie do Tomaszowa, Koluszek, Ciechocinka, Warszawy i dalej w świat. W 1901 roku bilet do Andrzejowa kosztował w I klasie 28 kopiejek, w drugiej — 17 kopiejek, w trzeciej — 11 kopiejek. Do Tomaszowa Mazowieckiego odpowiednio: 1,25 rubla, 75 kopiejek i 50 kopiejek. Do Piotrkowa Trybunalskiego, gdzie przecież były władze gubernialne i trzeba było często jeździć dla załatwienia różnych spraw i interesów, bilet I klasy kosztował 2,25 rubla, II — 1,35 rubla, III — 90 kopiejek. Koleje nie były więc tanie. Trzecią klasą do Ciechocinka jechało się za 2,82 r.

Do Warszawy chodziły pociągi zwykłe i kurierskie. Kurierskie były oczywiście droższe. Z Łodzi do Warszawy I klasą zwykłego jechało się za 1,05 rubla, a kurierskim za 4,45 rubla. Do Petersburga bilet I klasy kurierskiego kosztował 27,95 r., a w pociągu zwykłym 21,50 r. Biedak, jeśli już musiał pojechać do Petersburga, to mógł to zrobić trzecią klasą pociągu zwykłego, co go kosztowałoby 8,60 r.

Pociąg z Łodzi do Warszawy odchodził o 6.45, a przyjeżdżał do Warszawy o 9.55. Trzeba przyznać, że choć to było prawie 84 lata temu, to pociągi wcale nie kursowały wolniej, a już bez wątpienia nie jeździły dużo wolniej. W podróż do Moskwy najlepiej było wyruszać o 12.45. Na miejsce przyjeżdżało się następnego dnia o 11.30. Wyruszając o 12.45 z Łodzi w Wiedniu było się o 7.04. Podróżny nie przyjeżdżał na miejsce głodny, gdyż na każdej stacji mógł coś zjeść i wypić.

W świat jeździli przede wszystkim ludzie bogaci, a także za interesami.

„Bogaci — pisał Stefan Górski — *najczęściej robią sprawunki za granicą, a niekiedy w Warszawie, wówczas płacą, nie targując się — chodzi im o zaimponowanie kupcowi, gdy tu, na miejscu, odchodzą ze sklepów nieraz dla kilku kopiejek... Opowiadają, że więksi przemysłowcy na dworcu w Łodzi płacą 5 kop za „Kurjera", a w Koluszkach zaś dziesięć i więcej...*".

NIM SIĘ ROZSTANIEMY Z ŁODZIĄ Z 1900 ROKU

rz[illegible] jeszcze raz okiem na jej ulice i ludzi. [illegible] widział Stefan Górski:

[illegible]iej części Piotrkowskiej widzi się [illegible]niane, a całą przestrzeń ulicy i jej [illegible].e przecinają podwójne linie tramwa[illegible]rycznych. Wielki ruch i ożywienie pa[illegible]tej dzielnicy. Inne ulice, równoległe i [illegible]ne do Piotrkowskiej mają charakter [illegible]e inny — bardziej zaniedbany, zanieczy[illegible]y, za to na wskroś przemysłowy. Duże, [illegible]dowane towarami i węglem wozy z wolna [illegible]ną po wybojach w bruku kamiennym. Pra[illegible]z w każdym podwórzu stoi fabryka większa [illegible]b dochodzi stuk warsztatów ręcznych.

Ruch przechodniów w mieście ma codziennie kilka faz odmiennych. Do dnia gwizd fabryk zwołuje dziesiątki tysięcy robotników, wytwarzając „czarny" ruch uliczny, w godzinach przedpołudniowych uwijają się kupcy, woźni, komiwojażerowie, w południe — wyludniający fabryki robotnicy często rozsiadają się w bramach domów, gdzie spożywają dostarczone im obiady. W godzinach popołudniowych większe ożywienie sprawiają postrojone damy łódzkie, w wykwintnych pojazdach lub pieszo, zażywające przechadzki po ulicy Piotrkowskiej".

Taka była Łódź w 1900 roku i latach następnych. Tak wyglądało miasto. A jak żyli ludzie? To już osobny temat, niezbędny, aby zrozumieć ówczesną Łódź, tak przecież bliską, a jednocześnie tak odległą.

W. KASA

Święta misja

Wieczorem aktor Kajtek opowiadał przy świecach kawały w czynie społecznym. Jeden z takich dwóch wysokich, co ćwiczyli niedźwiedzia na lotnisku. Potem przy świecach zaczęła się opera, którą zastąpił w świetle lamp żarowych punkowy zespół „Lady Rura". W trakcie ludowych tańców zakrapianych zginęła mi ta moja upatrzona i wielce chwacka kolubryna, z cycami jak balon wina do rymu.

Zderzyłem się z nią w mrocznym parku. Przywarłem chciwie do jej piersi, aby rozewrzeć bramy raju, jednak w hotelu najniższy z tych wysokich aktywistów brutalnie wyrwał mi dziewczynę z ramion.

Z nerwów zdemolowałem cały pokój hotelowy. O świcie z upodlenia i niechlujstwa wyrwał mnie pełen goryczy głos Szefa. Nie śmiałem odemknąć obrzmiałych wyuzdaniem powiek. Głos nabrał ostrych tonów i, zapewniam, nie była to litania rewolucyjnego ministranta. Naczelny grzmiał straszliwie używając w stosunku do mnie słów wulgarnych.

— Wy mi tu, Kasa, rozpłodniku, nie róbcie koło kasy! Wyście tu mieli zrobić rewelację, ów cięty raport ze zlotu aktywistów!

— Tak jest, Szefie!

— Aha! Świadomość jest, a nurza się we własnym pocie, za co ja muszę bulić. Ale ty, Kasa, sam w sobie nie będziesz rewelacją!

Powlókł mnie do czarnej służbowej wołgi i zawiózł do swego gabinetu z balkonem, na którym gruchały pokojowo gołębie. Spojrzawszy na Szefa odczułem skruchę. Tę szczerą, rumianą twarz znowu pocięły zmarszczki troski. Buńczuczna broda oklapła, posiwiała, a brzuch z epoki drugiej Polski zapadł i jakby zwiotczał. Pani B. mówiła, że on schudł, bo mało jada i ciągle myśli w wannie. Przeze mnie tak się dręczy, ten wzór anielskiej cnoty, a ja, nędznik, zwyczajem pijaka i erotomana zdradziecko wpędzam go do grobu...

Naczelny poczochrał się po swej włochatej piersi i rzekł znękanym głosem:

— Kasa, ty sukinsynu, kto mi za ciebie zrobi nakład?

— Robię, co mogę, Szefie — odparłem skromnie. — Gdybym ja tylko wiedział, jak to robić, to...

— Milcz! — przerwał Szef. — Ja naprowadzę cię na Kunę z elity zbójów delegacyjnych. Ty go łapiesz, poprzez niego trafiasz do bazy i sprawdzasz, jak oni robią nakład w końcu roku.

Dołączyłem do Kuny w przeddzień Wigilii, aby załatwić go profilaktycznie. Urabiałem, urabiałem, aż zmiękł pośród nocy głębokiej i ruszył. Najpierw wpadliśmy do Józefa, który w stanie zawieszenia doznał pomieszania poglądów i bez przerwy przepisywał się stąd dokąd, aż go skreślili. Józef był w pidżamie, która zaraz pękła, bo rozszarpał ją Kuna, ponieważ Józef koniecznie chciał wyjść na ulicę przez balkon. Jak Józef pogonił nas z siekierą, tośmy pojechali do Inspektorowej, która akurat się doktoryzowała, gdyż rozbójnik Inspektor trzeci kwartał bawił na delegacji u rudej dziury. Z nami absolutnie nie chciała się doktoryzować, toteż odeszliśmy usztywnieni i rozpaleni, ale o suchych pyskach.

Rano znowuśmy z Kuną się spiknęli i lu! na bazę. Całej elity zbójów delegacyjnych nie pamiętam, oprócz wymienionych tylko Grubego i jeszcze Popiołka, który był szefem. Zadnych rewelacji, słone paluszki, a na przystawkę siew górali w drugiej strofie. Rozżalony Gruby wstał i zapytał z głębokim wzruszeniem:

— Czy ja jestem tutaj sprzątaczką jakąś, czy też jestem artystą?

Popiołek przełknął garść żyta i z mordą:

— We Wigilię książka życzeń i zażaleń? A kij tobie w tyły i moja noga! Zdolna młodzież pójdzie w delegację i ona zwycięży. A ty, rumplu, siad płaski!

Gruby zrobił siad płaski. Kuna stał jak wryty. Popiołek się wnerwił i z pyskiem do niego:

— A ty nie stój, jak w noc weselną! Nie widzisz, że paliwa brakuje? Co robi junior? Skok do monopolu!

W Kunę, jakby piorun strzelił.

— To ja teraz pomiot? To ja sprzątaczka i laufer?!

— A co? Pan adiunkt ma lecieć? — spytał grzecznie Popiołek, wskazując grubszego od Grubego zbójnika w paryskim gangu i w butach ze „Skogaru" na kartki.

— Jak adiunkt pragnie, to niech ruszy tym wielkim dupskiem!

Szarpnął mnie Kuna za kapot i w drzwi! I do monopolu! A z butelką na dworzec. Patrzę, jak głupi, a on za klucz, za papier toaletowy i do kibla! Bez gadania, na zaparte, ale trochę gulgotało i jakiś facet krzyczał, że grzmocą się pedały, a on przez ten seks zerżnie się w portki.

Kuna po tej butelce też krzyczał. Że wróci do bazy i rzeknie Popiołkowi, żeby się udławił własnym popiołem, ale nie powiedział, bo z bazy wytoczył się Gruby z balonem na drucie i nas cafnął. A potem ukląkł na rogu przed milicjantem, żartownica, łaskotał władzę balonem i prosił, aby mu uśmierciła wigilijnego karpia. Jak władza sięgnęła do pasa, tośmy zwinęli siłą Grubego i zawieźli do Domu Ludowego, gdzie były słone paluszki, po których Gruby spadł raptem z fotela. Pojechaliśmy przeto czarną wołgą do jego mieszkania, ale żona Grubego zrobiła blokadę, zmuszając nas do inwazji na kwaterę Józefa. Siedział tam już skłócony z Popiołkiem Inspektor. I po godzinie wszystkich nas rozłożyło na tapczanie czerwone wino domowej roboty.

Leżymy sobie w ubraniach, zachowując się niczym dzieci. Inspektor mianowicie robi erotyczne strojenie, Grubego to łechce, więc tworzy duet stroicieli. Widząc to Józef wydzwania po znajomych kurewkach. Jedna się długo przekomarza, więc Józef podstawia jej nieznanego Kunę, który gra kapitana Zomera, przemawia ciepło, dobrodusznie, a tamta, że temperatura, katar i tegośmego... Józef wyrywa Kunie słuchawkę i wrzeszczy:

— To nie oficer, tylko eunuch reglamentowany! To opozycja, co się podszywa pod aparat! A zdejmie gacie, to zobaczysz japońską miniaturę!

Kuna obraził się i wyszedł, ja za nim i widzę, że wsiada do tramwaju. Ja za nim. Jadę, jadę, latarni nie ma, szczere pola... Wysiadłem na brukowanym rynku, wsiadłem z powrotem, macam kieszenie, a tu ani peja, bo one poszły na zmiękczenie Kuny. Walę do konduktora i mówię, że jadę na to, i pokazuję legitymację Agencji „SEPITOL".

— Gdyby nie Dzieciątko na sianie — rzecze konduktor — to ja bym cię, kurwancja, przewiózł, żebraku nielegalny! Toż to kennkarta felernie podrobiona...

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Po północy dobiłem do miasta i żadne bydlątko nie przemówiło do mnie ludzkim głosem, albowiem dziewczyna moja o imieniu Zdzisia puściła się tej nocy z młodszym aktywistą. A po dwóch dobach boleści, w której towarzyszyła mi wierna butelczyna, co stała miłosiernie przy wersalce, wróciłem do gołębnika Szefa. Twarz naczelnego wygładzona, a oko jasne, niebieściutkie, błyska charytatywnie spod nastroszonej brwi.

— Chudzina — mówi miękko — znam ten ból. Piwaj ty na Zdzichę! Ona ci może dać, ale nie jeść bynajmniej. A że cię Kuna wywiódł w pole i puścił w Zdzichę aktywistę? Dostali cynk, skurwiele, i on cię tak odwodził od tematu. Lecz nic to, jak mawia sławny rzecznik.

— Panie redaktorze — przerwała sekretarka Mira — dzwoni dyrektor Mikołaj.

— A czy ten święty ważniejszy od rzecznika? — mruknął w roztargnieniu Szef, po czym kontynuował: — Nie chodzi o ichni nakład, Kasa. Oni nie wiedzą, że mamy na nich haka. Złamali wszakże ustawę o trzeźwości! I nim się między świętami wyciągną z kaca i z procesów, ty przed Sylwestrem będziesz w Zdroju!

— Tęsknię za źródłem, Szefie. Czy tam pędzą?

— Nie! Kasa, jakim przemysłem stoi miasto?

— Ono już trochę leży, ale lekko...

— Otóż to! Słuchaj, Kasa. Pociągniesz swoją świętą misję między świętymi albowiem właśnie w Zdroju powstaje dom dla ludzi lekkiej pracy, która faktycznie bywa ciężka. Jedź z Bogiem, Kasa, musisz być pierwszy!

Ruszyłem w pośpiechu. Autobus gnał czterdzieści na godzinę, za oknami równinne pola, senne miasteczka, niebiesko malowane chaty we wsiach. Wczesnym popołudniem stanąłem na skraju przepięknego parku. Ładnie, lecz w którą ruszyć stronę? W punkcie aptecznym powiedzieli, że trzeba iść na sagę. Przeciąłem park i zobaczyłem ten wspaniały gmach...

Dom stał w surowym stanie. Wokół strefa ochronna: wypożyczone zwały śniegu z Tatr, grząskie błoto, sterty gruzu, śmieci, cementu i przeróżnego szmelcu. Poza tym pustka, cisza, nie śpiewa ptak, nie bluźni majster i nie zgrzyta kielnia.

Nagle, zza węgła wyszedł człowiek. Stanął pod ścianą w stanie surowym i siknął na nią nieco krzywo. Zbliżyłem się taktownie, gdy człowiek się otrząsnął.

— Obcy! Nasłany, co? — szknął rzewnie, uporawszy się z rozporkiem.

— Zamierzam się zatrudnić — oznajmiłem, bo tak pouczał Szef.

— Ha, ha! Niejeden rżnął fetniaka!

Pochwycił mnie za kołnierz i wciągnął do obszernej sali, gdzie było zgromadzenie.

— Niech żyje! — wrzasnęło zgromadzenie.

— A wy kaput! — odwrzasnął ten, co mnie wciągnął. — Ten tu bynajmniej nie na imieniny. Jest absolutnie obcy...

— Niech kapuś siada i nie gada!

Dziewczyna-technik śmiała się głośno, machając wielkim nożem.

— Był fetniak — mówiła chichotliwie — co też chciał spenetrować. Jak zbrojarze go zalali i jak mu sztuczny włos wciągnęła betoniarka, wyszło, że macher od piórkowania!

Tymczasem facet w czarnym płaszczu pchnął kogoś w teren. Na stole zabłysło nowe szkło. Dziewczyna dzieliła nożem chleb i otwierała puszki.

— Niedobrze — powiedział człowiek w czarnym płaszczu. — Wczesne emerytury i słabe moce przerobowe...

— Pijaństwo i zła kooperacja — podjął sympatyczny, przyjaźnie nastrojony technik Józek.

— Najgorsze poniedziałki...

— Gubi nas alkoholizm! — krzyknął z rozpaczą blady murarz.

Zgrzytnęło w imieninowej karuzeli, obroty spadły aż do zera. Przez śnieg i błoto, poprzez park szliśmy do czynnej jeszcze knajpy. Ktoś zakapował, toteż rzucano mną od stolika do stolika. Technik Józek stwierdził, że zniszczy mnie polityka, i wyprowadził z knajpy. Snieg, brudne kałuże i gęsty mrok...

Towarzyszyła nam dziewczyna, albowiem w kieszeni płaszcza niosłem jej wielki nóż, którego bardzo pilnowała. Znalazłszy się w piętrowej willi, poczułem w butach pot. Ponieważ Józek czekał na nowy turnus, przeto w pustych pokojach przechodziliśmy z wolna na ty, pijąc wódkę i śpiewając pieśni chłopskich partyzantów. Żona nie grymasiła, albowiem prała ciężko pościel turnusową.

Rankiem mężczyzna w czarnym płaszczu odrzucił honorowo rewanż za moją wczorajszą inicjację. Wywiódł mnie w głąb parku, posadził w izolatce restauracji dla byłych prominentów i postawił koniak, kawę oraz szynkę z grzybami.

— Hej, przebrzmiało złe echo byłych kierownictw! — oświadczył ze smętkiem mędrca. — I dom dla ludzi lekkiej pracy zostanie wykończony. Lęcz ileż trzeba łamać barier, ile pić wódki, ażeby zdobyć elementy. Ramę okienną, płytki, muszle do kiblów, itepe. A tu jeszcze dokumentacja spieprzona! Projekt fatalny, a projektant umarł. Tłukę się własnym autem, żeby coś zdobyć i prostować niesławną przeszłość, proszę pana.

— Jest pan człowiekiem odnowy — westchnąłem z najgłębszym uznaniem.

— Mam psa, który poczuwszy gołdę, rzuca się na mnie i tarmosi. Zamiast codziennie pić, staję się człowiekiem aktywnym i zaangażowanym.

Potem były niedźwiedzie z Józkiem, wódka, śledzie, piwo i łzy. Jechałem pustym autobusem przez ośnieżone pola, trzęsłem się z zimna, a nerki filtrowały. Wszędzie po drodze ludzie pili, całowali się, grały orkiestry w balowych salach, cięły kapele w remizach, strzelał szampan, bulgotał na zapieckach uśmiech sołtysa oraz siarkowo-owocowy J-23.

Wsiadł Cygan ze skrzypcami i zagrał słodki romans.

— Nie wytrzymam! — jęknąłem głucho.

— Przez muzykę?

— Z powodu filtrowania...

— Ładuj pan w kieszeń! — poradził ze współczuciem Cygan.

— A to wypada?

— Jak przez chusteczkę, to wypada.

Skorzystałem z cygańskiej rady.

Byłem cały w euforii, oszołomiony własnym sukcesem.

Ale nie minęła doba, jak mój entuzjazm przygasł. Szef pobiegł do telefonu, wrócił i wrzasnął:

— Gdzie moje okulary?

— Przy telefonie.

— To je przynieś!

Przyniosłem, ponieważ Szef szroniastą brodę paskudnie miał zmierzwioną, a w oczach lodowate błyski. Po chwili do gabinetu wkroczył brodaty okularnik w dresie i oświadczył, że przybywa ze Zdroju.

— A wyście są Kasa? — rzucił pod moim adresem.

Przytaknąłem, wielce onieśmielony.

— Słuchajcie no, Kasa! Mnie nie obchodzą wasze piosenki. Ja nie chcę nawet słyszeć, coście pieprzyli w tej knajpie. Ale rzecz w tym, że oni wywiedli was z tej knajpy, by nie dotarła do was prawda...

— Człowieku, nic nie pamiętam...

— I bardzo dobrze! Tfu! To znaczy źle! Ale pamiętacie, że Szef was posłał w sprawie tego domu?

— Miałem wąchać, jak robią te wyniki.

— I co?

— Nieźle im leci.

— Zależy, w którą stronę. Gdzieżeś spał?

— W willi.

— I w tym tkwi sęk, W. Kasa! Ale wy nie sfałszujecie rzeczywistości. Tam całe ulice w takich willach A ten wspaniały dom dla ludzi lekkiej pracy już raz się zawalił...

— Jak to? — szepnąłem zdumiony. — Formalnie się rozsypał?

— Formalnie, to oni z państwowych elementów stawiają wille i wynajmują letnikom dewizowym. Wille stoją, a tamten dom się sypie! Gospodarze siedzą. Ten, u któregoś spał, W. Kasa, wyszedł przed miesiącem...

Co powiedziawszy kolega w dresie także wyszedł. Spojrzałem wzrokiem skazańca na Szefa. Uśmiechnął się, jak Mona Liza w okularach.

— Wybacz, Kasa — rzekł głosem drżącym ze wzruszenia — że dałem ci obstawę. Ale dzięki temu Popiołka szlag trafi! Jeśli opiszesz to pierwszy, nakład nam skoczy, jak cholera!

Przyjrzawszy się uważnie szczęśliwej twarzy Szefa-futurysty, pomyślałem, że teraz wszystko skoczy: nakład, optymizm i ceny. Ale ja to już chyba nie podskoczę...

Nie ma krasnoludków!

(Komentarz sceptyka)

Bardzo mi przykro, ale czuję się w obowiązku złożyć następujące oświadczenie: nie ma na świecie krasnoludków! Nie ma i już! Jest to prawda ostateczna, bezapelacyjna i niepodważalna.

No, dobrze — powiecie — a wobec tego, kto to siedzi w telefonach i łączy zupełnie inny numer niż wykręciliśmy na tarczy, albo skrzypi niemiłosiernie w słuchawce, albo stuka i czyni różne inne cuda. Telefoniści od dyrektora do najmarniejszego posłańca twierdzą, że to nie oni, wobec tego kto? Tylko krasnoludki.

Można byłoby jeszcze wiele innych dziedzin życia wymienić, w których istnienie krasnoludków zwalnia od winy i odpowiedzialności ludzi, ale nic z tego. Nie ma krasnoludków.

Krasnoludki nic mi nie zawiniły. Nawet lubiłem je, gdy jeszcze były. Ale stały się synonimem wszelkiego irracjonalizmu i w myśl racjonalizmu postanowiłem je unicestwić. Koniec z krasnoludkami.

Wiem, że są mikroelementy, które potrzebne są dla zdrowia człowieka. Zdarza się, że przy pomocy bioenergii można choremu pomóc. Bywa, że UFO w Chile atakuje kobietę. Bywa, że ktoś z kimś porozumiewa się telepatycznie. Wszystko to jest możliwe i — nie przeczę — zdarza się. Ale są to na ogół zdarzenia, których istoty nie znamy, nie rozumiemy i nie potrafimy jeszcze zbadać. Jesteśmy bezradni wobec wielu zjawisk, jakie dzieją się na naszym świecie. Nie znamy tego świata do końca i nie wiem, czy kiedykolwiek — już nie my, ale nasi następcy — go poznamy.

Unicestwienie biednych krasnoludków nie jest z mojej strony przekreśleniem wszystkiego nie poznanego. Przeciwnie, to nie poznane, przeczuwane trzeba badać, poznawać. Ale nie wierzyć w nie ślepo.

Kilka lat temu dwaj angielscy uczeni ogłosili bardzo frapującą hipotezę. Otóż w 1982 roku planety naszego układu wraz ze Słońcem miały ustawić się w jednym szeregu i to miało spowodować kataklizm na Ziemi. Nie zaraz koniec świata, ale trzęsienia ziemi, różne zaburzenia i tak dalej. Ponoć takie uszeregowanie planet i Słońca zdarza się co siedemdziesiąt kilka lat. I zawsze coś się na Ziemi dzieje. W 1982 roku miało zniknąć Los Angeles.

Dobiega końca 1983 rok i nic. W przyszłym roku w Los Angeles ma się odbyć kolejna olimpiada. I jeśli nie przeszkodzą temu trzęsienia polityczne, to geologiczne nie powinno. Przynajmniej do tej pory tego nie uczyniło.

Nasza medycyna nie jest jeszcze doskonała, a polska — w dobie kryzysu — bardzo zła. Lekarze też czasami sprawiają wrażenie, jakby spadli co najmniej z Księżyca. Często zdarza im się bezradnie rozkładać ręce. Niektórzy nawet podsuwają wtedy myśl, aby chory skorzystał jeszcze z pomocy różnych uzdrowicieli, trzeba się chwytać każdej kruszyny nadziei. Z tego przecież wcale nie wynika, że każdy chory ma odrzucić w kąt wszelkie leki i pędzić do najbliższego uzdrowiciela, tylko tam szukając ratunku. Sami uzdrowiciele przyznają, że mogą jedynie współdziałać z medycyną, pomagać jej. Ale ludzie kochają skrajności. Albo tylko medycyna, albo tylko uzdrowiciele.

Poszukiwanie prawdy nakazuje być obiektywnym. Jeśli pisze się na przykład o słynnej „baterii z Bagdadu", która ponoć przed wiekami służyła do wytwarzania elektryczności, to trzeba również zaprezentować kontrkoncepcje. Otóż bowiem mogło się zdarzyć i tak, że owa „bateria z Bagdadu" jest produktem stosunkowo młodym i pochodzi ...z początku XX wieku, kiedy arabscy złotnicy używali elektrolizy do pozłacania biżuterii. Być może wyrzucona na śmietnik została zasypana piaskiem, a później w 1936 roku — znaleziona przez niemieckiego archeologa-amatora. Nie ma więc ona 2 tysięcy lat, a zaledwie 80. Przekazy z przełomu XIX i XX wieku opisują takie prymitywne baterie i sposoby ich używania. Trzeba czytelnikowi i ten fakt podać pod rozwagę, aby mógł świadomie opowiedzieć się za którąś z koncepcji, a nie sugerować mu tylko, że przed 2 tysiącami lat ówczesnym ludziom potrzebna była do czegoś elektryczność. Do czego?

No dobrze, a co z tymi dziwnymi przedmiotami, które fruwają po niebie? Sam jeden taki widziałem i kiedy mi wmawiano, że to był bolid, nie mogłem się z tym zgodzić. Do dziś się z tym nie godzę, ale też i nie potrafię odpowiedzieć na pytanie: co to było? Niezidentyfikowany obiekt latający — to jedyna odpowiedź, która niemal wszystkim kojarzy się z tajemniczymi statkami tajemniczych zielonych ludzików. A niezidentyfikowany znaczy tylko niezidentyfikowany i nic więcej. Ale proszę to niektórym wytłumaczyć.

Przez cały czas, gdy piszę siedzi coś małego, z brodą i w czerwonej czapeczce na 4 tomie „Encyklopedii Powszechnej PWN", macha nogami i śmieje się ironicznie. Dlaczego akurat na 4 tomie? Nic z tego nie rozumiem. Czyżby to miało coś znaczyć?

Nie! Nie dam się omamić. Krasnoludków nie ma na świecie, co zostało już raz postanowione. Nieodwołalnie!

ZENON POROWATY

Hipotezy

Czy istnieje wędrówka dusz?

Wspomnienia z „poprzedniego życia"

I.

Angielski psychiatra Aleksander Cannon był chyba pierwszym, który w naszych czasach polecał swym pacjentom, znajdującym się w stanie hipnozy, „przeżywać" jeszcze raz swą przeszłość. Odkrył on wtedy, iż niektórzy z nich „cofani" wstecz, daleko poza moment urodzin, napotykali, po dłuższym lub krótszym okresie czasu, na sceny z jakiegoś innego — jakby poprzedniego — życia...

Cannon pisał: *„...Każdy człowiek żył już kiedyś i pod wpływem hipnozy może sobie to poprzednie życie przypomnieć (...) Przez długie lata uważałem, że teoria reinkarnacji jest tylko zwykłą legendą o duchach, jak wiele innych, a medium, które na ten temat mówiły, zarzucałem po prostu brednie. Ale w miarę upływu czasu widziałem, że jedno medium po drugim relacjonuje zupełnie to samo, mimo wielu różnic światopoglądowych. W ostatnich latach przebadałem ponad tysiąc wypadków i muszę obecnie stwierdzić, że coś takiego jak reinkarnacja rzeczywiście istnieje..."*

Ogólnie biorąc zjawisko „cofania" osób hipnotyzowanych, aż do momentu gdy zaczynają przypominać sobie poprzednie swe życie, znane było już od dawna. Wspomina o nim Maurycy Maeterlinck w swej słynnej książce pt. „Śmierć", napisanej na początku naszego stulecia. Mówi tam o doświadczeniach badacza nazwiskiem de Rochas: *„...Pułkownik de Rochas jest, co trzeba od razu podkreślić, uczonym poszukującym prawdy obiektywnej, ze ścisłością i uczciwością naukową nigdy nie podejrzewaną. Usypia pewne wyjątkowe osobniki za pomocą pociągnięć podłużnych i każe im opowiadać cały ciąg swego życia. Doprowadza je w ten sposób z wolna do młodości, wieku chłopięcego i najwcześniejszych lat dzieciństwa. Za każdym z tych etapów hipnotycznych, dany osobnik odnajduje świadomość i charakter umysłu odnośnego okresu życia. Przechodzi wstecz wszystkie wydarzenia, szczęście ich i cierpienia. Jeśli uśpiony bywał chory, przechodzi przez swą chorobę, rekonwalescencję i wyzdrowienie. (...) Weźmy dla ścisłości przypadek najprostszy. Przedmiotem badań jest 18-letnia dziewczyna, Józefina, Mieszka w Voiron, departament Izery (...) Doprowadzona do niemowlęctwa przy piersi, przechodzi z wolna w stan niemoty, potem w stan bardziej jeszcze tajemniczy, odpowiada jeno znakami — nie urodziła się jeszcze, „tkwi w ciemni". Eksperymentator nalega, sen staje się coraz głębszy i nagle, z jego głębin dolatuje głos innej istoty, nieznany i nieoczekiwany, głos ostry starca podejrzliwego i gniewnego (...) Zrazu nie chce odpowiadać, mówiąc, że przecież „jest" skoro mówi, „ale nie widzi niczego w ciemni." (...) Zwie się Jan Klaudiusz Bourdon, jest stary i z dawna obłożnie chory. Opowiada swe życie. Urodził się w Chapvent w gminie Polliast, roku 1812. Do lat 18 chodził do szkół, służył w 7 pułku artylerii w Besancon. Po powrocie do kraju nie ożenił się, lecz wziął metresę. Starzał się i zmarł samotnie w 70-tym roku życia, po długiej chorobie (...) Idzie teraz o to, by wyjść poza Jana Klaudiusza. Magnetyzacja trwająca przeszło trzy kwadranse, nieprzerwana na żadnym z etapów, przeistacza zmarłego starca w małe dziecko. Nastaje ponownie milczenie, potem odzywa się od nowa nieoczekiwana osobistość. Jest to stara, zła kobieta, dotknięta cierpieniem. (W tej chwili nie żyje, bowiem w tym odwróconym na wspak świecie, wszystkie żywoty zaczynają się od końca) (...) Mówi słabym głosem, ale odpowiada zawsze ściśle na pytania, miast gawędzić jak Jan Klaudiusz. Zwie się Filomena Oarteron..."*

Wróćmy jednak do naszych czasów. Oto konkretny przypadek: osobą zahipnotyzowaną była Virginia Tighe, lat 29, z zawodu gospodyni domowa, zamieszkała w USA. W transie hipnotycznym (w dniu 22 stycznia 1953 r.) stwierdziła, że żyła już przed tym jako Bridey Murphy w miejscowości Crock w Irlandii. Jednakże po obudzeniu nadal nic nie wiedziała o swym poprzednim wcieleniu. Następnie takie seanse były powtarzane i zawsze z tym samym, pozytywnym, skutkiem. A oto — w skrócie — życie Bridey Murphy, jakie miało miejsce ponad sto lat temu, poskładane z ułamków wspomnień relacjonowanych w kolejnych seansach:

Bridey urodziła się 20.XII.1798 r. w Crock w Irlandii. Jej ojciec imieniem Duncan był rolnikiem, młodszy brat zmarł na „coś czarnego", gdy miała zaledwie cztery lata. Bridey wyszła za mąż za miejscowego urzędnika, zmarła zaś w roku 1864, bezdzietna, w następstwie upadku ze schodów i złamania kości miednicy. Oto zwykłe, niczym szczególnym nie wyróżniające się życie. I to właśnie zafascynowało badaczy. Bowiem dużo mniej prawdopodobnie brzmiałoby, gdyby to było życie opisujące na przykład jakiś niezwykły romans czy wspaniałą, pełną przygód historię. Mogłoby wtedy wyglądać na relacje z przeczytanej książki, oglądanego filmu, lub czyjegoś opowiadania.

Życie Bridey Murphy przedstawione zostało dość dokładnie na tle ówczesnej epoki i stosunków w Irlandii z opisem miejsc, budynków i dalszej okolicy, tak, jak one w tym czasie wyglądały. Podane również zostały niektóre zwyczaje, a nawet słowa ówczesnej gwary, jakich w roku 1953, od bardzo dawna nikt już nie pamiętał. Przeprowadzono szczegółową weryfikację tych relacji. Starano się (z dużym nakładem pracy) sprawdzić czy to, co Bridey Murphy podała, odpowiada warunkom i stosunkom, jakie panowały w Irlandii w pierwszej połowie XIX wieku. Oczywiście fakt istnienia w miejscowości Crock kobiety pod nazwiskiem Bridey Murphy nie mógł być udowodniony, gdyż rejestracja metrykalna została w Irlandii wprowadzona dopiero po 1864 roku, odkryto jednakże, iż świetnie znała ona epokę, w której przebiegało jej poprzednie życie. Podała ponad trzydzieści różnych szczegółów i informacji, których Virginia Tighe nie mogła znać, nawet gdyby przez całe lata systematycznie studiowała historię i etnografię Irlandii XIX wieku.

Virginia Tighe przekazała nam również niektóre szczegóły odnośnie wydarzeń, jakie nastąpiły po śmierci Bridey Murphy:

„...Z chwilą gdy zmarłam, nie nastąpiło nic z tego co mi zapowiedział ksiądz John. Nie dostałam się do czyśćca, pozostałam na razie w domu przy moim mężu Brianie. Widziałam jak pogrzebał on moje ciało, a czas przestał dla mnie istnieć (...) Pozostałam na miejscu aż umarł ksiądz John, widziałam jak on często przychodził i dyskutował z mym mężem. Ciągle chciałam jakoś powiedzieć mężowi, by się nie bał śmierci, ale on nie mógł mnie słyszeć. Wtedy odeszłam od niego i udałam się do mojej rodzinnej miejscowości Crock. Zobaczyłam tam mego brata, który jeszcze żył. Stałam koło jego łóżka i przemawiałam do niego, ale on również mnie nie słyszał ani nie widział (...) Wtedy udałam się do „wielkiej przestrzeni", było tam wielu innych ludzi, wspólnie oczekiwaliśmy na następne życie..."

Znalazło się oczywiście wielu przeciwników, którzy starali się udowodnić, iż przypadek Bridey nie jest żadnym dowodem *„życia przed życiem"*, lecz tylko rzadkim, naukowo niewytłumaczalnym zjawiskiem. Między innymi kilku amerykańskich psychoanalityków opublikowało w czasopiśmie „Scientific Report" artykuł mówiący, że Virginia Tighe czuje się w stanie hipnozy bardzo ściśle związana z hipnotyzerem, jak gdyby była jego narzeczoną (słowo Bridey oznacza w języku irlandzkim „narzeczona"). Zachodzi tu więc — zdaniem lekarzy — przypadek chorej osobowości, cierpiącej na rozdwojenie jaźni, która sama o tym nie wiedząc, zakochana jest w swoim ideale...

II.

Angielski psychiatra, dr Arnall Bloxham w swej ponad czterdziestoletniej praktyce przywrócił zdrowie setkom chorych za pomocą leczenia hipnozą. Niektórym pacjentom, znajdującym się w śnie hipnotycznym, kazał opowiadać ich przeszłość i to nie tylko od momentu urodzenia, lecz, jeżeli to możliwe, także z „poprzedniego życia". Wiele tego rodzaju seansów było udanych, stąd doktor Bloxham posiada obecnie setki taśm magnetofonowych z nagranymi tego rodzaju relacjami. Publicysta i dziennikarz telewizyjny I. Iverson napisał na tej podstawie książkę pod tytułem „Czy żyjemy tylko raz?" („More lives that one?" — London 1976). Podaje w niej szereg przypadków, gdzie znajdujący się w stanie hipnozy ludzie oświadczali, że żyli już kiedyś, przed dziesiątkami lub setkami lat. Miało to miejsce przeważnie w zupełnie zwyczajnych warunkach codziennego dnia danej epoki, stąd poważne trudności przy próbach zbierania dowodów odnośnie autentyczności tych relacji. Jak bowiem wiadomo, historia naszej przeszłości podaje bardzo niewiele szczegółów z codziennego życia w dawnych czasach, zawiera przy tym luki i zniekształcenia przeważnie z braku wiarygodnych źródeł. Stąd wielu przekazywanych przez pacjentów informacji nie można było sprawdzić. Niemniej stwierdzono, iż podawali oni prawdziwe (choć często mało istotne) fakty, których, jak się wydaje, absolutnie nie mogli znać.

Doktor Bloxham obserwował jak stawali się oni wtedy jakby zupełnie innymi osobami. Na przykład niejaki Graham Huxtable, pochodzący z Walii, kulturalny i dystyngowany pan, przekształcił się w marynarza, obsługującego armatę na angielskiej fregacie w okresie wojen napoleońskich. Głos jego nabrał głębszych tonów, zaczął mówić innym akcentem, mowa jego stała się ordynarna, a ponadto przerywana była ciężkim kaszlem. Podał on wiele szczegółów z życia ówczesnych marynarzy, które od dawna już zapomniano (potwierdzone one zostały później przez specjalistów z Muzeum Morskiego w Greenwich). Seans z tym „marynarzem" zakończył się relacją o trafieniu go w czasie bitwy kulą z nieprzyjacielskiego okrętu, która urwała mu nogę. Okrzyki i jęki bólu zahipnotyzowanego były tak straszne, że dr Bloxham musiał przerwać seans, a następnie zapewnić pana Huxtable, iż posiada nogę zdrową i całą!

Oczywiście tego rodzaju wypadki były dość rzadkie. Nigdy też hipnotyzer (ani zahipnotyzowany) nie wiedział czy dojdzie do relacji z poprzedniego istnienia. Jeżeli jednak już się to stało, pacjenci zachowywali się zawsze tak, jakby z całym realizmem przeżywali znów swe poprzednie życie. Natomiast po obudzeniu nie o tym wszystkim nie wiedzieli.

Szczególnie ciekawy był przypadek jednej z pacjentek, która w kilku seansach opowiedziała sześć swych kolejnych wcieleń, jakie miała rzekomo w przeszłości. Była więc najpierw żoną nauczyciela gimnastyki w czasach panowania Rzymian w Wielkiej Brytanii w III wieku n.e., następnie żoną żydowskiego kupca w prowincji York, około 1190 roku. W obu tych relacjach wspomniała między innymi, o prześladowaniach jakich doznawała: w pierwszym wypadku jako chrześcijanka, w drugim jako Żydówka. Stwierdzono, że faktycznie w tym okresie miały w Anglii miejsce tego rodzaju prześladowania. Wiele dalszych ciekawych szczegółów z jej sześciu „odcinków życia" zostało później zbadanych i sprawdzonych.

Inny przypadek dotyczył pewnego dziennikarza, który po zahipnotyzowaniu „zmienił się" w adwokata z pierwszej połowy XIX stulecia, który przegrał właśnie ważną sprawę przed sądem. Irytował się, że dr Bloxham nie zna nazwiska jakiegoś wyższego sędziego z tych czasów. Gdy hipnotyzer zapytał go czemu nie założył apelacji, usłyszał w odpowiedzi pytanie: *„A co to jest apelacja?"* Lekarz był zdumiony: prawnik nie wie co to jest apelacja? Lecz w trakcie badań sprawdzających, okazało się, że możliwość apelacji od wyroku sądowego wprowadzona została w Anglii dopiero począwszy od roku 1873. Było więcej takich przypadków, gdy dr Bloxham zadając zahipnotyzowanym niewłaściwie sformułowane pytania, zdumiony był odpowiedziami, które, jak się później okazywało, świadczyły o jego niewiedzy z zakresu historii, kultury i obyczajów. Czasem też odpowiedzi udzielane były w zupełnie zapomnianym dialekcie, obecnie prawie nie do zrozumienia. Świadczy to, iż w ramach cofania się pacjentów w daleką przeszłość zmieniali się oni, coraz bardziej „wcielając się" w swe osobowości. Inny badacz problemów związanych z reinkarnacją, niemiecki psycholog i hipnotyzer Thorwald Dethlefsen, opublikował (1974 i 1976 r.) dwie książki pod tytułem „Życie po życiu", zawierające między innymi protokoły z szeregu rozmów z zahipnotyzowanymi pacjentami, w czasie których podawali oni szczegóły z ich poprzedniego życia.

Gdyby przyjąć, że relacje te są całkowicie prawdziwe, istnieje nadal bardzo wiele niewiadomych. Na przykład nikt z zahipnotyzowanych nie umiał wytłumaczyć gdzie znajdował się w czasie pomiędzy poszczególnymi „wcieleniami". Wszyscy mówili tylko, że *„widzą dookoła ciemność"*...

III

Przeciwnicy reinkarnacji wysuwają konkretne zarzuty, skierowane przeciwko podawanym w seansach informacjom, twierdząc, że są one w głównej mierze sugerowane przez osoby prowadzące tego rodzaju seans. A oto niektóre z tych zarzutów oraz próby ich wyjaśnienia:

1. Na skutek powstawania pewnego szczególnego stanu w psychice, jaki ma miejsce właśnie w czasie hipnozy, możliwe jest, iż hipnotyzer sugeruje (narzuca) pacjentowi taką odpowiedź, jaką chce usłyszeć.

Uważne czytanie protokołów z tych seansów wskazuje, że pytania formułowane są krótko i prosto, nie można więc chyba dopatrzyć się, by kryło się w nich sugerowanie takiej a nie innej odpowiedzi. Poza tym od czasu do czasu zadaje się pacjentom świadomie podchwytliwe pytania: na przykład by podał markę swego samochodu, czy nazwę telewizora itp. Mimo to nigdy się nie zdarzyło by osoba badana znała któreś z tych urządzeń lub używała ich w minionych żywotach. Z zasady nie wiedzą oni co słowa takie oznaczają, nie znają również naszych codziennych pojęć i nazw, jak na przykład: mleko w torebkach plastykowych itp.

2. Hipnotyzer może telepatycznie przekazać pożądane dla siebie odpowiedzi odnośnie szczegółów lub wydarzeń z poprzednich żywotów.

Nauka nie potwierdziła dotąd funkcjonowania telepatii, problem znajduje się nadal w sferze hipotez. Na razie udało się jedynie (i to w dużym stopniu przypadkowo) przesłać „telepatycznie" najprostsze figury geometryczne względnie pewne obrazy. W tej sytuacji przekazywanie pacjentowi trudnych i skomplikowanych problemów psychologicznych, a przede wszystkim całych „scenariuszy" poprzednich żywotów jest — jak się wydaje — technicznie niemożliwe. Hipnotyzer nie mógłby także, nawet gdyby technika telepatii była w pełni opanowana, przekazać osobie badanej wielu istotnych szczegółów, gdyż potrzebna byłaby do tego ogromna interdyscyplinarna wiedza: historyczna, etnograficzna, socjologiczna itd.

3. Wszelkie wydarzenia z poprzedniego życia są czystą fantazją, skonstruowaną z dat i faktów, jakie w obecnym życiu zarejestrowane zostały przez pamięć hipnotyzowanego w wyniku, na przykład, przeczytanych książek, oglądanych filmów, obserwacji przeżyć innych ludzi itd. Są one wydobywane z podświadomości w „momencie szczególnym" dla organizmu, jakim jest właśnie sen hipnotyczny.

Nawet fantazja oparta musi być na pewnych konkretnych szczegółach, gdyż nie istnieje „czysta fantazja". Podane fakty i daty winny więc mieć konkretne pochodzenie i kojarzyć się w logiczną całość, co jest niezmiernie trudno wymyślić.

ANDRZEJ DONIMIRSKI

1 Sport

Czego nie może sędzia piłkarski?

Sędzia piłkarski nie może brać łapówek, być stronniczym, niesprawiedliwym, nie przestrzegać przepisów. Sędzia piłkarski nie może też bać się publiczności, gdy ta krzyczy: „sędzia kalosz" i wymyśla mu w sposób absolutnie niewybredny. Sędziemu piłkarskiemu nie wolno mieć zadyszki, musi być w znakomitej formie fizycznej i psychicznej także. Jak z tego widać niełatwo jest być sędzią piłkarskim.

Po bolsku biega 20 młodych ludzi ubranych w kolorowe koszulki i spodenki. Dwóch młodych ludzi, też ubranych na kolorowo stoi między słupkami obleczonymi siatką. 20 młodych ludzi gania za piłką i usiłuje wbić ją do siatki, a ci dwaj temu przeszkadzają. Wśród tych 22 młodych ludzi ugania się trzech panów ubranych na czarno: jeden w środku i dwóch po bokach. To właśnie są sędziowie piłkarscy. I to można obejrzeć na każdym meczu. Co w tym jest dziwnego?

Ano jest coś. Choćby tylko to, że połowa z tych 22 młodych ludzi dostanie za swoje bieganie i kopanie piłki solidne premie. Panowie w czerni — parę drobnych groszy. Również dziwne jest i to, że owi młodzi ludzie za swoje bieganie i kopanie dostają spore sumy jako stypendia, a w gruncie rzeczy jest to ich płaca za pracę, natomiast panowie w czerni biegają i gwiżdżą lub machają chorągiewkami jedynie... z miłości do futbolu. Czasami jakiś klub chcąc pozyskać ich sympatię zaprosi na kolację i wsunie delikatnie do kieszeni kopertę z paroma „kopernikami" co brzydko nazywa się łapówką lub przekupstwem. Ale sędziowie piłkarscy oburzają się na takie posądzenia, wołając głośno, że nikt ich za rękę nie złapał. A za brzydkie posądzenia można stanąć przed sądem i odpowiadać za pomówienie, czyli za oszczerstwo lub zniesławienie, co kto woli.

Sędziów piłkarskich w Bydgoszczy też posądzano o brzydkie rzeczy, aż sprawą zainteresowała się prokuratura. Stwierdziła ona kilka poważnych uchybień. Oto jeden z sędziów bydgoskich dostał od kierownika klubu „Sparta" w Przesiersku 1 440 złotych polskich za mecz, który się nie odbył. Inny sędzia piłkarski zawyżył ryczałty, jakie się należą sędziemu, o 220 zł, a w drugim wypadku o 170 zł. Oto na przykład sędzia piłkarski za sędziowanie meczu między młodzikami starszymi z Brdy Bydgoszcz i „Kaminki" pobrał... 150 zł zamiast 100 zł.

Ile wynosi właściwy ryczałt?

Właściwy ryczałt wynosi 340 złotych polskich!

Zawyżanie ryczałtu nawet o 5 złotych jest rzeczą naganną. Wcale nie namawiam sędziów piłkarskich ani w Bydgoszczy, ani gdzie indziej do zawyżania ryczałtów. Śmieszy mnie tylko inna sprawa. Ta nierówność między ludźmi biegającymi w tej samej sprawie po piłkarskim bolsku. Jedni biegają za dużą premię drudzy za parę marnych groszy.

Może komuś wyda się to cyniczne, co teraz napiszę, ale trudno dziwić się sędziemu piłkarskiemu, że przyjmuje zaproszenie na kolację i udaje, iż nie widzi, jak przyjazna ręka wkłada mu kopertę do kieszeni. Z czystej sympatii oczywiście i całkowicie bezinteresownie, ot po prostu, aby sędziemu nie było przykro, że inni dostali, a on, biedak też się nabiegał i nic.

Mamy taki już dziwny sposób myślenia, że lubimy na czymś oszczędzać, a wiadomo, oszczędność jest cnotą. Więc my chcemy być cnotliwi, my szanujemy cnotę. Kombinujemy sobie tak: sędziów jest naprawdzie niewielu i podniesienie wysokości ryczałtów, zwłaszcza, że wszystko drożeje, nie stanowiłoby kłopotu. Ale sędziowie zaraz by się rozpuścili, zdemoralizowali, rozpieścili. Byłoby im za dobrze. A po co to? Komu to potrzebne, komu to ma służyć? Piłce nożnej? Nie. Czy komu potrzeba, aby sędzia spał w luksusowym hotelu, przed meczem dobrze wypoczął, zjadł solidne śniadanie? To kosztuje. Jak sędzia chce, to niech dołoży z własnej kieszeni. Miłość musi kosztować. Kocha futbol, to niech ponosi ofiary. A jak nie umie sobie jakoś poradzić to jest faktem, że na sędziego się nie nadaje. Zaradny sędzia jakoś sobie radzi z każdym klubem i PZPN nic to nie kosztuje. Oszczędność ogromna. Można to uwypuklić w sprawozdaniu, podkreślić w referacie, zapisać w statystyce. Proszę jacy to my jesteśmy oszczędni!

Żenujące są te sumy, o jakie zawyżyli ryczałty i delegacje sędziowie w Bydgoszczy. Czyta się prokuratorskie wystąpienie w tej sprawie i robi się człowiekowi smutno. Nic nie usprawiedliwia nikogo, wszelkie fałszowanie i naruszanie przepisów, niezależnie od wysokości sumy jest jednakowo naganne i powinno być karane. Ale żal mi tych ludzi, którzy dla 170 lub 220 złotych dopuszczają się fałszerstwa. Czy robią to z chciwości?

W Bydgoskim Okręgowym Kolegium Sędziowskim działo się w ogóle źle i te wszystkie ujemne zjawiska obszernie omawia prokutorskie wystąpienie. Zadaniem PZPN jest wyciągnąć z tego właściwe wnioski. Inną sprawą natomiast jest stwarzanie sytuacji amoralnych które niejako usprawiedliwiają drobne nadużycia, ale przy tym wyrządzają znacznie poważniejsze szkody społeczne. Czymś takim jest pozorne oszczędzanie. I o tym też PZPN powinien pomyśleć.

BOGDA MADEJ

2 Zdarzenia i zwierzenia

Na luzie

Kończy się kolejny rok i tradycyjnym zwyczajem wszystkich felietonistów wypadałoby go podsumować. Uważam jednak, że raczej dość mamy wszelkich podsumowań, syntez i prognoz. Nie będzie to zatem felieton świąteczno-optymistyczny, lecz powszedni zapis naszej codzienności.

A codzienność ta wygląda tak, że gdzieś tam w Łomżyńskiem, na skutek czyjejś głupoty spuszczono do ścieków śmietanę za dwa miliony złotych. Albo w Suwalskiem inni bracia-Polacy zniszczyli sery za dwieście milionów złotych. Natomiast w całej Polsce na ponad 11 milionów zatrudnionych w gospodarce uspołecznionej nie przychodzi codziennie do pracy ponad 2 miliony ludzi. Z prostego rachunku wynika więc, że codziennie 9 milionów osób oraz cuje na utrzymanie 36 milionów Polaków. Jaka praca, takie utrzymanie.

Myśląc o tych, niezaprzeczalnych przecież faktach trudno mi spędzać święta „na luzie".

Spokój świątecznej siesty zakłóca także nadmiar wyobraźni... Co prawda dla poważnej części społeczeństwa rakiety instalowane o pięć minut drogi od Warszawy i Łodzi są tylko elementem propagandy. Dziennika Tv, a nie realnym zagrożeniem — ale czyjaś beztroska czy ciemnota nie może zniewalować mojej wyobraźni. Nie wiem bowiem, czy mojego wnuka, który narodzi się za miesiąc, zdążę jeszcze zaprowadzić do przedszkola... W tej sytuacji świąteczna „zwyczajna" staje kością w gardle.

Ludzie starsi, pamiętający jedną, albo dwie wojny, w naturalnym odruchu myślą o zapasach żywności. Ludzie młodsi, którzy o wojnie wiedzą tyle, co zobaczyli w „Czterech pancernych", żartują beztrosko, że „pięć minut można wytrzymać bez jedzenia"...

Jeśli, mimo wszystko, ten felieton staram się utrzymać na jakim takim luzie, to dlatego, że jednak sytuacja zaczyna się normalizować. Nie tylko dlatego, że nikt już nie demoluje kiosków z powodu papierosów, zapałek, mydła i żyletek, ale dlatego, że „przepraszają" się z rzeczywistością (żeby nie powiedzieć z władzą) ludzie, dalecy co prawda od akceptacji systemu, ale na tyle mądrzy, aby w nim zobaczyć j e d y n ą polską alternatywę.

Pokazujący władzy język na pamiętnym warszawskim Rondzie Jan Pietrzak otwiera w „reżimowej" Warszawie swój kabaret, w którym leitmotiv „żeby Polska była Polską" brzmi dziś nie po reaganowsku, ale mądrze — po polsku. Stefan Kisielewski, niegdyś obrzydzający światu „ten system" w licznych powieściach drukowanych w Paryżu, wraca dziś na łamy polskiej prasy, wykazując właściwą sobie mądrość, która chyba niebawem zacznie drażnić redaktorów „Tygodnika Powszechnego".

Przy okazji ciekawostka. Na jednej i tej samej kolumnie krakowskiego tygodnika jeden felietonista bezlitośnie drwi z „reżimowego" pisarza za „umiłowanie przyrody ojczystej" a drugi wielbi poetę Karola W. za... „umiłowanie przyrody ojczystej". Jak widać panowie albo nie uzgodnili stanowisk, albo wyznają filozofię Kaiego. „Jeśli Kali ukraść — to dobrze; jeśli Kalemu ukraść — to źle".

A jednak mimo „Pershingów", zapiekłej nienawiści, mimo zacietrzewienia i głupoty coś drgnęło w szarych komórkach. Na pewno trudno dziś spędzać święta „na luzie", ale jednak nie będą to święta przeżyte w kolosalnym napięciu, w oczekiwaniu na grom. Nie „na luzie", ale jednak z głębszym oddechem.

JERZY WILMAŃSKI

3 Nagłe zastępstwo

Mała szopka świąteczna

Zauważyli zapewne czytelnicy, że „Odgłosy" wbrew tradycjom tygodników tego typu nie publikują w okresie świąteczno-noworocznym szopek politycznych lub literackich. W tym roku padł wprawdzie na kolegium redakcyjnym, poświęconym projektowaniu numeru świątecznego, projekt zamieszczenia szopki, ale upadł tak prędko jak padł.

Po pierwsze nie mamy armat. Szopka nic nie warta bez dobrych karykatur, tymczasem grafik redakcyjny stanowczo odmówił karykaturowania kogokolwiek. Rzecz w tym — powiedział — że część moich kolegów z rozwiązanego związku artystów plastyków już i tak ma mi za złe współpracę z prasą reżimową. Jeśli teraz narysuję karykatury wicepremierów i ministrów, a także prominentów lokalnych, to są dwie możliwości: albo uznane zostaną za ostre i złośliwe, co koledzy podchwycą i skomentują — patrzcie, jaki wredny! Kąsa rękę, co go karmi. Jeśli natomiast karykatury (co bardziej prawdopodobne) uznane zostaną przez kolegów plastyków za łagodne, dopną mi łatkę panegirysty i malarza dworskiego. Nikt mi już ręki nie poda w klubie plastyków.

Zresztą zajmuję się intensywnie bilansowaniem swoich rocznych dochodów. Wcale nie wiadomo, czy honorarium za karykatury do szopki akurat nie przekroczy jakiegoś progu podatkowego i beknę na podatku wyrównawczym. Ja już lepiej w tym roku nic nie narysuję — strzeżonego pan Bóg strzeże!

Blisko związany z redakcją poeta Jerzy W. także odmówił pisania złośliwych wierszyków pod teksty modnych przebojów. Do tych melodii, co są teraz modne — rzekł — żadną miarą nie potrafię pisać tekstów wybaczcie talent za mały, czy też może ucho już nie to. A przecież w szopce nie można bez przerwy lecieć na krakowiaczkach i klasycznym szlagierze pt. „Gęsi za wodą".

Wyzłośliwiać się pod adresem rządowych prominentów też mi jakoś nieskoro — dodał po namyśle — pomyślcie tylko, co za przyjemność bić w Krasińskiego, kiedy Krasiński i tak się odegra po nowym roku... albo w takiego ministra Kukurykę. Przecież jako szef budownictwa jest właściwie ministrem bez teki, podobnie jak minister handlu. Jak zresztą można robić dowcipy o ministrze od aprowizacji, co się nazywa Łakomiec. Kiepski dowcip, poniżej mojego poziomu. Mogę napisać felieton o zapomnianym poecie Dzierżykray-Podgórskim, autorze dwóch sonetów o urokach Lutomierska pod Łodzią, to wszystko.

Dwaj autorzy sensacyjni, Wit Kasa i Jakub Łaski wręcz oburzyli się na propozycje pisania wierszyków do szopki.

My — wrzasnęli chórem — uprawiamy wyłącznie publicystykę bardzo poważną i odpowiedzialną. Żadne wierszyki. W naszej prozie tylko rzetelny opis codziennej rzeczywistości, sama prawda życia i dokument epoki.

Najstarszy wiekiem i najpoważniejszy członek kolegium redakcyjnego Jerzy K. nie zabierał głosu. Siedział w kącie z notatnikiem, pochylony nad niedużą wanienką. Rozmawiam — oświadczył — z karpiem. Bardzo pouczające...

Potraktowaliśmy z pewnym zniechęceniem tę ewidentną wymówkę a wzrok naczelnego padł, z błagalną lezką w oku, na kierownika literackiego.

Ten, w najlepszej wierze chcąc pomóc kierownictwu redakcji zaproponował nieśmiało:

— Wiem, że fundusze preliminowane przez redakcję na honoraria dla autorów szopki są raczej skromne. Skłonny jestem do ufundowania własnego, że tak powiem, funduszu motywacyjnego w postaci statuetki. Nazwijmy ją na wzór amerykańskiego Oscara, podobnie, tylko jakoś skromniej. Np. Igor!

Szefowi chyba niezbyt odpowiadała koncepcja specjalnej nagrody i spojrzał bacznie na felietonistkę sportową, Bogdę M. Ta spąsowiała jak zwykle w takich razach i przytomnie skontrowała nie wypowiedzianą jeszcze propozycję:

— Na co dzień piszę o sporcie, toż to też szopka!

Argument skrzętnie zastosowali do swoich zajęć: publicystka ekonomiczna Teresa J., felietonistka handlowa „Klientka" oraz reporter parający się problemami służby zdrowia, Edward B. Zrobił się harmider, każdy starał się udowodnić na podstawie własnych tekstów, że jako szopkarz może i powinien być w najbliższej przyszłości potraktowany jako egzemplarz wyeksploatowany i przeceniony.

Pewne zakusy szopkarskie wykazywał reporter Dariusz D., ale prędko powstrzymał o kuksańcem niejaki Życiowy, skądinąd bliski przyjaciel Dariusza D. Słusznie. Życiowy starszy i doświadczony powinien hamować młodego zapaleńca.

Ale szopka — mruknął do publicystki Jolanty W. reporter Paweł T. i poszli do baru na rogu posilić się fasolką po bretońsku.

Dyskusję zakończył naczelny w tonie pesymistycznym: — Wyślę telegram do Nienackiego, może ma coś na podorędziu... Proszę o szczegółowy protokół z kolegium.

Oto jest.

ANDRZEJ KAROL

4 Lewym okiem

Dziwne sprawy przy ulicy Goplańskiej

Przez wiele pism w ostatnich tygodniach przeszła fala artykułów i informacji o kilkunastoletniej dziewczynce na Śląsku w obecności której zaczynały się dziać dziwne rzeczy: przedmioty martwe fruwają w powietrzu, szklanka przebija zamknięte drzwi i wali w kredens w sąsiednim pokoju, coś spada coś podskakuje, coś pęka na kawałki. Komentarze pełne są przypuszczeń co do metakinezy, parakinezy, promieni i sił biomagnetycznych.

Piszą ci, co byli widzieli — a może nie wiedzieli, tylko słyszeli od tych, co twierdzą, że widzieli. Nie wiem i niczego tu dodać nie mogę. Mogę natomiast przypomnieć, że i nasza Łódź nie od macochy, u nas też fruwały żelazka i to pięćdziesiąt lat wcześniej, niż na Śląsku. Czytajmy:

„Szereg sensacyjnych reportaży omawiał ostatnio w prasie zjawiska w domu przy ul. Goplańskiej w Łodzi, gdzie mieszka rzekome medium, szesnastoletnia Stanisława Bogaczykówna. Sprawa jest dość banalna: przedmioty latają, naczynia spadają na podłogę ukazują się zjawiska świetlne i podobno nawet materializacje. Wypadki takie sporadycznie powtarzają się w prasie co jakiś czas. Charakterystycznym jest natomiast stanowisko lekarzy, którzy absolutnie nie mają odwagi wypowiedzieć się co do tych zjawisk mimo nagabywania łódzkiej prasy. Jeden tylko konstatuje przynajmniej, że ma do czynienia z objawami mu **nieznanymi**, ale **autentycznymi**. Reszta wytacza nadużyte już niejednokrotnie wielkie działa celujące w oszustwo, łatwowierność tłumu, sugestię histerię i temu podobny arsenał wiedzy urzędowej. Jakże długo, o medycyno!"

Cytat powyższy zaczerpnąłem z marcowego numeru kwartalnika „Słoneczniki" z roku 1933. „Słoneczniki" nosiły podtytuł: „Przegląd wiedzy pomijanej" i redagowane były przez znaną wtedy pisarkę i poetkę, Marię Szpyrkównę, autorkę zwłaszcza książek dla dzieci („Będziesz maleńką", „Józikowa niedziela", „Kariera Haneczki" i inne. Po wojnie w roku 1963 wznowiono też zbiorek poezji — „Sztychy gdańskie"). Szpyrkówna pasjonowała się „wiedzą pomijaną", spirytyzmem zjawiskami paranormalnymi. Łamy swego kwartalnika udostępniała najdziwniejszym wiadomościom, podawanym z całą powagą i wiarą w ich autentyczność. Opisywano tam na przykład przypadki „aportów", które polegać miały na zdematerializowaniu przedmiotu i jego ponownej materializacji.

„Klasycznym medium w całym tego słowa znaczeniu jeśli chodzi o zjawiska aportów, był Stanisław Zborowski — pisze na łamach „Słoneczników" jeden z jego współpracowników, Korwin-Ostrowski. — Aportował dosłownie na zawołanie. Przynosił to, czego żądano, o ile stało to w zgodzie z jego etyką medialną.

Nowicjusz seansowy i sceptyk, inż. Prz. ze Lwowa, zażądał raz na seansie przyniesienia mu klucza od swojego pokoju, zawieszonego na ścianie w jego mieszkaniu, w przedpokoju. Dodać należy, że seans odbywał się w zupełnie innej stronie miasta. Życzenie to Zborowski spełnił. Klucz upadł na podłogę — własny klucz pana Prz., którym to kluczem w godzinę później, sam, w obecności komisji ad hoc wydelegowanej — pokój otworzył".

Myślę, że przy takich zdolnościach pan Zborowski nie potrzebował nigdy nosić przy sobie parasola i kluczy, skoro zjawiały się i tak na zawołanie. Zjawiały się też inne przedmioty:

„Ciekawy był też aport Zborowskiego na innym seansie. Obecni, większością głosów, zażądali przyniesienia śliwek z jakiegoś ogrodu. Było to na jesieni w sezonie owoców. Zborowski, akceptując życzenie, prosił obecnych jedynie o pomoc przy strząsaniu śliwek z drzewa. Wzięliśmy się więc, siedząc przy stole, za ręce — i trzęsli wszyscy, nie wyłączając samego medium. Można wyobrazić sobie nasze zdumienie i nawet wstrząs, kiedy po chwili na pokój z głuchym stukotem zaczęło się coś z góry sypać. Podłoga została dosłownie zasypana śliwkami, któreśmy następnie wszyscy najnormalniej jedli. Nazwiska osób w protokole które brały udział w seansie i wspólną fotografię przechowuje jako dokument prawdziwości".

Trudno przelicytować takie zdolności. Ciekawe, jak reagował właściciel sadu z którego śliwki wywędrowały gdzieś w nieznane. Ciekawe też, dlaczego Zborowski ograniczał się do takich niepoważnych sztuczek, zamiast raz a dobrze przywołać ku sobie jakiś potężny kawał złota z bankowego sejfu. Jak on te swoje aporty robił? — Zwyczajnie:

„Na pytanie obecnych w jaki sposób przynosi aport — medium wyjątkowo umiało podać dokładne wytłumaczenie. Przedmiot aportowany rozlewa się mianowicie i niejako rozpyla; dzieli się na cząsteczki i w tym stanie przechodzi przez wszelkie przeszkody materialne: mury, drzewa, okna itd. Jest przy materializowaniu się w stanie jak gdyby płynnym i dopiero stopniowo stygnie, twardnieje w pierwotne ciało stałe".

Śliwki też były zapewne w stanie płynnym i gorącym. Kapitalne też było to „trzęsienie śliwek" w zamkniętym pokoju: siedzi parę osób wokół stołu, trzymając się za ręce i trzęsą... Czy gdyby chodziło np. o kartofle uczestnicy seansu musieliby je kopać pod stołem?

Wracajmy jednak do Łodzi. Rok 1933 nie jest taką zamierzchłą przeszłością. Może ktoś z dzisiejszych mieszkańców ulicy Goplańskiej pamięta jeszcze panią Bogaczykównę i jej tajemnicze zdolności? Może ona sama przebywa w naszym mieście i zechce się odezwać? Mielibyśmy w „Odgłosach" ciekawy wywiad...

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

Redaguje zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska Andrzej Karolczak (sekretarz redakcji), Jerzy Kwiecinski Bogda Madej, Andrzej Makowiecki Grażyna Olechnowicz (z-ca sekretarza redakcji), Tomasz Sas (z-ca redaktora naczelnego) Igor Sikirycki (kier. działu literackiego) Karol I Stryjski Janusz Szymański (grafik) Paweł Tomaszewski, Lucjusz Wiodkowski (redaktor naczelny) Jolanta Wrońska, Mirosław Zajdler (fotoreporter).

Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Bogdan Gadomski Witold Kasperkiewicz, Gazda Krystyna Namysłowska, Jerzy Pauasewicz, Ewa Ward Bryl, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Włodzimierz Krzeminski Dariusz Milerski, Pankiewicz, Henryk Sroczyński, Jerzy Wilmański.

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy", al. A. Mickiewicza 11, kod 90—438 Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 36-52-44, sekretarz redakcji 36-80-39 Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. WARUNKI PRENUMERATY: 1. dla osób prawnych — instytucji i zakładów pracy: — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa—Książka—Ruch" zamawiają prenumeratę w tych Oddziałach; — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa—Książka—Ruch" i na terenach wiejskich opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. dla osób fizycznych — indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa—Książka—Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; — osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa—Książka—Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonują używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa—Książka—Ruch" 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa—Książka—Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 23, 00—958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153 201045 139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę: — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa—Książka—Ruch" Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96, kod 90—103 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 3389. L-2.

REMIGIUSZ CAŁOPAŁEK

Bądź rozważny w domu i na drodze

— *Gdzie?*
— *Do samochodu.*

Wyszła godnym krokiem na ulicę. My za nią, trochę zdetonowani. Wsiadła do jakiegoś samochodu i zaczęła wymachiwać do nas przez okno upierścienioną ręką. Tak jakoś przyjaźnie, zapraszająco wymachiwała, że aż wstyd nam się zrobiło wszystkich niewczesnych podejrzeń. Przyspieszyliśmy kroku, a potem zaczęliśmy biec, aby jak najszybciej ją przeprosić. Tu spotkała nas jednakże sroga niespodzianka. Kiedy byliśmy o metr od samochodu i żona kładła już niemal rękę na klamce, usłyszałem jakiś krótki szeleszczący odgłos i wzgardliwy śmiech, dobiegający z wnętrza samochodu, który ruszył raptownie z kopyta, zostawiając nas na opustoszałej ulicy.

Było mi głupio, ale tylko przez chwilę, bo wkrótce znowu zrobiłem się wściekły. Zauważyłem bowiem, że żona ociera ręką lewe oko...

— *Płaczesz?* — zapytałem.

— *E, tam!* — ofuknęła mnie Zosieńka wyłamując w bezsilnej furii szczękę o szczękę.

— *To co ci jest?*

— *Nie widzisz, bydlaku?! Nie widzisz, że ta łajdaczka napluła mi w oko?!*

Zamilkłem. Przebiegło mi nawet przez myśl, że niesłusznie podejrzewana łajdaczka miała jakąś tam kulawą rację, dochodząc sprawiedliwości w sposób miły i nie pozbawiony wdzięku — mogła przecież uderzyć albo nakazać kierowcy przejechać kołem po nodze, a ona tylko posłużyła się śliną, dając wyraz swojej słusznej pogardzie. Tak, miała rację — myślałem patrząc jak Zosieńka grzebie w torebce w poszukiwaniu jakiejś chusteczki. I nagle nogi ugięły się pode mną.

— *Okradła mnie!* — zawyła Zosieńka przejmująco.
— *Ta dranica?*
— *Tak.*
— *Z czego?*
— *Z czterdziestu tysięcy.*

Ręka świerzbiła aby dać w zęby. Chryste!

— *Bo wymachujesz, kretynko, tą torebką!*
— *Goń po milicję, Rysiek! Po milicję!*
— *I co powiesz milicji?! Zapamiętałaś numer [illegible]chodu?*
— *Nie. A ty?*
— *Ciemno było.*
— *Oj, Rysiek, Rysiek!*

Zaczęła chlipać żałośliwie i bezradnie, potem znowu przeszukiwała torebkę i klęła, a potem znowu chlipała.

Doprawdy, trzeba mieć żelazne zdrowie do tych kobiet. Jedna kradnie, druga lamentuje, a ty płacisz za to człowieku, własnymi nerwami i zdrowiem. Chłop ze wsi, jeśli lekarz mu powie, że ma raka, nie od razu wpada w panikę. Nim chłop ze wsi wpadnie w panikę, zada przed tym rozsądne pytanie:

— *Niech ta, panie lekarzu, racek to racek, ale jakiego un je przyrodzenia, znacy się: samiec czy samica?*

— *A po co to panu?*

— *No bo jesce jak samiec, to idzie wytrzymać, a samice są złośliwe.*

Coś w tym jest, jak Boga kocham! Stałem na ulicy wściekły i zdezorientowany zastanawiając się gorączkowo, co robić!

Punki na cmentarzu

Chodząc po ulicach i szukając złodziei, którzy wdarli się do mojego mieszkania, hołdowałem zasadzie, aby działać z dużą rozwagą, bowiem jako się rzekło, najgorsze cięgi odbierają od losu jednostki wściekłe i zapalczywe.

Powiedzmy, że jakiś nicpoń, potrzebujący akurat pieniędzy na wódkę, buchnie ci w bramie portfel albo zegarek... I co ty robisz? Zamiast ocenić trzeźwo sytuację, to znaczy: przyjrzeć się bandycie, pod kątem siły fizycznej oraz zlustrować jednym rzutem oka okolicę, czy nie ma gdzieś w pobliżu milicjanta lub jakiegoś innego sojusznika, zaczynasz wydzierać się wniebogłosy i gonić opryszka, któremu nie zostaje nic innego, jak dać ci w dziób.

Twoja wściekła zapalczywość i głupota powodują, iż nie tylko tracisz dobra osobiste, lecz również zdrowie i już cię wiozą do szpitala na sygnale, żeby ci nastawić szczękę albo wyregulować połamane żebra.

Bywa również, aczkolwiek rzadziej, że, och... to, co przyjeżdża po ciebie, nie jest wcale karetką pogotowia, tylko pewnym czarnym wehikułem, zaprzężonym w czarnego, ponurego konia. Tak jest! Podążasz z fasonem na jeden z przemiłych podłódzkich cmentarzy i żywisz nadzieję, że słońce twojego życia, twoja najukochańsza żoneczka, cudeńko twoje najdroższe (paszła zdziro!) zapali ci raz w roku na Wszystkich Świętych znicz za sto złotych i podrzuci parę kwiatków, którymi przecież nie nacieszysz się długo, jako że zaraz hiena cmentarna sprzątnie ci je sprzed nosa i sprzeda ponownie przed bramą.

Skoro już jesteśmy przy cmentarzach, to powiem wam od razu, bez niepotrzebnego owijania w bawełnę, że złapałem tam bardzo ciekawy trop. Otóż w ostatnie Zaduszki pojechałem na Ogrodową złożyć wieniec na grobie mojego teścia (Boże, świeć nad jego duszą!), który cztery lata temu, nie bacząc na jęki i szlochy teściowej, wywinął się sprytnie spod pantofla, umierając pogodnie i wesoło.

Muszę powiedzieć, że bardzo lubię cmentarze, a już szczególnie ten przy Ogrodowej, i rzadko bywa, abym nie zajrzał tam w Święto Zmarłych. Jestem człowiekiem ciekawym życia (śmierć nie interesuje mnie zupełnie) i jeśli idę na cmentarz, to wcale nie po to, aby oddać się smutnym, filozoficznym rozmyślaniom, lecz po to, aby poobserwować sobie trochę różnych przycmentarnych cwaniaków, wyszarpujących nasze pieniądze z kieszeni wraz z podszewką.

Cóż to za skandal, żeby człowiek kładł kwiaty na grobie i od razu posypywał je grudami gliny lub piasku, tak, aby zabrudzić je, zniszczyć i zniechęcić w ten sposób złodzieja. Nóż wyje w kieszeni! Widziałem kobietę w świeżej żałobie, co to nieszczęście spotkało ją wczoraj dopiero lub przedwczoraj, być może zmarło jej dziecko, albo mąż; podeszła do byka sprzedającego chryzantemy w doniczkach, wybrała tę najtańszą, za trzysta złotych, zaczęła ściubić groszaki, zabrakło jej bodajże dwadzieścia złotych, więc pyta tego byka, czy nie pofolgowałby jej trochę w cenie, a on na to:

— Ja do pani dokładać nie będę.
— Kiedy ja jutro panu oddam.

Wtedy odepchnął ją ręką:

— Przejdź, pani! Przejdź. Każdy tak mówi.

Sprzedają kwiaty, które w normalny dzień można znaleźć w pojemniku na śmieci. Sprzedają po bandyckich cenach lampki, świeczki i znicze, które jeszcze tydzień temu kosztowały w sklepach i kioskach jedną czwartą lub jedną piątą tego. Podjeżdżają jakieś tajemnicze, osobowe, półciężarowe i ciężarowe wozy z nowym towarem; tylko niektóre z nich przyjechały od badylarza; inne przywiozły łup zagrabiony przez złodziei na sąsiednich cmentarzach, a tymi złodziejami okazują się zazwyczaj zgraje kilkunastoletnich wyrostków pracujących na rzecz jakiegoś starego drania, który w razie czego otrzepuje ręce i mówi, że o niczym nie wie.

Inną plagą polskich cmentarzy, szczególnie tych wielkomiejskich i sławnych, są żebracy, przy czym nie chodzi mi wcale o tych nie ogolonych biedaków z gilami do pasa, co to wyciągają rękę i próbują wyłudzić parę groszy, lecz o różnych kweściarzy w takich lub innych mundurach żebrzących pod osłoną takiej czy innej instytucji charytatywnej lub społecznej.

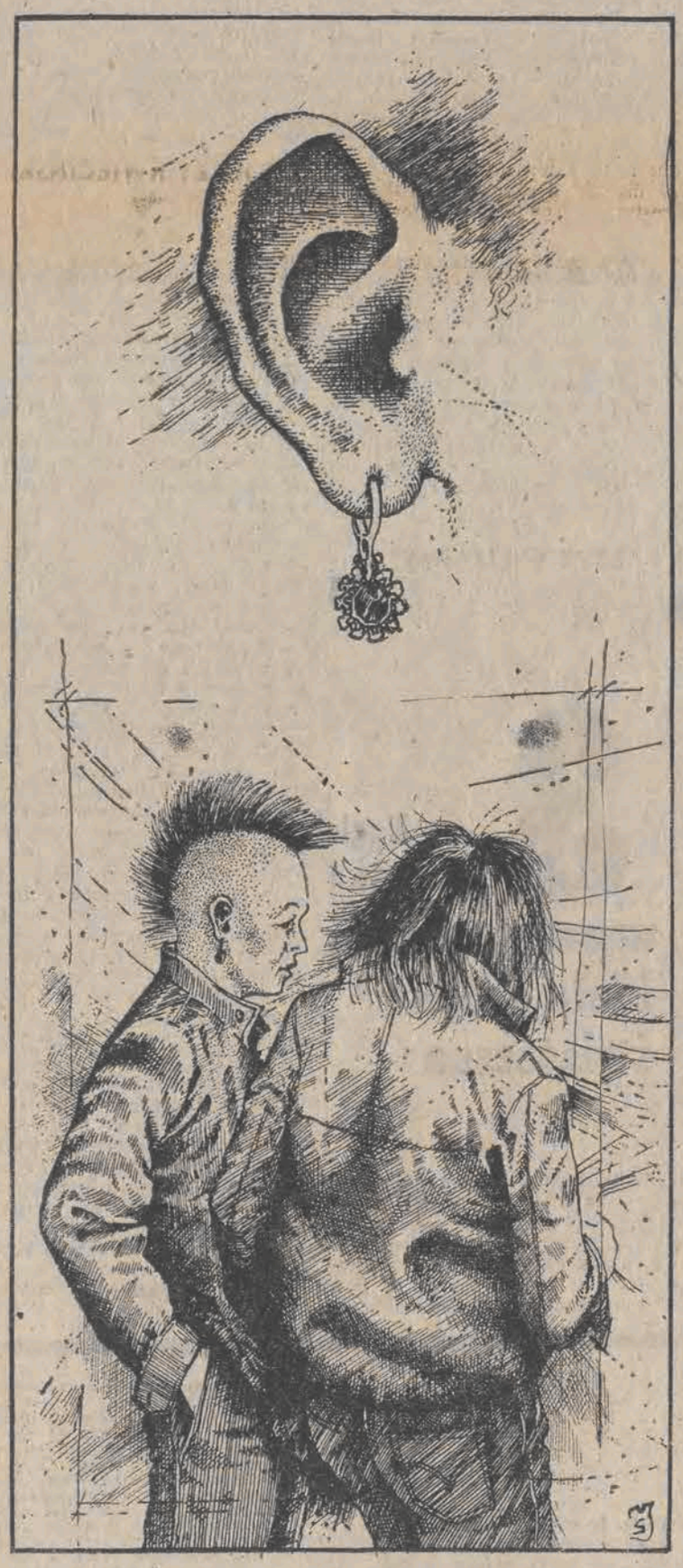

Najbardziej oburzył mnie fakt, iż tego roku podłączył się do żebraniny Związek Harcerstwa Polskiego, organizacja, do której sam należałem w młodości. Harcerze byli zawsze dumni, godni, uczciwi i nawiązywali do szczytnych tradycji narodowych, więc głupio mi było, kiedy zobaczyłem pod cmentarnym murem stragan, a za straganem dwóch wielce podejrzanych łyków w rogatywkach, jeden usmarkany, drugi z wąsem. Obydwaj przełykali ślinę i obracali w zgrabiałych rękach użebrany grosz z taką chciwością, jakby za chwilę mieli kupić coś na poruszenie zastałej krwi. Nie tylko mnie to przyszło do głowy, bo pewien jegomość odezwał się do nich z przekąsem:

— Widzę, chłopaki, że cieniujecie na wino, hę?!

Jakaś świętoszka rozdarła się na niego ze zgrozy i oburzenia:

— Zostaw pan naszą złotą polską młodzież w spokoju! Sam masz pan pewnie w domu synalka-paskudę, który podbiera panu pieniądze i chleje jak nieboskie stworzenie, w związku z czym rzucasz pan podejrzliwość na harcerzy.

No i draka. Ale nie chcę mówić o drace. Chcę mówić o tropie, który wtedy złapałem. Owóż ujrzałem w pewnej chwili trzech niesamowitych młodzieńców, którzy podążali raźno cmentarną alejką. Był to długowłosy hippis i dwóch punków. Hippis szedł w środku, a punki po bokach. Hippis wyglądał tak, jakby go wyciągnęli przed chwilą z matecznika, gdzie miał zderzenie czołowe z niedźwiedziem, a punki wyglądali jeszcze gorzej, tyle że mieli włosy na szczotkę klozetową, a w kinolach i uszach najrozmaitsze przywieszki. Ich czarne, nakrapiane srebrnymi gwoździami bluzy opryskane były na plecach jakąś czerwono-żółtą farbą, co mogłoby ewentualnie sugerować że to oni właśnie wyciągnęli hippisa z niedźwiedzich szponów.

Nie poświęciłbym im większej uwagi, bo — jakkolwiek trudno spotkać tak przerażające stwory na cmentarzu — zawsze można zobaczyć ich na centralnych ulicach. Poszedłem jednak za nimi, a to z tego powodu, iż głowę bym dał, że drugi z tych punków, mały, chudy pętak z jednym tylko ząbkiem na przodzie, przyozdobił się kolczykiem Zosieńki. Były to bardzo charakterystyczne kolczyki ze złota, rzadko spotykane jako, że w misternej oprawie mieścił się nieduży krwawnik, półszlachetny kamień, który podobno przynosi nieszczęście. Tak przynajmniej twierdziła Zosieńka i zakładała je bardzo rzadko. No i proszę! Punk nie bał się, że krwawnik przyniesie mu pecha i paradował z nim w najlepsze.

Powziąłem nader sprytny plan, żeby nie zaczepiać punka na cmentarzu, tylko śledzić ostrożnie i ustalić, gdzie mieszka. Takie plany realizują się bardzo gładko w powieściach kryminalnych, w życiu jednak jest gorzej. Szybko zauważyłem, że punki i ich brat-hippis przyszli na cmentarz bez żadnych określonych zamiarów. Nieraz zatrzymali się nad jakąś opuszczoną mogiłą, to znów zapalili skręta, bądź też wsadzili sobie w otwór gębowy pigułę. Miny mieli bezmyślne i tępe, jakby ich edukacja zatrzymała się nieodwołalnie na trzeciej klasie szkoły podstawowej. Mówili mało i niewyraźnie, wychodząc pewnie z założenia, iż i tak podziwia ich cały świat i mogą sobie pozwolić, aby lecieć przez życie samym tylko pięknem swoich ubiorów i fryzur.

Po zmierzchu opuścili cmentarz. Wepchnęli się w tramwaj, a ja za nimi. Nie skasowali oczywiście biletu, wiedząc dobrze, iż żaden kontroler nie napatoczy się w takim tłoku. Nasi autobusowi i tramwajowi kontrolerzy, to kasta ludzi, którzy bardzo cenią sobie wygodę i lubią pracować w luksusowych warunkach, a więc tylko wtedy, kiedy w wagonie znajduje się kilka osób. Przechodzą wówczas spacerowym krokiem z jednego pomostu na drugi, łapiąc czasami jakąś fuchę, którą wyciągają na ulicę i prowadzą z nią szalenie skomplikowane targi, na których w sumie nie traci żadna ze stron oprócz państwa. Czasami nie łapią nikogo, wpisują się tylko motorniczemu do zeszytu, on też im daje jakiś autograf, i po sprawie. Potem składają na pewno swoim szefom meldunki, że ani w tramwajach, ani w autobusach nie ma żadnych gapowiczów, podczas gdy każdy średnio obyty obywatel wie, iż w porze tłoku pół autobusu jedzie za frajer, a drugie pół na nieważne bilety.

Nasza dzielna trójka, czyli hippis i dwóch punków opuścili tramwaj przy rogu Kościuszki i Al. Struga. Podreptałem za nimi do Piotrkowskiej. Zatrzymali się na chwilę przy aptece, gdzie jest szalenie interesujący plakat: piękny, młody człowiek pochyla się nad piękną młodą dziewczyną, składającą się do pocałunku i już, już mają uderzyć w ślinę, kiedy wdziera się nagle między nich złowieszczy napis: „A płuca sprawdziłeś?".

Do cholery! Jest to szczyt grafomanii. Niektórzy twierdzą, że grafomania odnosi się tylko do pisarzy i poetów, ale, na Boga! apteczny plastyk wykosił na tym polu wszystkie Mniszkówny świata.

Hippis i punkowie, i ja także, zatopiliśmy się w tym arcydziele bez reszty. Nagle zobaczyłem dwóch milicjantów przechodzących jezdnię w okolicach Hortexu. Postanowiłem podejść do nich i przedstawić im swoje podejrzenie. Porzuciłem więc parę, która składała się apetycznie do pocałunku za szybą apteki, lekceważąc sobie konieczność dokonania przedtem kontrolnego prześwietlenia płuc, i ruszyłem w stronę dzielnych obrońców prawa. Ci jednak zachowali się z wielką przytomnością umysłu, zalecaną przeze mnie w wypadkach szczególnych, i skręcili w pasaż. Ich krok i postawa dawały mi wyraźnie do zrozumienia, że jeśli nawet ja chcę z nimi rozmawiać, to oni niekoniecznie. Byli dobrze wychowani i nie chcieli się narzucać.

Krew mnie zalała, bo kiedy odwróciłem się do hippisa i punków, już ich nie było. Podbiegłem do apteki, sprawdziłem dwie okoliczne bramy. W tej drugiej, na klatce schodowej usłyszałem jakieś głosy. W takich momentach zawsze się wydaje, że są to głosy tych, których poszukujemy, więc wspiąłem się ostrożnie na piętro, ale to tylko sąsiad rozmawiał przez uchylone drzwi z sąsiadką.

Zobaczywszy mnie, skradającego się za poręczą, sąsiad zrobił srogą minę i zapytał:

— Kogo pan szuka?

— Takich dwóch przemiłych młodzieńców, wiecie państwo... czarne bluzy, w bluzach nity, a na plecach albo farba, albo krew. No i był z nimi olaf długowłosy. Nie widzieliście ich, państwo?

— Nie! — odpowiedział sąsiad i spojrzał wymownie w czeluść swojego mieszkania. — Chce pan sprawdzić?

— Ależ skąd! Wierzę panu — powiedziałem i wróciłem do bramy.

I zrobiło mi się ciepło. Brama wypełniona była punkami. Dziewczęta i chłopcy, wszyscy na czarno, wszyscy włosy na szczotkę szaletową; patrzyli na mnie w ciszy i skupieniu, ja zaś nie patrzyłem na nikogo, zapomniałem całkiem o kolczyku, modliłem się tylko, żeby wyjść z tej bramy.

No i wyszedłem. Odetchnąłem głęboko rześkim powietrzem ulicy. Pomyślałem, że lepsze zdrowe kości od złota i ruszyłem do domu, rzucając jeszcze okiem na aptekę, gdzie para kochanków składała się nierozważnie do pocałunku, zapominając o tym, że najpierw trzeba prześwietlić płuca.

Rys. Janusz Szymański Glanc